

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



S

(85) 2016

Hemar o starości ♦ Błog. ks. Bukowiński patronem zesłańców ♦ Homilia z wątkiem lwowskim ♦ Wspomnienia z I i II wojny ♦ Rozmowa z J. Suchardą-Sobczyk ♦ M. Orłowicz ze studentami w Czarnohorze ♦ O aktorce Feldman i romanistach Czernych ♦ Poezja ♦ Zjazd Tarnopolan ♦ Uczni stanisławowscy ♦ Książki

POŻEGNANIE

Co prawda w ostatnim numerze nasza Redakcja pożegnała się z Czytelnikami, którzy wytrzymali z nami 20 lat, ale właśnie ci sami Czytelnicy oprostowali gorąco nasze odejście. W licznych listach, rozmowach telefonicznych i bezpośrednich wykazali swój żal i poczucie straty.

Niestety praca naszego zespołu redakcyjnego dobiegła końca. Jednak pod wpływem licznych protestów postanowiliśmy wydać jeszcze jeden numer, który przedłużyłby nasz żywot o rok. Jednak nie o cztery numery, lecz jeden jedyny za rok 2016.

Pozostaje nam więc jeszcze raz podziękować wszystkim naszym Czytelnikom, Autorom, Współpracownikom, Osobom wspierającym nas przez tak wiele lat. Jesteśmy Państwu wdzięczni za bodźce dodające sił i energii.

* * *

W niniejszym numerze zamieszczamy – jak zwykle – kilka serii tematów. Najpierw historia: zaczyna ją Hemar, który opowiada o swej drodze do starości. Strawa duchowa: homilia (z ub.roku, bo tegorocznej jeszcze nie mamy) z wątkiem lwowskim – i opowieść o wielkim Kapłanie, ks. Władysławie Bukowińskim, ostatnio beatyfikowanym. Parę artykułów o dwóch wojnach światowych, wydarzeniach i ludziach z nimi związanych. Ten cykl zamyka rozmowa z p. Suchardą-Sobczyk, która omawia m.in. środowisko lwowskiej Politechniki.

Tu otwiera się szeroki temat kultury, nauki, sztuki, geografii. Zamyka go tradycyjnie poezja i proza, obie ważne – na różny sposób – dla naszej polsko-lwowskiej tożsamości. Pod koniec nieco o ludziach i sprawach środowiska wygnańców. Na koniec, jak zawsze, o książkach i czasopismach. Numer zamyka zabawna historia o wielkoludzie.

* * *

Dochodzą nas jednak słuchy, że podobne czasopismo o tym samym tytule* będzie się ukazywać pod innym kierownictwem, z nowym zespołem, jednak zapewne w części złożonym z członków dotychczasowego zespołu redakcyjnego. Tu mielibyśmy uprzejme życzenie: skoro pozostaje ten sam tytuł – prosilibyśmy nowych redaktorów o zmianę przynajmniej koloru okładek, co zaakcentowałoby zaszłą zmianę. Liczymy na lojalność.

* Kwartalnik „Cracovia–Leopolis” jest własnością Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów PW. Autorem koncepcji, tytułu i redaktorem naczelnym przez 21 lat od 1995 r. był Andrzej Chlipalski. Motywy zakończenia jego pracy zostały omówione w CL 4/2015.

*W związku ze zbliżającymi się
Świątami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem 2017
składamy naszym Czytelnikom, Autorom i Współpracownikom
najlepsze życzenia zdrowia i pomyślności
oraz Łask Bożych i najlepszych Nadziei*



Marian Hemar

Point of No Return

Niedawno temu, ściślej
We czwartek, w dniu 6 kwietnia
Coś zaszło w moim życiu
Co mnie tak uszlachetnia.

A w każdym razie zmienia
Na lepsze, że moralnie
Fizycznie i psychicznie
I intelektualnie

Jestem innym człowiekiem.
W dniu 6 kwietnia z rana
Skończyłem lat sześćdziesiąt.
Jest to doniosła zmiana.

I w głowę zachodź i dumaj,
I z myślami się poraj,
Już ty nie ten sam Hemar,
Co o tej porze – wczoraj.

Za moich lat młokosich,
Pierwolirycznych, lwowskich,
Za moich lat wesołych,
Warszawskich, quiproquowskich,

Kiedy ja byłem zdolnym,
Obiecującym wygłupem –
Poeta w podobnym wieku
Właściwie był żywym trupem.

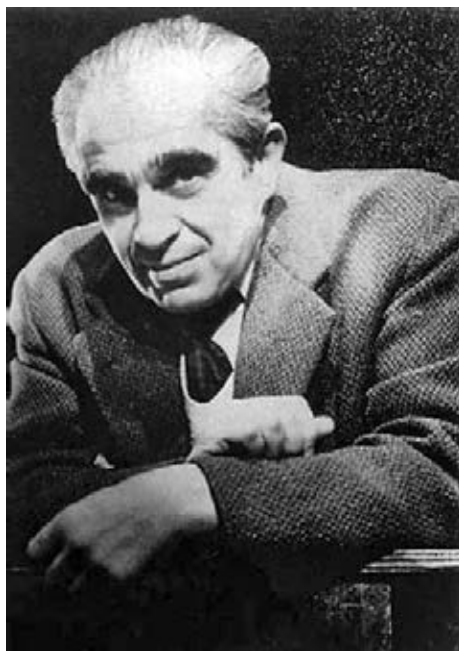
Na wyrku zwiędłych laurów,
Na wawrzynowym zgłiszczu,
I w najlepszym wypadku
Mówiłem do niego „Mistrzu”.

Sędziwy mistrz na świeczniku,
Pośród innych obwiesiąt
Ramolał w oczach. Ja właśnie
Skończyłem lat sześćdziesiąt.

* * *

Skończyłem lat sześćdziesiąt
I myślę: Boże złoty,
Toż nie zrobiłem jeszcze
Połowy mojej roboty.

Ni jednej trzeciej, ani
Jednej mizernej ćwierci,
Takim wciąż niedorośli,
A tak już blisko śmierci.



Kalendarz mi się zepsuł,
Okropnie mnie to peszy,
Że coraz gorzej chodzi,
Coraz bardziej się śpieszy.

Coraz bardziej się śpieszy,
Coraz mniej mnie to bawi.
A gdzież ten kalendarmistrz,
Który mi go naprawi?

Wiersze nienapisane
Jak kukulcze piskłeta
W głowie – kto je nakarmi?
Kto spisze? Kto spamięta?

Tyle wciąż do nauki,
Wciąż jeszcze nic nie umiem,
Jakbym zaczynał umieć,
Jakby przez mgłę rozumiem.

Co czuł stuletni Tycjan,
Kiedy westchnął głęboko:
„O, Boże dopiero teraz
Wiem jak malować oko”...

* * *

Jeszcze mi trzeba pięciu
Lat... Jeszcze chyba dziesięciu
By się lepiej wyrobić
W poetyckim zajęciu. ►

W tym rzemiośle tak trudnym
Jeszcze choćby piętnastu
Krótkich lat... Twarz strapioną
Zwracam ku memu miastu.

Po gwiazdach jak po kamieniach
W ciemnej rzece, do Lwowa
Brnie moja sentymentalna
Zaduma urodzinowa.

* * *

Nie szkoda mi dzieciństwa,
Nie minęło daremnie.
Łzy, strachy, śmiechy, nauki,
Wszystko zostało we mnie.

Nie szkoda mi młodości,
Była trudna i chmurna
I melodramatyczna,
I pewna siebie i durna.

Lepiej że już mnie nie męczy,
Wawrzynami nie łudzi,
I po nocach nie włóczy
I romansami nie nudzi.

I nie żał mi, że minął
I już mi się nie liczy
Mój wiek męski, wiek kłęski,
Wiek wiary i goryczy.

Już mi żałoby nie ujmie,
Pociechy mi nie doda.
Skończyłem lat sześćdziesiąt.
Jeśli mi czego szkoda –

Jeśli czego żałuję,
Jeśli się o co boję –
Czy mi wystarczy czasu
By ujrzeć znów miasto moje?

To jedno mam przed sobą
Najważniejsze zadanie
Niedokończone. Czy mi
Życia starczy na nie?

Do kogo zwrócić słowa strachu,
Nadziei, protestu?
Ile mi lat jeszcze trzeba?
Dziesięciu? Piętnastu? Dwudziestu?

* * *

Wierszyki, jak pajęczynę
Na niebie marzeń rozwlekam.
Jeśli ja nie wrócę,
Jeśli ja nie doczekam –

Może mój wiersz co niektóry,
Może mój wiersz co dziesiąty
Odnajdzie drogę do Lwowa,
Odszuka znajome kąty,

Nie zmienione w pamięci,
I wszystkie je pozdrowi
I ode mnie do kolan
Ukłoni się Lwowowi.

Może jaka piosenka
Jak ćma między lwowskie latarnie
Poleci w wieczór wiosenny,
A gdy ją Lwów przygarnie

I pozna i przytuli
I będzie jak swoją nucił –
To przecież wszystko jedno –
To tak jakbym ja sam wrócił!

* * *

Kto leci nad oceanem,
Ten w trakcie swego lotu
Mija punkt w pewnej chwili,
Z którego nie ma powrotu.

„Punkt bezpowrotny” – tak to
Technicznie się nazywa
To znaczy, że wszystko jedno
Czy dość, czy nie dość paliwa,

Czy stery, silniki, świece
W porządku, czy nie w porządku –
Już jest bliżej do końca
Drogi niż do początku:

Nie ma powrotu. Więc nie ma
Paniki, żalu, rozpaczki.
Co to znaczy? Że trzeba
Lecieć dalej, to znaczy

Że póki lecisz dalej
Na swoim kursie zwłaszcza,
Dopóty reszta życia
Niezmiernie się upraszcza.

* * *

Skończyłem lat sześćdziesiąt
I lecę w jedną stronę,
I całe życie nareszcie
Mam bardzo uproszczone.

Chciałbym wszystkich przyjaciół
Zapewnić, że niestety
Starość ma swoje wielkie
Powaby i zalety.

Homilia ks. Prałata Dariusza Rasia

22 listopada 2015

Przewielebni kapłani, dyrekcje szkół, poczty sztandarowe, lwowiacy, krakowianie, wszyscy, którzy zgromadziliśmy się tutaj, drodzy bracia i siostry, w tym kościele Mariackim.

Dzień dzisiejszy. Wiemy dobrze, że kiedy myślimy o Chrystusie Królu, usiłujemy nakreślić geograficznie i symbolicznie rozmiary królestwa Jezusa Chrystusa, ale dzisiejsza ewangelia mówi wprost: „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Królestwo nie jest z tego świata, bo gdyby ono było, to Jezus na tym świecie pewnie nie zostałby wydany. Jego królestwo nie jest stąd.

Moi drodzy, Chrystus Król mówi nam w tym wielkim święcie, gdzie jest Jego królestwo. Ono jest w niebie, ono jest niebieskie, ono jest królestwem Bożym, ale przebłyski tego królestwa możemy rozpoznawać tutaj na ziemi. Po pierwsze one są w naszych sercach, w sercach ludzi ochrzczonych i w sercach wszystkich ludzi dobrej woli. Bóg bowiem nazaczył swoistym DNA każdego człowieka. Każdy jest wezwany do czynienia dobra, do postępowania w świętości, w uczciwości, w prawdzie. I tu jest początek królestwa Chrystusa. Dziękujemy za takiego Króla, który nie jest tyranem, który wzywa nas w wolności do aktu wiary. I który zaprasza nas do siebie jak ojciec czekający na swoje dzieci w progu domu, jakby wzywał z dalekiej podróży z ziemi do siebie. Takie jest nasze przeznaczenie. I tenże Król, który podał swoje ręce na krzyżu, jakże On przez swoją krew uwalniając nas od naszych grzechów nie rozumie, dlaczego tutaj się spotkaliśmy. Może On najbardziej rozumie. Chcemy Bogu dziękować za życie wielu młodych ludzi, którzy przed prawie stu laty hojnie oddali swoje życie za ziemską Ojczyznę. Którzy za swoje miasto, Lwów, za język polski, za kulturę polską oddali młode serca. Kiedy przychodzimy do Chrystusa Króla możemy Mu powiedzieć, a nawet zapytać Go: jak się mają oni teraz, tam w ojczyźnie niebieskiej. Ci wszyscy, którzy przynajmniej w dwóch fałach oddawali swoje życie, bo mianem Orłąt lwowskich określa się młodych mieszkańców Lwowa, którzy wobec braku

we Lwowie regularnych oddziałów wojskowych Wojska Polskiego i w listopadzie 1918 roku ochoczo walczyli o miasto z oddziałami wojsk ukraińskich, ale też jako młodzi ochotnicy walczyli na przedpolu miasta z Armią Czerwoną, z armią Budionnego w czasie wojny polsko-bolszewickiej latem 1920 roku. W skład oddziałów młodych Polaków wchodził studenci, robotnicy, urzędnicy, uczniowie, harcerze, chłopcy i dziewczęta. Aż 2640 nie przekroczyło 25 roku życia, najmłodszy miał 9 lat. Jeden z nich, trzynastoletni Antoś Petrykiewicz, został najmłodszym w historii kawalerem Orderu Virtuti Militari. Do powstania legendy Orłąt lwowskich przyczyniła się wielce postawa harcererek i harcerzy, zarówno lwowskich, jak i z całego kraju, którzy masowo wzięli udział w obronie Lwowa i granicy wschodniej. Wedle niepełnych danych zginęło wówczas ponad 70 przedstawicieli różnych drużyn harcerskich pochodzących z tak odległych od Lwowa miast jak np. Janek Łączkowski lat 16 z Wielunia. Obrona Lwowa w czasie wojny polsko-bolszewickiej miała miejsce gdy I Armia Konna pod dowództwem Siemiona Budionnego naciskała na Lwów. Bitwa pod Zadwórzem na przedpolu Lwowa, w której 17 sierpnia 1920 r. zginęło 318 z 330 walczących ochotniczo Orłąt lwowskich, wzywa nas do specjalnych listopadowych wypominek za każde z tych istnień. Tak jak mówię, przynajmniej dwie fale Orłąt lwowskich możemy dzisiaj wspominać. „Żyli, walczyli do rana, do złotych słońca zórz, ale bez Jurka Bitschana, bo Jurek nie żył już” – to jedno z krótkich pięknych wspomnień wierszowanych, które przetrwały do naszych czasów. Trzeba bardzo nam pamiętać, bo pamięć to nie tylko obowiązek, ale przede wszystkim nasz przywilej. Przez wiele lat nie można było w sposób otwarty mówić o tamtych czasach.

Wspominaliśmy tutaj w bazylice, wraz z wielu ludźmi, żołnierzy wyklętych. Tych, którzy walczyli przeciwko armii bolszewickiej, również nie zawsze można było w sposób otwarty i piękny wspominać, a zbliżamy się do setnych rocznic tych wielkich, przynajmniej z dwóch wspomnianych pod nazwą

Orlęta Lwowskie, pięknych kart historii. I nie wspominamy tego, aby budzić niepokój serca, aby budzić jakąkolwiek niechęć, broń Boże, nienawiść. Chcemy tym bardziej uczyć się patriotyzmu, uczyć się bycia chrześcijaninem, który potrafi bronić swojej Ojczyzny, aby zasłużyć na Ojczyznę Niebieską, aby stanąć kiedyś w przyszłości, po najdłuższym i dobrym życiu, przed swoim Królem. Lwów porównywany był do Rzymu, Kraków też, ale to o Lwowie pisano: „Jak Rzym na siedmiu wzgórzach wznosi się miasto, które ma lwa w herbie i lwa w sercu”. Rzeczywiście ta pamięć o Lwowie, o miejscu wielkiej, ojczyznianej pięknej miłości zostaje po tej stronie, w Krakowie, w Częstochowie, a zwłaszcza może we Wrocławiu. Kossak również namalował słynny obraz *Orlęta – obrona cmentarza*.

Lwów od XIV wieku należał do Polski, był miastem zamieszkiwanym w większości przez ludność polską. Z danych z roku 1910 wiemy dobrze, że ponad połowę Lwowa stanowili Polacy. Na 206 tysięcy mieszkańców 105 tysięcy stanowili Polacy, 97 tysięcy – byli to Żydzi, a 36 tysięcy to Ukraińcy. W uznaniu bohaterskiej postawy i zasługi mieszkańców Lwowa dla Polski miasto to jako jedyne w Polsce udekorowano przed wojną przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego krzyżem *Virtuti Militari*. 11 listopada 1920 roku ta uroczystość miała miejsce właśnie we Lwowie przed kolumną Mickiewicza. Pamięć o czynie Orląt Lwowskich, z których jeden nieznan z nazwiska jest pochowany w grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, jest czczona w Polsce, miejsce zaś ich spoczynku my zawsze będziemy traktować jako *Campo Santo* – święte miejsce.

Dzisiaj zanosimy modlitwę do Chrystusa Króla i wiemy dobrze, że to On uwalnia nas od nienawiści, uwalnia nas od niechęci do tych, którzy w niesprawiedliwy sposób uczynili krzywdę ludziom walczącym o wolność, broniącym wolności języka i kultury. Chcemy do tego, który jest Alfą i Omegą, wołać za nich i nie chcemy opłakiwać ich beznadziei, że się spotkamy z nimi tam, gdzie nie ma już głodu, gdzie nie ma cierpienia, choroby i gdzie nie sięga zło. Niech Bóg nas prowadzi w tej wielkiej pielgrzymce życia do Jego królestwa, gdzie spotkamy się z wielkimi przyjaciółmi, których dzisiaj wspominamy, z wielkimi Polakami, którzy oddali swoje życie jak młode orlęta.

Alicja Olszowska

Zesłańcy z Kazachstanu mają swego Patrona

Zesłańcy z Kazachstanu oraz ofiary łagrów i komunistycznego reżimu mają swojego Patrona.

Ksiądz Władysław Bukowiński, więzień sowieckich łagrów, został beatyfikowany. Msza św. beatyfikacyjna pod przewodnictwem wysłannika papieskiego – przewodniczącego Kongregacji ds. Świętych – kardynała Angelo Amato, z udziałem wszystkich biskupów Kazachstanu i przedstawicieli Episkopatu Polski miała miejsce 11 września 2016 r. w Karagandzie.

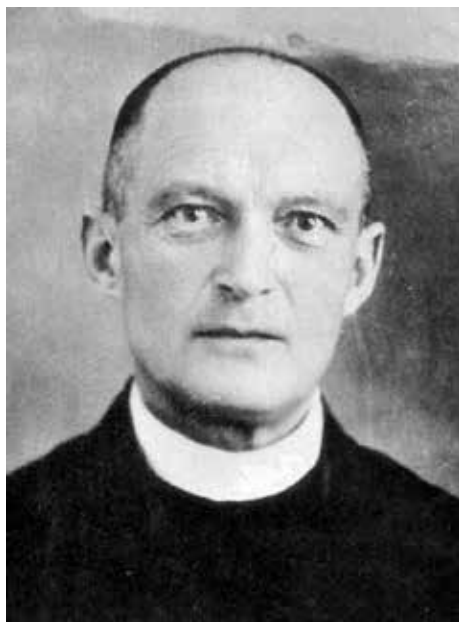
Zmarły przed 40 laty w Karagandzie ks. Władysław Bukowiński urodził się 22 grudnia 1904 r. w Berdyczowie jako pierworodny syn Cypriana Józefa Bukowińskiego i Jadvigi Scipio del Campo, pochodzącej ze spolszczonej rodziny włoskiej. Mając 10 lat rozpoczął naukę w rosyjskim gimnazjum w Kijowie, którą kontynuował w Żmerynce na Ukrainie, a następnie od roku 1917 uczęszczał do polskiego gimnazjum w Płoskirowie. Ciągłe zmiany miejsca zamieszkania związane były z pracą ojca, który będąc dyrektorem cukrowni należących do Spółki Kijowskiej często był przenoszony służbowo. W domu rodzinnym Władysław otrzymał głęboko religijne wychowanie, panowała tu atmosfera życzliwości, wzajemnego poszanowania oraz miłości Ojczyzny.

W roku 1918 zmarła w Płoskirowie matka Władysława. W dwa lata później uchodząc przed bolszewicką inwazją kilkunastoletni Władysław Bukowiński przeprowadził się wraz z rodziną do Polski. W latach 1921–1926 studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskując tytuł magistra prawa i następnie podjął studia na Wydziale Teologicznym. Powołanie do stanu kapłańskiego kielkowało już dużo wcześniej, jeszcze na III roku prawa, ale postanowił najpierw ukończyć prawo, a dopiero później rozpo-

cząć formację kapłańską. Okres krakowski to niezwykle ważny etap w życiu Kapłana. Sam podkreśla to w wielu swoich wypowiedziach. To okres nie tylko gruntownego zdobywania wiedzy, ale również kształtowania głębokiej duchowości chrześcijanina i Polaka. To także intensywna działalność społeczna w Akademickim Kole Kresowym, którego był współzałożycielem. „Tam, gdzie długie lata spędzałem za kratami więzień i za drutami kolczastymi obozów pracy, wszędzie tam to, co wyniosłem z Krakowa, pomagało mi zachować godność osobistą i kapłańską” – pisał w swoich *Wspomnieniach z Kazachstanu* ks. Bukowiński. Przyjaźnie zawarte w okresie studiów przeszły próbę czasu i przetrwały długie dziesięć lat. Świadczy o tym ożywiona korespondencja Księdza, która rozwinęła się szczególnie po roku 1956 i trwała niemal do ostatnich dni jego życia. M.in. na szczególną uwagę zasługują listy pisane do znanego historyka, profesora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu Karola Górskiego. Wśród licznych przyjaciół, członków rodziny, znajomych wymienianych listy z ks. Bukowińskim znalazł się również lekarz Murzynów z dalekiej wyspy Barbados dr Walerian Terajenowicz, przyjaciel z okresu studiów. Korespondencja ta stanowi bogate źródło wykładni wspólnych dla nich przekonań ideowo-religijnych. Poznajemy z nich Księdza jako człowieka pełnego życzliwości i żywego zainteresowania sprawami innych, odznaczającego się wspaniałą pamięcią, poczuciem humoru, a nade wszystko człowieka niezłomnej wiary.

Święcenia kapłańskie otrzymał 28 czerwca 1931 r. w katedrze krakowskiej na Wawelu z rąk metropolity krakowskiego księcia Adama Stefana Sapiehy. Pierwsze lata kapłaństwa upływają na pracy katechetycznej, wychowawczej i społecznej najpierw w Rabce, a następnie w Suchej Beskidzkiej. Mimo krótkiego okresu pracy w tych podgórszych miasteczkach przez długie lata wspomina się tu troskę Księdza o środowisko prawnicze, o duszpasterstwo studentów i ludzi ubogich.

W sierpniu 1936 roku spełnia się marzenie Księdza. Kierowany osobistym powołaniem do posługi na Wschodzie, na własną usilną prośbę zostaje skierowany do Łucka. Tu z zapałem oddaje się obowiązkowi wykładowcy katechetyki i socjologii w Łuckim Seminarium Duchownym, zostaje sekreta-



rzem Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej, rozwija działalność wśród młodzieży. Wybuch II wojny światowej przerywa normalny tok pracy.

17 września 1939 roku ks. Bukowiński zostaje mianowany przez biskupa proboszczem parafii katedralnej w Łucku. Nastąpił ponury czas aresztowań, deportacji i coraz bardziej dotkliwego głodu. Tysiące uciekinierów z różnych stron Polski szukało schronienia w mieście. Setki Polaków czekało w zamkniętych wagonach na stacji w Łucku na wywóz w głąb Rosji. W tej sytuacji ks. Władysław okazał się niezwykle sprawnym i odważnym organizatorem. Pomagał uciekinierom, żołnierzom i rodzinom osób uwięzionych. Organizował pomoc ludziom chorym, w podeszłym wieku i przetrzymywanym w wagonach. Głosił płomienne kazania i katechezy. Wiosną 1940 r. zostaje osadzony wraz z kilkoma innymi księżmi w więzieniu łuckim. Kiedy w drugim dniu wojny radziecko-niemieckiej ma miejsce masowe rozstrzelanie więźniów przez wycofujące się oddziały sowieckie, udzieliwszy jeszcze rozgrzeszenia najbliższym sąsiadom, leżąc pod stosami ciał, przeżywa – jak sam wspomina – „koniec doczesności i brzask wieczności”.

Cudem ocalony powraca do swojej parafii, by na nowo podjąć działalność dusz-

pasterską i społeczną. Pomaga żydowskim dzieciom szukając dla nich schronienia u katolickich rodzin, organizuje zbiórkę żywności dla uciekinierów i masowo umierających z głodu osadzonych w więzieniach jeńców rosyjskich. Z chwilą przesunięcia się frontu i ponownego przejęcia Łucka przez oddziały radzieckie rusza administracyjna machina sowieckiego reżimu. Następują aresztowania i deportacje. Uwięzienie ks. Bukowińskiego ma miejsce w nocy z 3 na 4 stycznia 1945 r. W kijowskim więzieniu NKWD wraz z pięcioma innymi księżmi z Podola, a także biskupem Adolfem Szelażkiem przeszedł uciążliwe, trwające pół roku śledztwo. Znana jest imponująca postawa biskupa i towarzyszących mu kapłanów. Ten moment uwięzienia i opuszczenia Łucka uważa Ksiądz za przełomowy w swoim życiu. Widzi jasno, że z woli Opatrzności jego przyszłość życiowa i powołanie kapłańskie związane są ze Wschodem. „Obym dobrze je wypełnił” – zapisze w swoich *Wspomnieniach*. W końcu czerwca 1946 r. ks. Bukowiński zostaje skazany na 10 lat kary obozów pracy.

Od tego czasu rozpoczął się nowy etap apostołskiej działalności Księdza. Jest to okres najcięższych prac i głodu, najpierw przy wyrębie lasów i kopaniu rowów w jednym z obozów w Czelabińsku, następnie w latach 1950–1954 w Dżezkazganie w kopalni miedzi. 300 m pod ziemią, w temperaturze około 4 stopni Celsjusza i w stałej wilgoci. Ks. Bukowiński i inni osadzeni w obozie kapłani nie ustają w apostołstwie. Gromadzi wokół siebie więźniów różnych narodowości i wyznań, głosząc Słowo Boże podtrzymuje wiarę i ufność. Odwiedza chorych w szpitalu obozowym, przygotowuje do spowiedzi i Komunii św. Wszystko to odbywa się potajemnie, często pod osłoną nocy. W obozie pisze też historię Polski na potrzeby więźniów. Rękopis krążył potem w odpisach po domach zesłańców i często była to jedyna lektura historyczna i wychowawcza dla Polaków urodzonych w niewoli. Swoją heroizm i szczególne powołanie do pracy duszpasterskiej na Wschodzie potwierdził Kapłan w czerwcu 1955 r., kiedy po odbyciu kary zrezygnował z proponowanej repatriacji do Polski. Mimo nalegań przyjaciół i rodziny zdecydował o pozostaniu wśród tych ludzi i na tej ziemi, odczytując wolę Opatrzności Bożej o swoim posłannictwie duszpaster-

skim. Zamieszkał na peryferiach Karagandy. Nieustannie pełnił posługę kapłańską, mimo że nie miał swej kaplicy. „Jestem ustawicznym domokrzącą” – pisał o sobie. W latach 1957–1958 podjął osiem wypraw misyjnych w okolice Alma-Aty, Aktiubińska i Semipalatyńska oraz kilkakrotnie do Tadżykistanu. W grudniu 1958 r. Bukowiński został ponownie aresztowany i skazany na 3 lata więzienia za swą czteroletnią działalność religijną w Kazachstanie.

Po odbyciu kary niezłomny Kapłan powraca do Karagandy. Wprowadzie odmówiono mu zezwolenia na otwarcie kaplicy, ale zaczęto pobierać dość wysokie podatki. Mimo nadszarpniętego poważnie zdrowia Ksiądz niestrudzenie spełnia swe kapłańskie obowiązki.

Trzykrotnie odwiedzał Polskę w latach 1965, 1969 i 1972/1973 spotykając się z kardynałem Karolem Wojtyłą, który żywo interesował się pracą duszpasterską w Kazachstanie. Na prośbę Kardynała Ksiądz napisał wówczas swoje *Wspomnienia z Kazachstanu*. Ks. Bukowiński, mimo że bardzo już schorowany, nie uległ ponownym próbom przyjaciół i lekarzy. Nie chciał pozostać w Polsce. Wracił do swoich parafian, gdzie, jak stwierdził, nawet po śmierci jego grób będzie apostołował. Głęboko wierzył, że ziarno wiary, które tam zasiał, kiedyś wykiełkuje i odmieni Kościół w Kazachstanie. Zmarł w Karagandzie 3 grudnia 1974 r. Wiadomość o jego śmierci wywołała powszechną żalobę, a pogrzeb, na który przybyły rzesze ludzi, był prawdziwą manifestacją wiary i miłości dla niego.

We wrześniu 2001 roku na ziemi kazachskiej stanął papież Jan Paweł II. Po pamiętnej mszy świętej w Astanie podczas modlitwy na Anioł Pański wypowiedział w języku polskim te słowa: „Z wielką radością patrzę na Was i Bogu dziękuję, że dane mi jest być pośród Was. Zawsze żywo interesowałem się Waszym losem. Wiele mi o Was mówił niezapomniany ks. Władysław Bukowiński, którego wielokrotnie spotykałem i zawsze podziwiałem za kapłańską wierność i apostołski zapał”. Kiedy w 2004 r. w Karagandzie odbywało się sympozjum poświęcone ks. Bukowińskiemu, Ojciec Święty pisał: „Cieszę się, że postać tego bohaterskiego kapłana nie idzie w zapomnienie. Przeciwnie, pozostaje on w pamięci wielu

Stanisław Starzewski

Z życia lwowskiej młodzieży szkolnej przed listopadem 1918*

Od kiedy zacząłem zajmować się polityką, trudno mi ustalić ściślej, bo zainteresowanie się historią ojczyzną, a zwłaszcza walkami o niepodległość, zawdzięczam przede wszystkim atmosferze domu.

Od najmłodszych lat zaczytywałem się w książkach historycznych i wraz z ojcem uczestniczyłem w najrozmaitszych obchodach i manifestacjach patriotycznych. To też w przededniu wojny, wbrew zakazom rodziców, jako 14-letni chłopak zapisałem się do Drużyn Bartoszewych, gdzie po kryjomu pełniłem funkcję gońca roznoszącego wezwania do starszych, ćwiczących już karabinem, kolegów.

Później, gdy uzyskałem formalne zezwolenie rodziców, z dumą maszerowałem na ćwiczenia na końcu oddziału udającego się codziennie rano sprzed kwatery komendy Drużyn Bartoszewych na Górę Kortumową. Niestety, młody wiek i słabe zdrowie nie pozwoliły mi osiągnąć szczytu ćwiczenia starym wendlem, a gdy nastał dzień wymarszu Legionu Wschodniego ze Lwowa, żegnałem go na Sygniówce za „czerwonym mostem”, skąd odszedł na zachód marszem ubezpieczonym, ja zaś z kwitkiem zostałem odprawiony do domu.

Wojna, ustawiczne przemarsze wojsk przez Lwów, coraz to nowe wieści w sprawie polskiej powiększały zakres moich zainteresowań. Gdy w 1916 r. znalazłem się z powrotem na ławie szkolnej w IV Gimnazjum Głównym, wówczas losy Polski stały się głównym ośrodkiem zainteresowań licznego grona moich przyjaciół. W r. 1916 w 6 klasie zakładam ja i moi koledzy: Adam Chorąży, Adam Richter, Marian Franczuk, Jerzy Rafałowski i Kazimierz Kocowski, tajne koło samokształceniowe, które szybko rozwija się obejmując uczniów młodszych klas IV gimnazjum. Do grona kierowników koła wchodzi uczniowie 5 klasy, a to Stanisław Hornung, Stanisław Maresch i Stanisław Hubert. Układamy statut i wynajmujemy w tajemnicy dwupokojowy lokal w willi przy ul. Potockiego 32, gdzie odbywały się tajne zebrania**.

Założone przez nas w IV Gimnazjum koło nie posiadało żadnych kontaktów z jakąkolwiek organizacją polityczną, nie pozostawało też w żadnym bezpośrednim związku z innymi zakładami szkolnymi we Lwowie. Ten stan rzeczy istniał do czasu wypadków wywołanych zabiciem śp. Mariana Czerkasa 2 lutego 1918 r.

W tym dniu obradował we Lwowie zjazd Kół Pracy Narodowej, na którym miano powziąć uchwały nie całkiem idące po linii uchwał Koła Polskiego z 16 maja 1917 r. Przeciwno temu zjazdowi zorganizowano we Lwowie manifestację, jednakże, jeśli idzie o udział młodzieży, w szczególności zaś młodzieży IV Gimnazjum Głównego, to o organizowaniu tej manifestacji nie była ona poinformowana.

Przypadkowo w dniu tym z kolegą swoim Janem Łuczkiwiczem byłem w mieście i przechodząc koło pomnika Mickiewicza znalazłem się w manifestującym tłumie. Spod pomnika przemawiał do zebranych jakiś młody człowiek. Po przemówieniu uformował się pochód. Szedłem na jego końcu, toteż gdy w połowie ul. Kamiennej (obecnie ul. Kubali) pochód został wstrzymany przez kordon policji, byłem bezpośrednim świadkiem sceny strzelania do tłumu. Rozległy się strzały naraz z kilku stron, tłum rozbiegł się, jeźdźnią biegł policjant i strzelał z rewolweru. Wypierany z ul. Kamiennej przez policję, tłum cofnął się z powrotem w ul. Batorego. Pod naporem tłumu cofnąłem się parę kroków wstecz i tu przed kamienicą na ulicy Batorego potknąłem się o leżących na ziemi śp. Czerkasa i Wodzickiego.

Whiesiono ich do bramy. Czerkas nie dawał żadnych znaków życia, natomiast Wodzicki, ciężko ranny w głowę, leżał nieprzytomny. Długi czas oczekiwano na pomoc lekarza. Wreszcie zjawiała się policja i pogotowie, zaczęto usuwać publiczność. Wzburzony do głębi wróciłem późnym wieczorem do domu, kolportując po drodze wśród spotkanych studentów wiadomość, że „Prusacy zabilili dwóch studentów”.

Wiadomo bowiem już było, że oprócz wspomnianego przeze mnie policjanta strzelano również do tłumu z okien kamienicy znajdującej się przy ul. Batorego, naprzeciw wylotu ul. Kamiennej, w której to kamienicy kwaterowali Niemcy.

Nazajutrz rano, a było to po dniu świątecznym 2 lutego, przed rozpoczęciem nauki zaczęliśmy się w IV Gimnazjum naradzać, co w wytworzonej ostatnimi wypadkami sytuacji zrobić, i postanowiliśmy na pierwszej pauzie zwołać w tej sprawie wiec studentów całego gimnazjum. Zaznaczam, że działaliśmy bez jakiegokolwiek porozumienia z organizatorami manifestacji w dniu 2 lutego i chcieliśmy na własną rękę urządzić demonstrację z powodu zabicia Czerkasa. Zrealizowanie tych zamiarów ułatwiło w wysokim stopniu przybycie pod budynek gimnazjalny uczniów II Szkoły Realnej. Nauka została przerwana, a młodzież – na wezwanie członków tajnego koła – opuściła gimnazjum. Naszej agitacji przyglądał się dyrektor gimnazjum Wincenty Śmiałek, a gdy po opróżnieniu gimnazjum wraz z dwoma kolegami zakomunikowałem mu przyczyny i motywy naszego postępowania, oświadczył: „Czyńcie tak, jak wam nakazuje sumienie”****.

Opuściwszy budynek szkolny, udaliśmy się w pochodzie wraz z młodzieżą z II Szkoły Realnej pod pomnik Mickiewicza, gdzie odbyła się manifestacja. Wśród zgromadzonej pod pomnikiem młodzieży puszczono wiadomość, że po południu odbędzie się zebranie delegatów młodzieży poszczególnych gimnazjów w budynku VIII Gimnazjum przy ul. Czarnieckiego. Udałem się tam wraz z kilku kolegami.

Zebranie nie wyglądało na przygotowane, toteż ja i Zdzisław Stahl z gimnazjum A. Mickiewicza ujęliśmy inicjatywę w swoje ręce i po zagajeniu przeze mnie zebrania wybrany zostałem jego przewodniczącym. Po rozpoczęciu obrad okazało się, że część delegatów zebrała się w budynku III Gimnazjum przy ul. Batorego, wobec tego postanowiliśmy się tam udać. Później dopiero, gdy zostałem „wtajemniczony” do tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej, zorientowałem się, że zebranie w VIII Gimnazjum było zainicjowane przez koła zbliżone do POW, zebranie zaś w III Gimnazjum – przez Organizację Młodzieży Narodowej. Szczęśliwym trafem, a może i dlatego, że inicjatywa

przeszła w ręce ludzi nienależących w tym momencie do żadnej organizacji, nastąpiło chwilowe zjednoczenie obu grup.

Zebranie delegatów młodzieży w III Gimnazjum wybrało komitet gimnazjalny, któremu początkowo przewodniczyłem ja, a gdy ta organizacja utrwaliła się, przewodnictwo objął Kazimierz Gluziński, zaawansowany już w tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej. Wyłoniono również specjalny komitet dla urządzenia pogrzebu śp. Czerkasa. W skład tego komitetu wszedł prof. Aleksander Medyński, Zdzisław Stahl i podpisany. Komitet Miedzygimnazjalny został ściągnięty na teren Czytelni Akademickiej i tu wkrótce poszczególni członkowie, a m.in. Stahl i ja, wciągnięci zostaliśmy do tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej.

Niewątpliwie wypadki lutowe z 1918, tzn. śmierć Czerkasa oraz wielka manifestacja Organizacji Młodzieży Narodowej Lwowa, dały okazję do poważnego rozszerzenia jej wpływów na młodzież tych gimnazjów, w których dotychczas żadnej tajnej politycznej organizacji nie było. Jednakże i po tych wypadkach nie we wszystkich gimnazjach Młodzież Narodowa miała swoje komórki organizacyjne i te braki starano się uzupełnić przez zachowanie organizacji nielegalnego Komitetu Miedzygimnazjalnego.

Oczywiście tajna organizacja IV Gimnazjum Głównego weszła w tym okresie w skład tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej. W lokalu przy ul. Potockiego odbywały się odtąd zebrania tajnej organizacji narodowej, w której uczestniczyli przedstawiciele wyższych stopni organizacyjnych w osobach akademików Stefana Mękarskiego i Lecha Gluzińskiego.

Dalszym etapem działalności tajnych organizacji na terenie lwowskich szkół średnich była akcja bojkotu cesarskich galówek. Trwała ona ze zmiennym nasileniem do końca roku szkolnego 1917–18, wywołując niejednokrotnie bardzo poważne konflikty między młodzieżą a profesorami i między samą młodzieżą, wśród której nie brak było gorących wyznawców reżimu austriackiego. Akcja ta została również wznowiona po wakacjach we wrześniu 1918 i jakkolwiek Komitet Miedzygimnazjalny przestał działać, to jednak współdziałanie wszystkich gimnazjów we Lwowie odbywało się dzięki kontaktom między POW a tajną Organiza-

cją Młodzieży Narodowej. W lokalu przy ulicy Potockiego 32 odbywały się wspólne posiedzenia przedstawicieli obu organizacji, na których poruszano nie tylko sprawę usunięcia emblematów austriackich na budynkach szkolnych i zastąpienia ich polskimi orłami, ale zastanawiano się też nad przygotowaniem ewentualnej zbrojnej akcji na wypadek rozpadnięcia się Austrii. Ostatnie takie posiedzenie odbyło się w przeddzień zamachu ukraińskiego we Lwowie.

W zebraniu tym wziął udział śp. Roman Hayder, uczeń 6 klasy VIII Gimnazjum, i – o ile się nie mylę – również uczeń VIII Gimnazjum, Henryk Piątkowski.

Innym charakterystycznym bardzo objawem życia lwowskiej młodzieży szkół średnich było powstanie międzygimnazjalnego chóru lwowskiego pod nazwą „Harfa”. Chór ten powstał w r. 1916, a inicjatorami jego byli: Stanisław Kinałski, Marian Decowski, Gustaw Belohlavek, Józef Sołtysik, Marian Sajkiewicz i ja. Kierownictwo artystyczne spoczywało w rękach Romana Belohlavka. Próby odbywały się początkowo w domu Desowskiego, później w domu Kinałskich. Chór „Harfa” był, obok nielegalnego komitetu międzygimnazjalnego, drugą tego rodzaju międzygimnazjalną placówką, w której stykała się młodzież wszystkich lwowskich gimnazjów. Chór ten stał się wkrótce wielkim i dobrym zespołem śpiewaczym, który brał udział we wszystkich patriotycznych obchodach we Lwowie w ostatnich latach wojny i tuż po powstaniu Państwa Polskiego.

Niezapomniany pozostanie dla członków tego chóru koncert urządzony w Kołomyi przez tamtejsze panie z p. Dwernicką na czele dla rzekomego pomnożenia funduszy miejscowego Koła Pań Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, a w rzeczywistości – zebrania funduszy na legionistów uwięzionych w Huszt. W wypełnionej po brzegi sali kołomyjskiej Kasy Oszczędności przewały mundury oficerów armii niemieckiej i austriackiej, przybył również i generał austriacki Pflantzer Baltin.

Członkowie chóru „Harfa” niemal wszyscy wzięli udział w Obronie Lwowa. W czasie ciężkich przeżyć bojowych Lwowa członkowie „Harfy”, zarówno ci ranni, jak i ci walczący na odcinkach frontu lwowskiego, zbierali się na dorywcze koncerty organizowane w salach szpitala wojskowego Na Technice,

gdzie pieśnią polską umilali rannym ciężkie godziny niemocy.

Wiele czynników składało się na wytworzenie tej atmosfery, w której mógł zrodzić się bohaterski czyn Obrony Lwowa i masowy w niej udział młodzieży lwowskich szkół średnich. Dom, szkoła, na którą tak lekkomyślnie nieraz narzekamy, a po tym dopiero organizacje ideowe.

Chwyłali za broń i szli do boju ci, których żadna organizacja do tego nie zachęcała ani też nie przygotowywała.

Szli, bo ich tak przede wszystkim wychowały matki****.

* Niniejszą relacją napisałem celem uzupełnienia relacji Mieczysława Smereka pt. *Z życia młodzieży lwowskiej szkolnej w latach 1917–1918* (Rocznik T-wa Bad. Hist. Obr. Lwowa, I, s. 24 sq.). Jestem bowiem tego zdania, że jakkolwiek autor usiłował opisać w tej relacji dzieje całej lwowskiej młodzieży szkolnej, to jednak nie rozporządził całkowitym materiałem do przedstawienia tych dziejów, ponieważ znał tylko pewien odcinek życia młodzieży lwowskiej. W życiu organizacyjnym młodzieży szkół średnich we Lwowie w latach 1917–1918 brałem czynny udział i to nie tylko jako członek tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej, ale uczestniczyłem w życiu tego odłamu, który zaczął się najpierw sam organizować, bez jakichkolwiek impulsów czy to ze strony POW, czy też ze strony młodzieży narodowej. Dlatego też pragnę fakty poruszone przez Mieczysława Smereka uzupełnić. Czynię to – podobnie jak Smerek – w formie opisu osobistych przeżyć i wspomnień (przyp. aut.).

** Lokal ten wynajęliśmy dzięki życzliwemu ustosunkowaniu się do naszej akcji zarządcy realności, o której był poinformowany przez swego kuzyna Stanisława Hornunga (przyp. aut.).

*** Opis tych wydarzeń przez Mieczysława Smereka jest nieścisły, tak samo jak nieściśle wydaje się treść odpowiedzi dyr. Śmiałka, gdy przyjmował delegację uczniów II Szkoły Realnej. Muszę stwierdzić, że dyr. Śmiałek nigdy ze swej strony nie czynił przeszkód w akcji politycznej, która od czasu śmierci Czerkasa miała miejsce wśród uczniów IV Gimnazjum (przyp. aut.).

**** Przechowuję u siebie list matki śp. Stanisława Koniuszewskiego, który niestety nie doszedł do syna. Szukałem go, by mu ten list wraz z medalikiem wręczyć, niestety znalazłem go już martwego, z przeszytą kulą karabinową głową. Zginął w Ogrodzie Jezucim. Śp. Stanisław Koniuszewski, uczeń 8 kl. IV Gimn., nigdy nie należał do żadnej organizacji, a chwycił za broń jeden z pierwszych i poległ jeden z pierwszych (przyp. aut.).

Protokół o przekazaniu Miasta Lwowa wojskom Sowieckiego Sojuszu

22.09.1939, miasteczko Winniki

Przedstawiciele Dowództwa Wojsk Sowieckich:

Kom. Bryg. Kuroczkin, Kom. Bryg. Jakowlew, Płk Diedow, Płk Jotczenko, Płk Kom. Makarow.

Przedstawiciele Dowództwa Wojsk Polskich:

Dowódca VI Korpusu Gen. Bryg. Władysław Langner, Płk Dypl. Bronisław Rakowski

Ze względu na okrażenia Polskich Wojsk w mieście Lwowie oddziałami Czerwonej Armii i z drugiej strony oddziałami niemieckimi Dowódca Korpusu Wojsk Polskich generał Władysław Langner nie widzi możliwości kontynuowania dalszej walki i narażania niewinnej ludności na dalsze straty życia i mienia, zmuszonym został przyjąć przedstawione warunki o oddaniu garnizonu Lwowskiego wojskom Czerwonej Armii na następujących warunkach:

1. Wojska Polskie na linii wysuniętych pozycji natychmiast wywieszą białe flagi (Zboiska, Krzywczyce, Pasieki Miejskie, Jałowiec, Bednarówka)
2. Wojska Polskie opuszczą sektory w następującej kolejności:
 - a) Sektor pierwszy: Boiska, Zamarstynów, Hołosko Wielkie
 - b) Sektor drugi: Droga na Janów, Rzęsna (?) Polska
 - c) Sektor trzeci: Droga Stryjska
 - d) Czwarty sektor: połud.-zach. część miasta.
3. Broń złożyc na punktach wyznaczonych.
4. Władze Miejskie Miasta Lwowa przedstawia się mianowanemu Komendantowi Miasta przez Wojska Czerwonej Armii.
5. Wszelkie składy zaopatrzenia, poczta, telegraf, koszary, dworzec kolejowy i urzędy państwowe przechodzą pod zarząd Wojsk Sowieckich.
6. Jeńcy szeregowi i młodzi oficerowie kolumnami pieszymi, starsi oficerowie autami opuszczą miasto wzdłuż szosy Lwów–Kurowice.

7. Ranni, którzy nie mogą maszerować, pozostają w szpitalach wraz z pełnym personelem i lekarzami (lekarze i personel polscy)
8. Oficerom Wojsk Polskich gwarantuje się osobistą swobodę i nietykalność ich prywatnej własności, przy przejazdach do Państw obcych rozstrzyga władza miejska wraz z przedstawicielami władz dyplomatycznych danego Państwa.
9. Łącznie z rozbrojeniem garnizonu podlega rozbrojeniu Policja i Żandarmeria.

Podpisani:

Przedstawiciele Sowieckich Wojsk Kom.:
Bryg. Kuroczkin (m.p.), Kom. Bryg. Jakowlew (m.p.), Płk. Diedow (m.p.), Płk Jotczenko (m.p.), Płk Kom. Makarow (m.p.).

Przedstawiciele Wojsk Polskich:
Dowódca VI Korpusu Generał Langner (m.p.), Płk Dypl. Rakowski

**Dowództwo Okręgu Korpusu P.R.VI
Lwów, dnia 22 września 1939 roku**

Rozkaz dla wojska Załogi Lwowa

1. Ulegając przemocy zarządzam poddanie się załogi miasta Lwowa Armii Sowieców.
2. Na znak poddania d-cy Odcinków, na przedpolu których znajdują się oddziały sowieckie, zarządzam wywieszenie białych flag.
3. O godzinie 13 rozpocznie się zajmowanie odcinków przez oddziały sowieckie. Po złuzowaniu załogi sektorów (szeregowi) maszerują w kolumnach czwórkowych po następujących osiach:
 - Załoga sektora I (płk Walkiewicz): ulicami Żółkiewską – Rynek – Piłsudskiego i dalej na szosę Sichów–Wodniki.
 - Sektor II (płk Brzezińskiego) ulicami Janowską–Słowackiego–Ossolińskich–Romanowicza–Zieloną i dalej na szosę Sichowską.
 - Sektor III (płk Janowski i ppłk Mrozek) ulicą Bajki–Lenartowicza–Pełczyńską–Jabłonowskich–Zieloną.
 - Oddziały Dywizji: (płk Szafran) z centrum miasta za sektorem III.
 - Sektor IV (płk Kanczusi) ulicami Piotra i Pawła–Szewczenki–Zieloną.
 - Obsada centrum (ppor Smereczyński) za załogą sektora IV.

- Sprzęt przeciwlotniczy za obsadą centrum, sprzęt złożyć w koszarach przy ul. Teatyńskiej.
 - Pociągi pancerne pozostają na stacji Podzamcze, załoga odchodzi za załogą sektora I. Pozostawić na każdy pociąg prócz warty po jednym oddawcy.
 - Oddziały kawalerii złożą broń wraz z oddziałami taborów w swych koszarach.
 - Policja i drobne oddziały nie przydzielone w gmachu DOK, po czym wszyscy maszerują na szosę Sichowską.
4. Kompanie i oddziały równorzędne pod dowództwem podoficerów, na każdy baon i dyon po jednym oficerze. Szeregowych i podoficerów zaopatrzyć w posiadany suchy prowiant.
 5. Na skrzyżowaniach dróg przemarszu winni być wystawieni oficerowie regulujący ruch, staraniem d-ców oddziałów.
 6. Wszyscy pozostali oficerowie zbierają się w gmachu DOK, skąd nastąpi przejazd na wschód.
Bagaż można zabrać ze sobą.
 7. Ranni i chorzy, lekarze oraz personel sanitarny pozostają na miejscach swych przydziałów w szpitalach.
 8. Wzywam dowódców wszystkich stopni do zachowania niezbędnej dyscypliny do końca.

*Dowódca OK. VI
Langner (m.p.) Gen. Brygady*

**Dowódca Okręgu Korpusu Nr VI
Lwów, dnia 22 września 1939 roku**

Rozkaz do żołnierzy

Żołnierze!

Przez 10 dni załoga miasta Lwowa odpierała skutecznie natarcia niemieckie. Żołnierze Obrony Lwowa zapisali piękną kartę w historii wojen, przeciwstawiając się wielkiej technicznej przewadze wroga, nie szczędząc krwi i życia. Gdy teraz na rozkaz żołnierze obrony schodzą ze swych pozycji, muszą wiedzieć, że nie poddajemy się w walce Niemcom, żeśmy im się oparli, że ustępujemy Lwów wojskom Sowieców, z którymi nie walczyliśmy i z którymi walczyć nam nie kazano. Ustupając ratujemy Lwów od zupełnego zniszczenia i Was, Żołnierze, zachowujemy dla dalszej pracy w Ojczyźnie i dla Ojczyzny.

Ciężką tą dla każdego Żołnierza decyzją obciążam własne sumienie. Innego wyjścia dzisiaj nie mamy. Wam pozostaje rozkaz kamie wykonać – posłusznie spełnić Wasz ostatni do czasu żołnierski obowiązek.

Dziękuję Wam za krew i trudy. Ojczyzna Wam tego nie zapomni. Niech żyje Polska!

*Dowódca Okręgu Korpusu Nr VI
Langner, gen. bryg.*

dokończenie ze s. 6

jako heroiczny świadek Chrystusa i pasterz tych, którzy doświadczyli prześladowań z powodu wiary i pochodzenia... Bogu dziękuję, że mogłem go osobiście poznać, budować się jego świadectwem i wspierać w każdy możliwy w tamtych czasach sposób”.

19 czerwca 2006 r. rozpoczął się proces kanonizacyjny Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego. Wiele sesji dochodzenia kanonizacyjnego miało miejsce w wioskach położonych na stepach Kazachstanu, gdzie do dzisiaj żyją świadkowie, którzy pokonywali setki kilometrów, aby przyjąć sakramenty z rąk Księdza. Wielu z tych, którzy go znali, opuściło Kazachstan i trzeba ich było odnajdywać w Niemczech, Austrii, na Ukrainie i w Polsce. W trakcie procesu, w trosce o kult Sługi Bożego, powstało Stowarzyszenie im.

ks. Władysława Bukowińskiego „Ocalenie”. Wielu ludzi modliło się w intencji beatyfikacji Księdza i udokumentowano wiele znaków otrzymanych łask za wstawiennictwem ks. Bukowińskiego. W Zagórniku k. Andrychowa powstało jedyne w Polsce Centrum ks. Bukowińskiego wraz i Izbą Pamięci.

Znamienna data beatyfikacji ks. Władysława Bukowińskiego – 11 września 2016 r., Roku Miłosierdzia – jest symboliczna. To czas, kiedy możemy oddać hołd tysiącom zesłańców i niewinnie zamordowanym ludziom. To także czas przebaczenia.

„Zdaje się, że nie dałem się nigdy zatruć nienawiścią i że miłość nieprzyjaciół nie była tylko piękną teorią w moim życiu na Wschodzie” – pisał ks. Władysław Bukowiński w swoich *Wspomnieniach*.

POMNIK W HANACZOWIE

W miejscu obecnej Hanaczówki przed wojną stała wieś Hanaczów. Jego mieszkańcy zostali wymordowani w wyniku dwóch ataków UPA i następującej po niej pacyfikacji, dokonanej przez złożony z Ukraińców oddział SS Galizien. „Pomimo wielu niesprzyjających okoliczności, do których należy przede wszystkim zaliczyć kultywowanie na Ukrainie OUN, UPA i Stefana Bandery, udało nam się rzecz niesamowita. W dawnym Hanaczowie, gdzie znajduje się zbiorowa mogiła 170 Polaków bestialsko zamordowanych przez banderowców, postawiliśmy wraz z potomkami hanaczowian pomnik upamiętniający wszystkich, którzy zginęli tylko dlatego, że byli Polakami i tej polskości się nie wyrzekli” – pisze na swojej stronie na portalu społecznościowym inicjatywa „Mogilę pradziada ocal od zapomnienia”, która wraz z wrocławską Fundacją Studia Wschód była inicjatorem i organizatorem wzniesienia pomnika.

Uroczystość rozpoczęła się od mszy odprawionej przez duchownych katolickich i grekokatolickich. Z udziałem rodzin ofiar i miejscowej ludności odbyła się specjalna uroczystość w czasie której odprawiono pogrzeb ofiar i poświęcono tablicę na ich mogile. Odczytano apel poległych, podczas którego wyczytano imiona i nazwiska

mieszkańców Hanaczówki pozbawionych życia w 1944 roku.

„Gdy pół roku temu przyjechałam w to miejsce, zobaczyłam ten zarosnięty cmentarz, nie wierzyłam, że w tak krótkim czasie uda się zorganizować coś takiego. To jest niepojęte. Wraz z innymi potomkami hanaczowian zastanawiamy się, czy nie ma w tym wszystkim palca bożego” – strona inicjatywy cytuje Jolantę Włoch, dyrektorkę szkoły w Rogach, która podziękowała redaktor Studia Wschód Grażynie Orłowskiej-Sondej za pomoc w budowie pomnika.

Wiosną 1944 wieś była celem dwukrotnych ataków UPA. Liczyła wówczas około 3 tys. mieszkańców, gdyż przybyli do niej uciekinierzy z innych miejscowości, w tym kilkudziesięciu Żydów. Pierwszy atak prowadziło 2 lutego 1944 kilkuset bojówkarzy UPA i 20 kolaboracyjnych policjantów narodowości ukraińskiej. Został on odparty przez zorganizowaną jeszcze jesienią roku poprzedniego Samoobronę. Kolejny raz upowcy uderzyli, również w siłę kilkuset ludzi, 10 kwietnia, starcie skończyło się zwycięstwem polskiej Samoobrony. Ostateczny cios Polakom zadał 2 maja złożony z Ukraińców oddział SS Galizien, wspierany przez niemiecką żandarmerię i trzy czołgi. W ich ataku wymordowano pozostałych mieszkańców. Ci którzy nie zginęli w walce, zostali spaleni żywcem bądź zarąbani siekierami. Niemcy zniszczyli czołgami pozostałe zabudowania, tak że po wsi nie pozostał ślad.



Kamionka Strumiłowa

Jak rodzina Niemkiewiczów ocaliła żydowską dziewczynkę

Wrzesień 1939 r. Wojsko polskie cofa się na wschód pod naporem przeważających sił wroga. Wspaniała słoneczna pogoda sprzyja Luftwaffe, która bezlitośnie atakuje kolumny wojska i tłumy cywilów. Rzucone nieopatrznie wezwanie, by mężczyźni udawali się na wschodnie tereny Rzeczypospolitej, przeraża się w straszliwą lawinę. Drogi i ścieżki wypełniają tłumy przerażonych uchodźców. Powstaje wszechogarniający chaos, panika, nad którą nikt nie jest w stanie zapanować.

Do Kamionki Strumiłowej przybywają rzesze uchodźców, część z nich idzie dalej. Niewielkie kilkutyśieczne wielokulturowe miasteczko (Polacy, Ukraińcy, Żydzi) nie było w stanie udzielić schronienia rzeszom uchodźców. Wielu jednak pozostało, wszelkie dalsze ruchy przekreśliło wkroczenie Armii Czerwonej. Wśród tych, którzy zatrzymali się w Kamionce, położonej o ponad 30 km na północny wschód od Lwowa, znalazła się również młoda kobieta z Katowic.

Zamieszkiwała w niewielkim pokoiku na piętrze domu rodziny Niemkiewiczów, położonym niedaleko stacji kolejowej. W 1941 r. do Kamionki wkroczyli Niemcy, powołali ukraińską policję i w ogóle kokietowali Ukraińców w myśl rzymskiej maksymy „Dziel i rządź”.

Jeszcze w czasie sowieckiej okupacji katowiczanka poznała młodego mężczyznę pochodzenia żydowskiego. Już gdy zjawili się Niemcy, młodej parze urodziło się dziecko. Wypadki potoczyły się szybko. Trzecia Rzesza, realizując rasistowskie poglądy przywódców, przystępuje do „ostatecznego rozwiązania „kwestii żydowskiej”. Mówiąc wprost, realizuje eksterminację Żydów. Przy pomocy policji ukraińskiej w krótkim czasie Niemcy mordują setki tysięcy Żydów bezpośrednio na miejscu lub wysyłając ich do obozu w Bełżcu, nie bez powodu nazywanego fabryką śmierci.

Ojca małej dziewczynki zatrzymują stacjonujący w Kamionce żandarmi. Dziewczynkę pozostawiono z jej aryjską matką.

Nie trwa to jednak długo, do domu Niemkiewiczów wkraczają żandarmi i zabierają na posterunek zaledwie roczne dziecko. Najwyraźniej ktoś zadenuncjował malutką, w której żyłach płynie krew narodu skazanego na zagładę.

Matka rozpacza, wyrwano z jej rąk jedyne dziecko, małeńką roślinkę, która dopiero niedawno pojawiła się na tym okrutnym świecie. Niemkiewiczowie, którzy zżyli się z przybyszką z Katowic, próbują znaleźć jakiś sposób, by uratować dziecko, wyrwać je z rąk okrutnych oprawców. Trzeba działać prędko, zanim dziewczynka dołączona zostanie do transportu do Bełżca.

Nie wiadomo, kto wpadł na ryzykowny pomysł (żona czy też mąż), by podjąć próbę ratowania dziecka. Zapada decyzja. Mieczysław Niemkiewicz udaje się na posterunek i oświadcza zaskoczonym żandarmom, że on nawiązał romans z młodą, atrakcyjną przybyszką z Katowic. Utrzymywał, że starannie to skrywał, by nie dowiedziała się o tym żona (Filomena), jak i dorastający synowie. Jednak w obliczu śmiertelnego zagrożenia życia dziecka zdecydował się ujawnić całą prawdę, by ocalić maleństwo.

Narracja głowy rodziny Niemkiewiczów była na tyle przekonująca, że zdecydowano się spełnić jego prośbę. Żandarmi zaś śmiewali się rubaszenie, ubawieni sytuacją. W solidnym mieszczańskim domu taki pikantny związek jak w popularnym brukowcu. Skandalizujące wydarzenie tak ubawiło stróżów prawa (stary Niemkiewicz dobrze znał niemiecki), że bez oporu przekazali maleńkiego aresztanta, który pochlipywał oderwany od mamy.

W domu nie wszyscy wierzyli w powodzenie ryzykownego przedsięwzięcia, tym większa była radość ze szczęśliwego obrotu sprawy.

Historia rzekomego romansu z sublokatorką z Katowic utrzymywana była w tajemnicy. Dziewczynka dorastała sprawiając radość wszystkim domownikom.

Na wieść o zbliżaniu się wojsk sowieckich Mieczysław Niemkiewicz wyjechał wraz z całą rodziną (oprócz najstarszego z synów, Franciszka) do miasteczka Sieniawy koło Jarosławia, by po pewnym czasie przenieść się na stałe do Jarosławia.

Na skutek wyjazdu kontakt z sublokatorką i jej dzieckiem urwał się. W wyniku styczniowej ofensywy armia radziecka zajęła m.in. Katowice. Kobieta z dzieckiem wróciła do rodzinnego domu. Po paru latach odnalazła Niemkiewiczów, wobec których żywiła jak najlepsze uczucia.

Tymczasem dziewczynka wyrwana z rąk niemieckich żandarmów wyrosła na piękną pannę, ukończyła studia i podjęła pracę. Dawna znajomość jest nadal kontynuowana.

Okazało się jednak, że młoda katowiczanka nie życzy sobie, by dokładnie opisywać dramatyczne zdarzenia z lat okupacji w Kamionce. Rodzina Niemkiewiczów uszanowała jej prośbę, dlatego nie podajemy nazwisk matki i jej córki, chociaż opisane wydarzenia są prawdziwe.

Okazuje się, że często Polacy, aby ocalić zagrożonych Żydów, gotowi byli sięgnąć po każde środki, byle osiągnąć zamierzony skutek. Determinacja, jaką wykazał się Polak z Kamionki, musi budzić podziw. Tym bardziej, że nie otrzymał on honorowego wyróżnienia „Sprawiedliwy wśród narodów świata”. Bohaterowie opisanego zdarzenia Filomena i Mieczysław Niemkiewiczowie spoczywają na starym cmentarzu w pięknym Jarosławiu.

Kolejna biała plama usunięta

Przed paru laty odbyło się w Krakowie spotkanie z Dieterem Schenkiem, niemieckim historykiem, autorem książki *Noc morderców. Każdą polskich profesorów we Lwowie i holokaust w Galicji Wschodniej*.

Autor opowiadał o pracy nad książką, a także o okolicznościach zamordowania przez hitlerowców profesorów polskich we Lwowie w lipcu 1941 roku. Przedstawiamy fragmenty odpowiedzi badacza na pytania publiczności.

Jaka była geneza i główna motywacja powstania tej książki?

Od trzydziestu lat zajmuję się tematyką narodowego socjalizmu i niemieckiej okupacji w Polsce, a efektem tego stała się moja pierwsza książka o Gdańsku. Badając tę tematykę zauważyłem, że nie ma ani jednej pracy poświęconej mordowi na polskich profesorach we Lwowie. Pewnego dnia zetknąłem się z profesorem Tomaszem Cieszyńskim z Wrocławia, synem jednego z zamordowanych profesorów, który przybliżył mi tę sprawę. Tomasz Cieszyński miał w lipcu 1941 19 lat, ale gdy hitlerowcy zapytali, w jakim jest wieku, jego matka powiedziała, że ma 16 lat. W ten sposób

uratowała mu życie. Uznałem, że trzeba zająć się tą sprawą i wymazać białą plamę.

Dlaczego do narodowego socjalizmu przystępowali chętnie ludzie kultury, artyści?

Zainteresowanie było obustronne. Narodowi socjaliści próbowali pozyskać artystów dla swojego ruchu. Propaganda starała się przedstawiać go w sposób atrakcyjny, by przyciągnąć jak największe rzesze. Przedstawiciele kultury zapraszano na przyjęcia i spotkania, a następnie zwracano baczną uwagę na ich obecność. W Niemczech zaś istniała pewna przychylność dla ruchu nazistowskiego spowodowana kryzysem gospodarczym lat 30 i traumą po przegranej I wojnie światowej. W związku z tym nawet ludzie elit byli skłonni uwierzyć obietnicom Hitlera. Sam Hans Frank był wykształconym człowiekiem, znał się na sztuce, i mimo to stał się wiernym poplecznikiem reżimu, a co wyprawiał w okupowanej Polsce, nie muszę chyba mówić.

Czy wie Pan, kto wzbogacił się na dziełach sztuki z domów zamordowanych profesorów?

Rzeczywiście część z nich była zamożnymi ludźmi (np. prof. Kazimierz Bartel) i miała bogate zbiory.

Jak państwo wiedzą, narodowi socjaliści przywłaszczali sobie mienie zamordowanych ▶

Władysław Białowąs

Wspomnienia o Emilu Frydlu

Emil Frydel, syn Ignacego i Pauliny, ur. w 1914 r. w Zbarażu w woj. tarnopolskim. Od 1923 wraz z rodziną zamieszkał w kolonii Korczonek należącej do wsi Iłhrowica pow. Tarnopol.

W wieku 21 lat został w 1937 r. powołany do odbycia czynnej służby wojskowej i wcielony do 54 pułku piechoty w Tarnopolu. Czynną służbę wojskową ukończył we wrześniu 1938 r. i został przeniesiony do rezerwy. Tu należy wspomnieć, że jednostka ta w ramach rotacji w 1937 r. wyznaczona została do oddelegowania tzw. kontyngentu do Batalionu Stołecznego (odpowiednik kompanii honorowej). Kryterium wyboru osób do Warszawy był bardzo ostry. Kandydat nie mógł być piegawaty, rudy ani zezowaty, ponadto orli nos również był przeszkodą. Limit wzrostu wynosił 165–175 cm. Na dzisiejsze czasy niski, ale ludzie dawniej nie byli „dryblasami”. Emil w limicie się zmieścił. Liczył sobie 166 cm. Starsi mieszkańcy

Korczyńska opowiadali po wojnie, jak Emil paradował, będąc na urlopie, w galowym i dobrze skrojonym mundurze.

GROŹBA WOJNY

Latem 1939 r. groźba wybuchu wojny wisiała już w powietrzu, przynosząc wiele niepewności i jak najgorszych przewidywań. W niedzielę 28 sierpnia dzień był bardzo ładny, słoneczny i nadzwyczaj ciepły. Zgodnie ze zwyczajem młodzież polska wybrała się do wioski na nieszpory, gdyż była to dobra okazja do towarzyskich spotkań po przepracowanych dniach tygodnia.

Pod kościół przyszedł woźny gminny z werblem i ogłosił donośnym głosem, kto winien zgłosić się do urzędu gminy w trybie pilnym po kartę mobilizacyjną. Emil Frydel był pod kościołem, natychmiast zgłosił się do urzędu gminy i otrzymał kartę mobilizacyjną. Na pożegnanie czasu nie było wiele, gdyż o 20.00 wyjeżdżały podwozy, by odwieźć zmobilizowanych do najbliższej stacji kolejowej. Emil zgłosić się miał do 52 pułku piechoty w Złoczowie i został skierowany z tą jednostką w okolice Ostrowca Świętokrzyskiego, gdzie toczyły się walki z Niemcami, którzy 1 września 1939 r. napadli na Polskę.

W czasie walk z Niemcami 22 września 1939 r. Emil został ranny pod Piotrkowem ▶

▶ osób. Jednym z tzw. powierników, który we Lwowie zajmował się majątkiem zabitych profesorów, był Pieter Menten, pochodzący z Holandii, ale mówiący świetnie po polsku. Miał kilka antykwariatów w Krakowie, w których handlował rzeczami odebranymi Żydom. Menten był też tłumaczem i donosicielem.

W momencie zbrodni przebywał we Lwowie i był widziany przez świadków aresztowań, jak siedział w samochodzie. Po zbrodni kupił jedną z profesorskich willi za 50 tys. złotych, choć jej wartość była trzykrotnie wyższa. Jego żona widziana była w Krakowie w biżuterii należącej wcześniej do jednej z lwowskich arystokratek. Przywłaszczanie sobie cudzego mienia było wśród nazistów nagminne. SS kradło i wywoziło majątek całymi ciężarówkami. Świadczy to o ogromnej korupcji tam panującej, mimo że formacja

ta uważana była za elitarną, taką, w której obowiązuje ścisły kodeks moralny.

Wspomniany Menten majątek zgromadzony w Polsce przewiózł pociągiem do Holandii. Po wojnie odkryto jego przeszłość i wytoczono proces, choć nie za korupcję czy udział w zbrodniach, ale za „wspieranie wroga” (taka konstrukcja prawna istniała w holenderskim prawie). Odsiedział osiem lat. [...]

A wracając do Galicji Wschodniej: po dokonaniu mordu na profesorach lwowskich Einsatz-kommando ruszyło dalej. Ludzie ci przenieśli się do innych miejscowości Galicji: Drohobycza, Stanisławowa, Kołomyi – tam kontynuowali mordy, tym razem na Żydach i już na masową skalę. W sumie w dość krótkim czasie zamordowano 18 tys. osób. Wszystkie te zbrodnie miały charakter zorganizowany i przebiegały pod kontrolą władz policji bezpieczeństwa i SS. [...]



Emil Frydel (po lewej), obok kolega, z którym był w Warszawie

Trybunalskim, skąd Niemcy zabrali go do szpitala. Po podleczeniu niemiecka komisja lekarska zwolniła go do cywila z powodu wycieńczenia i niezagojonych ran. Do domu wrócił około 20 października 1939 r.

SOWIECI WKRAČAJĄ

W niedzielę wieczorem 17 września 1939 r. mieszkańcy Iłhowicy, jak też mieszkańcy kolonii usłyszeli warkot czołgów. To sowiecka armia nocą przekroczyła granicę sowiecko-polską, zadając cios w plecy Polsce.

Sowieci po wkroczeniu do Polski przystąpili do wylapywania rozproszonych żołnierzy, zaczęto aresztować policjantów, leśników, pracowników innych służb mundurowych. Wsadzano ich do więzień, a z czasem wywożono na Sybir lub do obozów.

Okupanci podzielili Polskę między sobą – ziemię zachodnie okupowali Niemcy, a ziemię wschodnie Sowieci. Powstała między nimi tzw. granica. Pod koniec września zaczęli wracać niektórzy frontowcy, Powrót ich nie był łatwy, ponieważ Sowieci w Przemyślu „granice” uszczelnili. Inne przeszkody – trudności to bandy ukraińskich nacjonalistów żądne łupu i broni. Mordowali napotkanych żołnierzy, którzy dążyli do domu. W najlepszym wypadku ogafacali ich z odzieży i puszczali tylko w bieliznie.

Jak już wspomniałem, Emil Frydel z niewoli powrócił przekraczając „granice” w Przemyślu. Dokumenty wystawione przez Niemców Sowieci honorowali. Do czerwca 1941 r. przez kilkanaście miesięcy Emil pra-

cował w Zakładach Kolejowych w Tarnopolu jako ślusarz.

DEPORTACJA

Po wkroczeniu wojsk sowieckich na kresy wschodnie 17 września 1939 r. władza sowiecka postanowiła po kilku miesiącach niektóre grupy ludności polskiej wywieźć na Sybir. Pierwsza wywózka odbyła się 10 lutego 1940 r. i objęła cywilnych osadników (kolonistów), pracowników służb leśnych, osadników wojskowych, obywateli polskich, a także Białorusinów, Litwinów, Ukraińców. Deportowano w tym dniu ok. 220 tys. osób. Temperatura w lutym wynosiła –35°C. Druga deportacja odbyła się w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 r. i objęła ok. 230 tys. obywateli, szczególnie kobiety i dzieci. Trzecia deportacja rozpoczęta nocą z 28 na 29 maja trwała aż do końca lipca 1940 i pochłonęła ok. 240 tys. osób, głównie Żydów.

Czwarta deportacja odbyła się na przełomie maja i czerwca 1941 r. Objęła około 240 tys. ludzi. Ze względu na przypadającą w tym czasie ofensywę niemiecką w ZSSR znaczna część transportów nie dotarła na miejsce przeznaczenia padając łupem Luftwaffe.

Z rodziny Ignacego Frydla, który mieszkał na Kolonii Korczynek, zostali wywiezieni: żona Ignacego, Paulina ur. w 1883 r., ich córka Michalina ur. w 1922 r., syn Jan ur. w 1927 r. w czasie załadunku do wagonu na stacji Hluboczek Wielki szczęśliwie uciekł. Ignacy (ojciec) z synem Emilem, nie wiedząc, że w nocy z 9 na 10 lutego będą

deportować kolonistów na Sybir, pojechali sańmi 9 lutego do lasu po drewno opałowe w okolicy Zbaraża, z zamiarem przenocowania u krewnych. Ich nie wywieziono. Matka Paulina zmarła w Iranie i została pochowana w Teheranie, natomiast Michalina przez Afrykę w 1947 r. powróciła do Polski.

DENUNCJACJA

W czasie okupacji niemieckiej, od lipca 1941 do marca 1944 r., Emil Frydel z bratem Janem pomagali ojcu w gospodarce rolnej. W 1943 r. Emil zawarł związek małżeński z Heleną Adamarczuk mieszkającą w Korczynku. Tu trzeba wspomnieć, że rodzice Heleny i jej rodzeństwo – 6 osób, zostali wywiezieni 10 lutego 1940 r. na stację Hłuboczek Wielki (pow. tarnopolski), a stamtąd na Sybir (ojciec Piotr ur. 1895, matka Weronika i rodzeństwo – Jan, Helena, Janina, Władysław, Tadeusz i Kazimierz). Koloniści z Korczynka zabrani zostali przez NKWD w nocy 10 lutego 1940 r. i załadowani do wagonów towarowych w Hłuboczku Wielkim. 11 lutego przed północą pociąg z kolonistami wyruszył na wschód. W pociągu uzgodniono, że Jan – brat Heleny ur. w 1919 r. i trzy lata młodsza Helena, aby się ratować przed wywózką na Sybir, wyskoczą z pociągu i udadzą się do stryjka, który mieszkał w niedalekich Czaharach koło Zbaraża. Przed stacją kolejową Maksymówka, gdzie mieli wyskakiwać, odrutowano okienko i przygotowano tobołki. Wskoczyli przed stacją, w miejscu gdzie pociągi zawsze zwalniały. Sprzyjało im to, że była noc, a na gruncie warstwa śniegu. Kiedy pociąg odjechał, podnieśli się ze śniegu, pozbierali tobołki i poszli do swojego stryja.

U stryja dano im posiłek i przenocowano, chociaż stryjkowi i stryjence nie podołało się, że uciekli z transportu. Na drugi dzień rano stryjek wyszedł z domu. Wrócił po jakimś czasie w towarzystwie NKWD. Okazało się, że był zwolennikiem ideologii komunistycznej i doniósł o wszystkim NKWD. Aresztowano ich i zawieziono do Zbaraża. Po paru dniach pobytu w areszcie rodzeństwo odesłano do Tarnopola do pociągu zbiorowego, który za kilka godzin miał wyruszyć na Sybir. Oboje znaleźli się w zimnym wagonie. Wtedy Helena zachorowała, straciła przytomność i dostała wysokiej temperatury. Kierownictwo pociągu postanowiło odesłać ją pod eskortą żołnierza

do szpitala w Tarnopolu. Po rozpoznaniu, że Helena zachorowała na tyfus, dyrekcja szpitala wydała władzom zaświadczenie, że chora musi się leczyć w szpitalu i nadzieja na jej wyleczenie jest mała.

SOWIECI WRACAJĄ

Armia Sowiecka wkroczyła ponownie na te tereny w 1944 r., przepędzając wojska niemieckie, które w niektórych rejonach stawiały opór. Ciężkie walki były na górze Towtry oraz o miasto Tarnopol.

Już 19 kwietnia 1944 r. po zdobyciu Tarnopola przez wojska sowieckie Emil Frydel został zmobilizowany do Wojska Polskiego i wcielony do 15 pułku artylerii przeciwlotniczej na stanowisko celowniczego. Z czasem za odwagę i zdyscyplinowanie został awansowany do stopnia kaprala z przydziałem na stanowisko działowego, a we wrześniu 1944 za zasługi zostaje awansowany do stopnia plutonowego z przydziałem na stanowisko szefa baterii. Brał udział w walkach o wyzwolenie wielu miast i miejscowości: o Warszawę, Jastrów, Frydłąd Pomorski, Wał Pomorski, Kołobrzeg, Rederitz. Jego bateria dotarła 10 km od Berlina.

Po zakończeniu II wojny światowej Emil Frydel zdemobilizowany z wojska 24 października 1945 r. wraca do żony, która z innymi rodzinami z Korczynka została deportowana do wsi Parypsy k. Chełma w lutym 1945 r.

Po półtorarocznym pobycie w Parypsach cztery rodziny, w tym rodzina Emila – żona i dwuletni syn – postanowili przesiedlić się na tzw. ziemię zachodnie do wsi Wielkie Łąki, gmina Korfantów. Przydzielono im gospodarstwa rolne i na nich gospodarowali. Emil wraz z żoną prowadzili gospodarstwo rolne do listopada 1976 r.

Ze względu na stan zdrowia żony ziemię przekazali na skarb państwa za rentę rolniczą. Przez okres od zakończenia wojny do kwietnia 1987 r. oczekiwał, że otrzyma obiecane wysokiej rangi odznaczenie bojowe.

12 kwietnia 1987 r. napisał pismo – podanie do Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego w Warszawie, ul. Królewska 2, w sprawie tego odznaczenia. W liście Emil Frydel pisał między innymi:

„Zwracam się z uprzejmą prośbą o spowodowanie przyznania mi obiecanej podczas II wojny światowej odznaczenia bojo-

wego za udział w likwidacji sztabu niemieckiego dowództwa.

Podczas służby w wojsku, gdy front znajdował się w m. Gryfice, zgłosiła się do naszego dowództwa młoda dziewczyna, uczestniczka Powstania Warszawskiego, która pracowała w pobliskiej leśniczówce i powiedziała, że w tejże leśniczówce znajduje się niemiecki sztab. Leśniczówka znajdowała się w odległości około 3 km od miejsca naszego postoju. Wyznaczono wówczas 12 żołnierzy, wśród których byłem również ja.

Po bardzo dobrym uzbrojeniu powyższej grupy żołnierzy wyruszyliśmy na akcję. Otrzymaliśmy rozkaz wzięcia Niemców do niewoli. Dzięki naszej bojowości i postawie żołnierskiej zdobyliśmy leśniczówkę i wzięliśmy do niewoli 32 żołnierzy niemieckich, w tym niemieckiego generała lejtnanta o nazwisku von Ritel-Rajtkil, siedmiu wyższych oficerów, pozostałych podoficerów i żołnierzy – razem 32. Przyprowadziliśmy Niemców (w znacznej części rannych) do naszego sztabu.

Otrzymałem po powrocie rozkaz, abym pełnił przez całą noc wartę przy generale w pokoju, w którym go zakwaterowano. Nie mogę do dziś zrozumieć, dlaczego nie otrzymałem obiecanego po wyżej opisanej akcji odznaczenia, tym bardziej że pozostali koledzy, którzy ze mną brali udział w akcji, otrzymali Krzyż Walecznych.

Z gorączą czytałem opis akcji (w której brałem przeciw udział) w regionalnej prasie i nie mogę zrozumieć, dlaczego o mnie zapomniano.

W moim odczuciu, tym bardziej że dowództwo miało do mnie jako żołnierza zaufanie, skoro po akcji otrzymałem rozkaz pilnowania generała przez całą noc (dołączam odcinek z prasy do mojego podania).

Przeszedłem cały front, byłem ranny (postrzelone dwa uda) i leżałem w szpitalu w Ostrowcu Świętokrzyskim. Odznaczenie bojowe ma dla mnie ogromne znaczenie jako byłego frontowca i obecnego członka ZBOWiD. Obecnie mam 73 lata i jestem na emeryturze i bardzo często wracam wspomnieniami do tamtych feralnych chwil i zawsze te wspomnienia kończą się tą gorzką dla mnie prawdą, że o mnie zapomniano.

Odczuwam ten fakt tym bardziej teraz, gdy Sejm uchwalił ustawę przyznającą za odznaczenia bojowe dodatek do emerytury.

Jestem emerytem „starego portfela” i dodatków do emerytury byłby naprawdę znaczący w moim skromnym budżecie... Proszę o ponowne rozpatrzenie mej prośby”.

Emil Frydel z żoną jesienią 1984 r. wyprowadzili się z Wielkich Łąg i zamieszkali w Nysie. Zmarł 6 września 1991 r. i został pochowany na cmentarzu w Korfantowie.

Do dnia śmierci nie było żadnej odpowiedzi na jego pismo – list w sprawie obiecanego odznaczenia. Należy wspomnieć, że Emil Frydel za udział w walkach II wojny światowej otrzymał następujące odznaczenia: brązowy medal Zasłużonym na Polu Chwały, legitymacja nr 24468 z 9.02.1971 r., srebrny medal Zasłużonym na Polu Chwały, legitymacja nr 24469 z 9.02.1971 r., medal za udział w walkach o Berlin, legitymacja nr 9578 z 9.05.1968 r.

PROŚBA DO CZYTELNIKÓW

Poszukiwane są dane biograficzne o ADAMIE WIKTORZE BOBERZE, przedwojennym drukarzu lwowskim, a zarazem autorze *Historii drukarni i stowarzyszeń drukarskich we Lwowie*.

Ze *Słownika Biograficznego Książki Polskiej* (Łódź 1962) wiadomo, że w 1922 roku był redaktorem naczelnym czasopisma „Ognisko”.

Danych tych poszukuje pani Wiktoria Durkalewicz do przygotowywanej pracy.

Ewentualni posiadacze materiałów o A.W. Boberze proszeni są o kontakt z p. Durkalewicz:

– a/c 52 Drohobycz 82100, Ukraina
– frankonebo@ukr.net, .

Na marginesie informujemy, że córka A.W. Bobera, p. Wanda Bober-Majchrzycka była członkiem naszego oddziału krakowskiego TML i KP-W, a druga córka, Alicja Bober-Michałowska – naszą korespondentką. Niestety obie już nie żyją. Patrz także Cracovia–Leopolis nr 50 z r. 2007, s. 57.

W imieniu zainteresowanych – dziękujemy.

Władysław Siemaszko

W uzupełnieniu do rozmowy z p. prof. Teresą Wawrzynowicz

Cracovia–Leopolis nr 2 (82), 2015, ss. 26–33

W okresie międzywojennym mieszkalem wraz z rodziną we wsi Werba (pow. Włodzimierz Wołyński), gdzie znajdowała się siedziba gminy, w której pracowałem w latach 1938–1939 jako referent wojskowy. Gmina Werba była mi znana nie tylko w wyniku kontaktów z rodziną, która zamieszkiwała w kilku okolicznych miejscowościach, ale również dzięki towarzyskim powiązaniom oraz służbowym obowiązkom, w ramach których jeździłem „w teren”. Również dobrze znałem Włodzimierz Wołyński, w którym mieszkalem podczas okupacji niemieckiej.

Lektura wspomnień P. Profesor to wzruszenia, gdy napotyka się znane miejsca, ludzi i wydarzenia. Wybudziło się w mej pamięci wiele epizodów związanych z podanymi w rozmowie informacjami. Niektóre z nich wymagają uzupełnienia, inne sprostowania.

Na s. 28 CL znajduje się wzmianka o gimnazjum w Madejowie (miasteczko przy linii kolejowej Chełm–Kowel w pow. kowelskim), prowadzonym przez siostry niepokalanek, do którego uczęszczała siostra p. Teresy Wawrzynowicz. (...) W 1939 r., po wybuchu wojny, siostry opuściły klasztor i placówkę szkolną. Wywędrowały do klasztoru niepokalanek w Jarosławiu. Pałac Miączyńskich, siedziba sióstr, został zajęty przez sztab wojsk pogranicznych NKWD. Nie odpowiada prawdzie, że część sióstr i ich przełożona s. Wołowska zostały zamordowane przez Ukraińców – na szczęście sióstr z Madejowa na Wołyniu w czasie rzezi nie było.

Czas aresztowań po wkroczeniu Sowieców do Włodzimierza Wołyńskiego jest mi dobrze znany, bowiem od początku okupacji byłem zaangażowany w konspiracji, do której należeli Polacy z Włodzimierza i okolic. Toteż na podstawie pamięci muszę sprostować, że ksiądz Stanisław Kobylecki, proboszcz kościoła pojezuickiego we Włodzimierzu Woł. nie został aresztowany – jak uważa Pani Profesor – natychmiast po wkroczeniu Sowieców. Nie byłoby to moż-

liwe choćby z tego powodu, że – jak ustaliła Maria Dębowska i Leon Popek (*Duchowieństwo diecezji łuckiej. Ofiary wojny i represji okupantów 1939–1945*, Lublin 2010, s. 99) – został mianowany proboszczem w październiku 1939 r. W 1940 r., w związku z aresztowaniami od marca 1940 r. członków konspiracji ZWZ, w której brał udział, ukrywał się aż do czasu aresztowania. Data uwięzienia ks. Kobyleckiego nie zachowała się w mej pamięci, choć na pewno ją znałem, przebywając kilka miesięcy w jednej celi śmierci z Księdzem. Jednakże podana przez wymienionych już autorów M. Dębowską i L. Popka (s. 99 ich ww. pracy), tj. 1 listopada 1940 r., też nie jest datą właściwą. Otóż od 1 do 5 listopada 1940 r. w Łucku odbywał się proces 35 członków konspiracji ZWZ z Włodzimierza Wołyńskiego i okolic, w którym byłem oskarżony, tak jak ks. Kobylecki. Postawienie oskarżonego przed sądem zawsze było poprzedzone długotrwałym śledztwem, polegającym na wielokrotnych przesłuchaniach, trwających nieraz wiele miesięcy. Nie jest więc możliwe, by ks. Kobylecki tego samego dnia był aresztowany i doprowadzony przed sąd, bo byłoby to sprzeczne z powszechnie stosowaną przez NKWD praktyką, ale też pewnie obowiązującymi w NKWD procedurami. Nękające przesłuchania miały przecież na celu doprowadzenie do stanu psychicznego, w którym podejrzany przyznaje się do popełnienia przestępstwa, a także do wyjawienia wszystkich powiązań. Powierzenie we wrześniu 1940 r. ks. Andrzejowi Gładysiewiczowi obowiązków proboszcza kościoła pojezuickiego (...), opuszczonego przez ks. Kobyleckiego, może stanowić wskazówkę, że Kuria zdecydowała się na to w związku z aresztowaniem ks. Kobyleckiego, co ówczasie oznaczało, że ksiądz nie wróci prędko do swej parafii. W zbiorowym procesie włodzimierskiej grupy konspiracyjnej ks. Kobylecki otrzymał karę śmierci, to samo spotkało również mnie.

Okoliczności ocalenia ks. Kobyleckiego podczas masakry więźniów przez NKWD w Łucku były inne, niż podała Pani Profesor. Po dwóch miesiącach wspólnego w jednej celi oczekiwania na wykonanie kary śmierci zostaliśmy z ks. Kobyleckim ułaskawieni na 10 lat pobytu w łagrze i dalej razem przebywaliśmy w tzw. celi transportowej,

z której mieliśmy być wywiezieni do obozu w Rosji. 23 czerwca 1941 r., w związku z napaścią Niemiec hitlerowskich na ZSRS, NKWD likwidowało więzienie, rozstrzelując i rzucając granatami na więźniów zgromadzonych na dwu podwórkach więziennych (...). Ks. Kobyłecki pociągnął mnie za duży metalowy kocioł do roznośzenia posiłków stojący na podwórzu (...) Pociski odbijały się od tego kotła i nic nam się nie stało. Nie jest więc prawdą, że ciało upadającego więźnia ocaliło go od śmierci. (...) Dalszy przebieg wydarzeń po masakrze można przeczytać w moim wspomnieniu *Jak przeżyłem masakry w Łucku*, zamieszczonym w „Naszym Dzienniku” z 25.08.2009 r.

Podążając za tokiem rozmowy w „Cracovia–Leopolis” z Panią Profesor, wracam do 1939 r. Na s. 29 CL jest wymienione miejsce zamieszkania stryja Pani Profesor – Leona Wawrzynowicza: „wieś Grabina”. Grabina nie była wsią, lecz osadą wojskową założoną w 1921 r. na gruntach będących podczas zaboru we władaniu generała rosyjskiego Dwernickiego. Majątek ten został skonfiskowany przez władze carskie rodzinie Cieszkawskich za udział w powstaniu styczniowym i przyznany Dwernickiemu.

Stryja Pani Profesor znałem osobiście. Leon Wawrzynowicz został mianowany wójtem gminy Werba w kwietniu 1938 r. W tym czasie już byłem urzędnikiem gminy. Leon Wawrzynowicz był nie tylko wójtem, ale wyróżniającym się działaczem społecznym.

15 września 1939 r. na zarządzenie władz o ewakuacji urzędów wyruszyliśmy z Urzędu Gminy parokonną furmanką na wschód we trójkę, tj. wójt Leon Wawrzynowicz, sekretarz gminy Antoni Kościak (był moim wujem) oraz ja. Udawaliśmy się do Włodzimierca (miasteczko w pow. sarneńskim) do brata wójta – księdza Dominika Wawrzynowicza, mając pewność, że zostaniemy tam życzliwie przyjęci. Po dwóch dniach podróży dowiedzieliśmy się o wtargnięciu na Kresy Wschodnie bolszewików. Zawróciliśmy do domu i zaraz potem w Werbie zetknęliśmy się z bolszewikami.

Aresztowanie stryja Pani Profesor Leona Wawrzynowicza nie miało nic wspólnego z minowaniem mostku (s. 29 CL). Incydent z czołgiem sowieckim i miną przedstawiał się zupełnie inaczej, czego byłem świadkiem, obserwując całe zdarzenie przez okna domu

będącego na linii walk. Gdy rozpoczęła się strzelanina, leżałem na łóżku z karabinem, który otrzymałem (jak i inni pracownicy gminy) z arsenału złożonego w gminie przez funkcjonariuszy Policji Państwowej, którzy odbierali uzbrojenie ukraińskim dezertantom i dywersantom.

W nocy z 19 na 20 września 1939 r. naprzeciw siebie traktem Kowel–Włodzimierz, przy którym położona była Werba, posuwały się wojska polskie i sowieckie: oddziały Wojska Polskiego z taborami i kolumną sanitarną od strony Kowla, a kolumna wojsk sowieckich od strony Włodzimierza Wołyńskiego. Pierwszy strzał padł z czołgu w kierunku kolumny WP, gdy z bliskiej już odległości (było przecieź ciemno, a do tego mgła) sowiecka straż przednia dostrzegła przed sobą przeciwnika. Polacy i Sowietci znaleźli się po obu stronach mostu na rzeczce przepływającej przez wieś, dopływie rzeki Turla. Żołnierze polscy pospiesznie zajęli stanowiska wzdłuż rzeczki i wśród zabudowań wsi, zdążywszy podłożyć minę przeciwczołgową na środku traktu przed mostem, tabory i kolumnę sanitarną wycofano zaś, kierując poza wieś przez bagna w kierunku Ościługu (miasteczko nad rzeką Bug na wysokości Hrubieszowa). Rozpoczęła się bezładna strzelanina z obu stron, bo widoczność z powodu mgły nie była dobra. W tej strzelaninie ucierpiał nasz dom, bowiem pociski z czołgów trafiły w pas pod samym dachem i przebijały się na drugą stronę domu. Czołg, przejechawszy most, z impetem najechał na minę i został całkowicie zniszczony wraz z załogą. Z gwiazdy na wraku czołgu wiadomo było, że to Sowietci, a nie Niemcy, jak początkowo mogło się wydawać. Doszło do walki, trwającej do świtu. Gdy zorientowano się, że Sowietci mają przewagę, oddziały WP wycofały się wzdłuż rzeczki poprzez bagna na zachód, w ślad za kolumnami bagażowymi i sanitarnymi. Rano okazało się, że po stronie polskiej zginęło 11 żołnierzy (miejscowi Polacy pochowali ich we wspólnej mogile obok budynku Gminy), a po stronie sowieckiej 3 czołgistów oraz 10 żołnierzy zmotoryzowanej piechoty. Jeden czołgista leżał w naszym ogrodzie, a dwaj pod naszym płotem. Zwłoki żołnierzy sowieckich pospiesznie usunięto i wywieziono do Włodzimierza Wołyńskiego.

Na drugi dzień po walce aresztowano kilku Polaków, w tym osadników wojskowych (Józefa Bartosika, Jana Buwaja, Emila Jankowskiego, Longina Nowickiego), których miejscowi Ukraińcy fałszywie oskarżyli o udział w nocnej walce. Umieszczono ich w więzieniu we Włodzimierzu. Być może, że wójt Leon Wawrzynowicz był wtedy aresztowany, tego sobie nie przypominam, mogło to być też później w 1939 r., podczas fali aresztowań polskich elit – urzędników, działaczy społecznych (wójt również w tej roli się odznaczył), policjantów, wojskowych, ziemian, przedsiębiorców, przedstawicieli kultury, itp.

Zgodnie z prawdą opisane są przez Panią Profesor dramatyczne chwile w kościele we Włodzimiercu, atakowanym przez UPA w połowie sierpnia 1943 r., gdzie zgromadzili się uchodźcy polscy z mordowanych w okolicy kolonii pod duchową opieką ks. Dominika Wawrzynowicza (s. 33 CL). Oblężenie świątyni rzeczywiście, jak twierdzi Pani Profesor, co potwierdzają też inne relacje, zakończyło się wycofaniem się Ukraińców na skutek pojawienia się Niemców. Nie miało to natomiast związku z ewakuacją kolonii Stachówka, która po trzech napadach UPA przestała istnieć w czerwcu 1943 r., a jej ludność etapami uległa rozproszeniu i wywóźce na roboty do Rzeszy. Jakież osoby ze Stachówki mogły znajdować się w kościele podczas obrony, ponieważ Włodzimierzec był jedną z kilku miejscowości, do których Polacy uciekali przed UPA. Natomiast pojawienie się Niemców z czołgiem, dzięki czemu przerwane zostało atakowanie kościoła, było najprawdopodobniej spowodowane wezwaniem ich na pomoc przez załogę niemiecką we Włodzimiercu, która

była słaba, 6 żołnierzy zabarykadowanych w szkole i nereagujących podczas napadu na kościół. W tym czasie w okolicy Włodzimierca nie było już żadnych polskich zbiorowisk, osiedla polskie były opuszczone, już wcześniej niektóre zostały ewakuowane pod ochroną Niemców na stacje kolejowe i do Włodzimierca. Ewakuacja Polaków do stacji Rafałówka z niemiecką obstawą wyposażoną w czołg odbyła się po oblężeniu kościoła włodzimierskiego i ocaleniu znajdujących się w nim Polaków.

Wspomnienia Pani Profesor warto jeszcze rozszerzyć o okoliczności śmierci przyjaciół Jej siostry, żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Rodzeństwo Wanda i Leon Szurowscy zginęli na minie zainstalowanej przez partyzantów sowieckich na drodze w okolicy wsi Pereszpa (w pow. lubomelskim, koło wsi gminnej Zgorany), podczas przemarszu części 27 WDP AK na północ w kierunku rzeki Prypeć. Było to nocą z 25 na 26 kwietnia 1944 r. Wraz z nimi zginęło drugie rodzeństwo Jadwiga i Romuald Kuterowie, narzeczeni Szurowskich, a kilku żołnierzy zostało rannych. Rannych zabrano, ale połączone śmiercią rodzeństwa-narzeczeństwa musiano pozostawić na miejscu, tylko przykrywszy ciała kocem.

Dziękuję Pani Profesor, że zechciała podzielić się swymi wspomnieniami, promując do pogłębienia wiadomości o faktach z przeszłości. Różne kształty tych faktów powstają po kilkudziesięciu latach i przekazach z różnych źródeł. Kończąc te rozważania zaznaczam, że wójta gminy Werba Leona Wawrzynowicza wspominam jako sprawnego urzędnika, mocno zaangażowanego w służbę publiczną i znakomitego społecznika.

Jan Baczmański

POLEGŁYM W OBRONIE LWOWA I KRESÓW WSCHODNICH

Taki napis na Pomniku Obrońców Lwowa w Sokolnikach zapamiętał Michał Boczuła i w 1972 roku – zapisał w swoich wspomnieniach. Pomnik ten zbudowano ze składek i zaciągniętego kredytu przez mieszkańców Sokolnik. Uroczyste odsłonięcie jego nastąpiło w dniu 11 XI 1938 r. – w 20. rocznicę Święta Niepodległości.

Była to okazała budowla wysoka na 12 m o podstawie 2,5 × 2 m, na której widniały wyryte 63 nazwiska poległych i pomordowanych mieszkańców Sokolnik, którzy oddali swe życie w obronie Lwowa. Nad nazwiskami widoczny był KRZYŻ OBRONY LWOWA, a na szczycie usadowiony był dwumetrowej wielkości ORZEŁ.

O Sokolnikach i jej bohaterskich mieszkańcach pisze też ks. Stefan Wójcik w książce pt. *Biskup Wincenty Urban. Życie i działalność 1911–1983*, s. 60: „Sokolniki, odległe zaledwie 5 km na południe od Lwowa, były dużą, piękną, rdzennie polską wsią. Wieś nazywano krzewicielką wiary katolickiej na wschodniej rubieży Polski”.

W swojej kilkunastuletniej historii Sokolniki przechodziły zmienne koleje losu, ale zawsze zwycięsko opierały się wrogim polskości zakusom.

W listopadzie 1918 r. równocześnie z bohatersko broniącym się Lwowem wieś przeżywała bardzo ciężkie chwile. U progu powstającej Polski dali sokolniczanie przekonujące dowody swej wierności ojczyźnie. Bilans był następujący: 59 pomordowanych gospodarzy, połowa wsi puszczona z dymem, zrabowana plebania i kościół, zniszczone z rozmysłem archiwum parafialne z dokumentami i przywilejami królów polskich, a wreszcie męczęńska śmierć księdza proboszcza Wincentego Czyżewskiego, naczelnika gminy Jakuba Hubisza i kierownika szkoły Mariana Gerstmannna.

Osoby te tworzyły delegację mieszkańców wsi, starającą się o zawarcie sąsiedzkiego pokoju z Ukraińcami. Usiłowania okazały się daremne.

Ukraińcy wywekli trzech przedstawicieli społeczności sokolnickiej poza wieś i tam ich zamordowali.

Kapituła Krzyża Obrony Lwowa odznaaczyła Sokolniki krzyżem wmurowanym we frontową ścianę szkoły.

We wspomnianym powyżej pamiętniku Michał Boczuła wymienia jeszcze 27 nazwisk sokolniczan, które były umieszczone na tym pomniku i które zapamiętał, a to: Marian Kucharski, Wojciech Reczuch, Kazimierz Ekert, Wojciech Krocza, Jakub Dziedzic, Andrzej Krocza, Jakub Sztarkowski, Michał Krocza, Józef Cwynar, Andrzej Reczuch, Józef Szpyrka, Michał Piwko, Andrzej Piwko, Michał Kaszuba, Ignacy Sowiński, Tomasz Sowiński, Józef Styś, Franciszek Chryplewicz, Jan Uchman, Jan Krocza,

Wojciech Socha, Andrzej Socha, Józef Dudek, Jan Kozakiewicz, Michał Krocza, Andrzej Krocza.

Ta potężna budowla z Orłem na szczycie zbyt mocno górowała nad Sokolnikami – i też przypominała o polskości tych ziem i walce o Lwów.

Solidna budowla opierała się dość długo i dopiero przy użyciu czołgów zwalono górną część pomnika. Pozostał na niewielkim podwyższeniu ziemnym cokół 2 metrowej wysokości.

To też nie dawało spokoju Ukraińcom i po pewnym czasie usunięty został ten dolny odcinek, a resztki zrównano z ziemią.

Aby zatrzeć całkowicie ślady tego pomnika – na tym miejscu miał powstać park. Dziś rosną tu wprawdzie drzewa, ale nie przypomina to parku, a raczej wysypisko śmieci...

Jeden z obecnych mieszkańców Sokolnik (Ukraińiec) powiedział mi, że gruz z pomnika kazano zabierać ludziom na podmurówkę itp., a resztki wywieziono do nieczynnej kopalni gliny i tam przywalono ziemią.

Jednak i tam są jeszcze widoczne resztki betonu ze zbrojeniem wystającym z ziemi...

To jakby krzyk tych pomordowanych i tego pomnika... „Nie zapominajcie o nas!”

Od dłuższego już czasu staram się różnymi kanałami apelować do sokolniczan – aby ocalić od zapomnienia chociaż nazwiska tych, którzy zginęli za Lwów w 1918 roku.

To właśnie córka Michała Boczuli, obecnie Rozalia Najwer z Wrocławia, udostępniła mi wspomnienia swojego ojca i dzięki temu mogłem przedstawić więcej informacji o historii tego pomnika z Sokolnik... W tym też miejscu pragnę złożyć Pani Rozalii Najwer jeszcze raz serdeczne podziękowania.

Jednak w dalszym ciągu, również i poprzez ten artykuł, proszę o kontakt wszystkich tych, którzy posiadają jeszcze zdjęcia tego pomnika lub inne informacje na ten temat.

Pomnik ten zburzono – zatarto ślad na ziemi – ale nie pozwólmy, aby uległy zatarciu i zapomnieniu nazwiska tych, którzy oddali swe życie w OBRONIE LWOWA.

Jan Niewiński

1920–2015

W Warszawie w marcu 2015 r. w wieku 95 lat zmarł pułkownik Jan Niewiński, znany i zasłużony działacz środowiska kresowego. Urodził się na Wołyniu k. Krzemieńca. Przed wojną ukończył Liceum Krzemienieckie, a w latach wojennych był żołnierzem Armii Krajowej, ps. „Sokół”. Był organizatorem i dowódcą placówki AK i samoobrony ludności polskiej przed bandami UPA w rodzinnej wsi Rybcza. Po wojnie jako oficer WP organizował sport w wojsku, także na arenie ogólnopolskiej.

Doświadczenia i przeżycia z lat 40. XX w. z Rybczy ukierunkowały jego przeżycia na kilkadziesiąt lat. Walczył o upamiętnienia tych, których pomordowano na kresach. W ten sposób realizował swą obietnicę: *Kierowałem obroną tej samotnej polskiej reduty i powiedziałem sobie: jeśli Bóg da przeżyć, nie spocznę i przypominać będę światu o tamtych wydarzeniach. Zostałem przy życiu, więc spfacam.* I tak rzeczywiście było. Był wieloletnim przewodniczącym Kresowego Ruchu Patriotycznego Ogólnopolskiego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich, był honorowym prezesem Patriotycznego Związku Organizacji Kresowych i Kombatanckich i jeszcze innych podobnych stowarzyszeń. Był człowiekiem niesłuchanie prawym, wielkim patriotą walczącym o ujawnienie prawdy historycznej. Niesłuchanie aktywny, stale organizował zjazdy, spotkania, zebrania. Publikował artykuły na temat ludobójstwa OUN UPA na kresach, wydawał oświadczenia i listy otwarte w imieniu Kresowego Ruchu Patriotycznego. Był autorem pomysłu pomnika ofiar ludobójstwa, do którego projekt przygotował prof. Marian Konieczny i którego dotychczas mimo wielu lat starań i wysiłków nie udało się zrealizować.

Pogrzeb Jana Niewińskiego w podwarszawskich Pyrach zgromadził tłumy kresowian, dla których był niepodważalnym wielkim autorytetem. Symbolicznym wyrazem tego była ilość wieńców i wiązanek kwiatów ułożonych w czasie nabożeństwa żałobnego wzdłuż głównej nawy. (DTS)

Z dr Joanną Suchardą-Sobczyk

rozmawia Janusz M. Paluch

Słyszałem, że spisała Pani swoje wspomnienia, jednak nie kwapi się Pani z ich publikacją...

Żadna tajemnica. Wspomnienia zaczęłam pisać po przejściu na emeryturę. Wcześniej nie było na to czasu. Mam rodzinę o skomplikowanych korzeniach. Pół roku spędziłam w Ossolineum, gdzie ku memu zdziwieniu znalazłam mnóstwo informacji, głównie o rodzinie Wiśniowskich – ze strony mojej mamy. A przecież połowa zbiorów Ossolińskich została we Lwowie... Wspomnienia groźnie pęczniały. Teraz jest ponad tysiąc stron tekstu. Zebrałam do tego duży materiał ikonograficzny, to znaczy zdjęcia i dokumenty. Szczególnie zdjęcia dały mi dużo zadowolenia, bowiem wszystkie nasze fotografie i dokumenty w czasie wojny uległy zniszczeniu i zagubieniu. Zatem zdjęcia, jakie posiadam, pochodzą od rodziny i przyjaciół. Na początku powstał rozdział poświęcony ojcu, matce, rodzinie, potem moje lata dziecięce i szkolne, studia, wyjazd ze Lwowa, wojna i w końcu Kraków, Wrocław, życie dorosłe, przyjaciele, czasy wrednej komuny aż po współczesność... Ostatnie rozdziały są o wnukach... Wiele miejsca poświęciłam naszym przyjaciółom, prawdziwym przyjaciołom. Teraz takich przyjaźni nie ma... Nie wiem dlaczego? Może Lwów tak wpływał na ludzi, a może czas wojny tak zbliżył ich do siebie?

Pyta pan o publikację. Przekazałam wszystkie materiały córce, która mieszka w USA. Uważałam, że utrwalenie przeżytego czasu to mój obowiązek. Nie mam takich ambicji, by wydawać książkę... Decyzje w tej sprawie pozostawiam w jej gestii. Wcześniej udało mi się opublikować kilka artykułów wspomnieniowych poświęconych memu ojcu.

Prof. Edward Sucharda to ważna we Lwowie postać... Skąd się wywodzi rodzina Suchardów?

Suchardowie wywodzą się z kolonistów czesko-niemieckich. Mój prapradziadek był

pastorem w kościele ewangelicko-augsburskim w Dornfeld, jego syn zarządzał majątkiem w tej miejscowości, a z kolei jego potomek – to już mój dziadek – ukończył prawo na Uniwersytecie Lwowskim i pracował jako notariusz w kilku miastach kresowych i wreszcie w samym Lwowie. Zmarł młodo, w wieku 50 lat, w 1903 r. Pochowany jest na Cmentarzu Łyczakowskim.

Mój ojciec był chemikiem, naukowcem związanym z Politechniką Lwowską i gdyby nie II wojna światowa pewnie do dzisiaj mieszkałabym we Lwowie... Wszyscy wymienieni wyżej przodkowie mieli na imię Edward. Zresztą ta tradycja z krótką przerwą utrzymuje się w naszej rodzinie do dzisiaj. Podczas poszukiwań genealogicznych dotarłam do różnych Suchardów. Jeden był artystą malarzem w Czechach, ma tam nawet swoją ulicę. Natrafiłam też na takiego dziwnego Suchardę na terenie Polski, chyba jedyny o tym nazwisku spoza naszej rodziny. Wsławił się organizowaniem wyścigów samochodowych na modłę rajdów automobilowych z lat 20. ub. wieku, imienia Edwarda Suchardy – jak podawała prasa, jego dziadka. Dziadek miał czworo dzieci. Syn Aleksander (Leszek) – inżynier kolejnictwa mieszkający w Gdańsku był żonaty i miał jednego syna Andrzeja (żonaty: syn Krzysztof). Drugi brat Tadeusz (Jarek) – prawnik, żonaty, dwoje dzieci: Danuta (po mężu Kowalczyk) – lekarz (córka Małgorzata, po mężu Misterska) i syn Edward (inżynier) żonaty – dwoje dzieci: Zuzanna (architekt) po mężu Modelska i Edward mający syna Edwarda. Kolejnym synem był mój ojciec – Edward. Młodsza od niego siostra Maria (Lilka) wyszła za mąż za inżyniera Wincentego Chmielika. Była nauczycielką w Trembowli. Wywieziona do Kazachstanu w roku 1941, powróciła do Polski po wojnie i mieszkała we Wrocławiu. Jej mąż jako oficer jeniec Starobieska, wg danych wywieziony do Katugi i ślad po nim zaginął (dzieci nie mieli).

Piękna jest ta tradycja w Pani rodzinie związana z imieniem Edward...

Moi rodzice jednak ją przerwali, bo memu bratu nadali imię Jerzy... Ale jak widać, jest Edward w pokoleniu moim, pokoleniu moich dzieci i jest Edward w pokoleniu moich wnuków. Brat ojca, Jarek, był większym „tradycjonalistą”.



phot. Kasia Sobczyk-Kojiro

Skąd wywodzi się rodzina Pani mamy?

Moja mama, Maria, urodziła się w 1897 r., w rodzinie Wiśniowskich, o dużych tradycjach patriotycznych. Jej ojciec Tadeusz Wiśniowski, geolog i petrograf, był profesorem Politechniki Lwowskiej i fundatorem Muzeum Ziemi w Warszawie. Dziadek mamy – Karol Podlewski (jego portret namalował Jan Matejko, piękne epitafium znajduje się w kościele oo. Franciszkanów w Krakowie) – był rewolucjonistą, działaczem SLP, KPN (1830 i 1846 rok). Za działalność konspiracyjną zesłany został na Sybir do Nerczyńska, gdzie przez kilka lat ciężko pracował w kopalni, znaczną część drogi odbył pieszo ze skutymi rękoma. Tam zaprzyjaźnił się z Jerzym Brynkiem, który należał do grupy powstańców wileńskich. Do Brynka przyjechała na zesłanie żona z córką, która została moją prababką (*śmiech*). Oboje z zesłańcem Beaupre prowadzili tam „słynny” Dom Polski. Kopie rachunków Domu Polskiego zachowały się w zbiorach Ossolineum. Z Polski otrzymywali pieniądze, sami też zarabiali, wspomagając najłabszych polskich zesłańców. To jest mało znana karta w dziejach zesłańców. W 1857 r. pozwolono im na powrót. Karol Podlewski wrócił do Krakowa, Brynek do Płocka. Pradziadek Karol Podlewski w Krakowie był skarbnikiem Spółdzielni „Florian” i nadal działał w konspiracji.

Bardzo dużo jest zachowanych danych o stryju mego dziadka Tadeusza – Teofilu Wiśniowskim, rewolucjonście, emisariuszu działającym głównie na terenie zaboru austriackiego. We Lwowie został aresztowany, osądzony i stracony w 1847 r. Dla „poniżenia” go egzekucji dokonano wspólnie ze starostą z Pilzna skazanym za przestępstwa finansowe. Austriacy zrobili z tego wydarzenia wielką uroczystość. Tłumy ludzi uczestniczyły w egzekucji. Mam jego ostatnie listy adresowane do bratanków. Na Górze Stracenia we Lwowie do dziś istnieje tablica upamiętniająca to dramatyczne wydarzenie. Tablica się zachowała przypuszczalnie dlatego, że były to ofiary Austriaków, a nie Rosjan... Tak więc „komuchom” to nie przeskadzało. Jego żona, bezdzietna i majątna, ufundowała kościół w Majdanie Górnym. Zachowała się nawet fotografia z tej uroczystości. W Rzeszowie jedno z liceów ma izbę jego pamięci. Był jeszcze jeden stryj Tadeusza – Jan Wiśniowski, który walczył w 1848 r. na Węgrzech pod dowództwem gen. Józefa Bema. Mam jego list do stryjenki – wdowy po Teofilu, który pisał podczas pobytu w Krakowie. Zastanawia się w nim, czy pozostać na Węgrzech. W końcu wyemigrował do Ameryki. Tam prowadził aptekę. Działał w organizacjach polskich.

Jedyny brat mojej mamy – Jerzy Wiśniowski w roku 1915, kiedy Lwów był pod zaborem rosyjskim, wyjechał w głąb Rosji, prawdopodobnie z jakąś tajną misją. Przebywał w Moskwie, skąd miał informować o transportach jadących w kierunku ziem polskich. Mamy informację, że w jakimś momencie wraz z przyjacielem przedzierali się z Rosji do Lwowa. Jego przyjaciel dotarł, a on zaginął. Mamusi mojej pozostała tylko jedna siostra Janina Czarnecka, która była wybitnym architektem w Poznaniu.

Kiedy i jak poznali się Pani rodzice?

Tatuz w 1912 r. skończył chemię na Politechnice Lwowskiej. Po studiach w latach 1912–1919, z przerwami związanymi z odbywaniem służby wojskowej, był asystentem prof. Stefana Niementowskiego. Mamusia na Uniwersytecie Lwowskim chciała studiować chemię, a były to czasy, kiedy kobiety nie miały pełnych możliwości podejmowania studiów. Któregoś dnia ojciec mamy, prof. Wiśniowski, przyprowadził ją do swego przy-

jaciela prof. Niementowskiego, żeby pokazać jej prawdziwe laboratoria chemiczne. Prof. Niementowski wezwał wtedy mojego ojca i powiedział: *Panie asystencie, to jest panna Maria Wiśniowska, córka mojego przyjaciela, niech pan się zajmie panienką i zaprezentuje jej nasze laboratorium chemiczne*. I ojciec zajął się nią tak skutecznie (była bardzo ładna!), że została jego żoną już w 1919 roku.

Pani ojciec w czasie I wojny światowej aż dwa razy powoływany był do służby wojskowej...

Krótko po otrzymaniu tytułu doktora nauk technicznych w 1914 r. wybuchła I wojna światowa. Ojciec dostał powołanie do wojska, gdzie przebywał w okresie 1914–1915. Potem wrócił na uczelnię i obronił doktorat. Drugi raz przebywał w wojsku w latach 1918–1919. Skierowali go wówczas do miejscowości Blumau pod Wiedniem, gdzie pracował w fabryce materiałów wybuchowych. Jednak w listopadzie 1918 r. był już we Lwowie i zaangażował się czynnie w obronę miasta. Prowadził warsztaty saperskie i kierował kancelarią. Już wtedy był żołnierzem powstającego Wojska Polskiego. W 1919 r., już po zawarciu małżeństwa, skierowano go do Warszawy do pracy w Ministerstwie Wojny, gdzie jako chemik zajmował się materiałami wybuchowymi. Ale to był krótki epizod, bo w 1920 r. wrócił do Lwowa, do pracy naukowej. W tym samym roku habilitował się i rozpoczął pracę jako kierownik Katedry Chemii Ogólnej na Wydziale Rolniczo-Lasowym Politechniki Lwowskiej. W tym roku urodził się też mój brat – Jerzy. Tryb życia mojego ojca był bardzo nietypowy. Wstawał koło piątej rano. Robił sobie śniadanie i koło szóstej wychodził na Politechnikę. Miał taki zwyczaj, że egzaminował tylko we czwartki. Wśród studentów chodziły słuchy, że najlepiej jest do Suchardy pójść koło szóstej rano, bo wtedy jest w najlepszym humorze. I rzeczywiście, od szóstej rano pałętali się – często jeszcze w mroku, jak była zima – studenci, którzy chcieli zdawać u ojca egzamin. Pracował do godziny 13.30. Jak nie pełnił funkcji administracyjnych na uczelni, to przebywał w laboratorium. Całe lata był prodziekanem, dziekanem, potem prorektorem i rektorem. O godzinie drugiej był w domu na obiedzie. Potem sięgał po



gazetę i kładł się na kwadransową drzemkę. Z dokładnością co do minuty wstawał i wychodził znowu do laboratorium, gdzie pracował do 17.00. Wracał do domu i wtedy zaczynało się życie towarzyskie, które trwało do godzin wieczornych. Ojciec nigdy nie pracował naukowo w domu. Nie miał nawet swojego biurka ani podręcznej biblioteczki.

Bardzo nietypowe było to, że chodził do swojego „labko” (u nas w domu tak nazywaliśmy jego laboratorium) także w niedziele. Wychodził koło 10 i był tam ze 3–4 godziny. Dla mnie najważniejsze, że zabierał tam ze sobą często i mnie! Ubóstwiałam te wyprawy. Gmach chemii otwierał własnym kluczem, wchodziliśmy w atmosferę dziwnego zapachu, który pamiętam do dziś. Na korytarzach było pusto... U mojego Tuśka w zakładzie zwykle ktoś był... Czasem ci współpracownicy byli dla mnie bardzo mili... (może się „podlizywali...?). Dmuchali mi bańki ze szkła, puszczały na wodę mikrokawałeczki sodu, pozwalali mi bawić się kosteczkami lodu (lodówek elektrycznych jeszcze po domach nie było), promieniami słońca przez lupę wypalali mi dziurki w czarnej kalce maszynowej(!). A ja szalałam: na pustej, „głuchej” sali wykładowej kolorowymi kredami rysowałam na tablicach, uczyłam się (i nauczyłam) pisać na maszynie (w domu nie mieliśmy jeszcze takowej!) i odkrywałam „skarby” na „pięterku”, gdzie leżały sterty kolorowych prospektów reklamowych. Raj!

Pani ojciec był przedostatnim rektorem Politechniki Lwowskiej...

Dwa razy był rektorem Politechniki Lwowskiej. Pierwszy raz był wybrany w roku 1937, kiedy z funkcji zrezygnował prof. Adolf Joszt. Drugi raz był w roku akademickim 1938/1939. 1 września, w dniu wybuchu wojny, przekazywał władzę rektorską nowo wybranemu rektorowi prof. Antoniemu Wereszczyńskiemu. Lata tuż przed wojną były bardzo trudne, nieprzyjemne, było mnóstwo ekscesów studenckich na tle narodowościowym. Studenci domagali się osobnych ławek dla Żydów. Było tak niebez-

piecznie, że mój Tusiek otrzymał osobistą ochronę. W pewnym momencie zalecono mu kupić pistolet. Dlatego nie chciał być dłużej rektorem.

Gdzie Pani rodzice mieszkali we Lwowie?

Proszę pana, to cała historia! Moja matka pasjami lubiła zmieniać mieszkania, coś ulepszać, coś przemeblowywać... Po ślubie w 1919 r. mieszkali jako sublokatorzy w wynajętym pokoju przy ul. Potockiego. I dopiero koło roku 1926 w końcu zamieszkali w swym pierwszym samodzielnym mieszkaniu przy ul. Długosza 14, w pobliżu Uniwersytetu Lwowskiego i Cytadeli. To było mieszkanie trzypokojowe na parterze. Mieszkałam tam do szóstego roku życia... Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się do mieszkania przy ul. Badenich 4, następnie na ul. Stryjską 18, i kolejne mieszkanie na ul. Obertyńskiej 39.

Moi rodzice do samej wojny uprawiali sport. Grali bardzo dobrze w tenisa. I dwa z mieszkań we Lwowie były wynajęte dlatego, że nieopodal były korty tenisowe. Zimą jeździli na narty w okolicy Jaremca z grupą przyjaciół.

W czasie wojny Niemcy nas dwa razy z mieszkania wyrzucali. Nasi przyjaciele okazali się wtedy nieprawdopodobni, udzielając nam pomocy na każdym kroku. Mamusia była już strasznie zmęczona, bardzo narzekała, a oni pocieszali ją: *Marysiu, tyś się tak lubiła przeprowadzać, nie narzekaj...* Kiedy nas pierwszy raz wyrzucili, dostaliśmy na przeprowadzkę 24 godziny, a drugim razem

całe trzy dni. Nasze mieszkanie było duże i „zamodelone”. Proszę sobie wyobrazić, że przychodzi trzydzieści par osób z walizkami, wózkami dziecięcymi i takimi małymi drabiniastymi i przenoszą wszystkie drobne rzeczy z mieszkania do mieszkania. Potem przyjechała lora ciągniona przez konie, która przewiozła meble. Kolejne adresy to: ulica Zofii 4 i Dwernickiego 22.

Nasz dom zawsze był cudownie gwarny i ciepły. Zawdzięczałam to moim wspaniałym rodzicom. Oni lubili ludzi i życie. Mieli mnóstwo znajomych i przyjaciół, którzy wypełniali nasz dom niemal każdego dnia. Przyjęcia, brydże, wizyty w kawiarniach. Bywali też w słynnej „Szkockiej” z książką matematyków. Pierwszy stolik pod oknem po prawej stronie zajmowała grupa przyjaciół moich rodziców. Zasiadywali przy nim m.in. dyrektor Ossolineum pan Antoni Lewak – mój ukochany wujek-dziadzio, kustosz Ossolineum pan Kazimierz Tyszkowski, geolog prof. Wojciech Rogala, pani Nola Negruszowa – przyjaciółka mojej mamy (wdowa po profesorze fizyki, matka przyjaciół mego brata), i panna Lesia Ekiertówna.

Rodzice też wciąż rewizytowali przyjaciół. Gdy do tego dodamy wyjścia do kina i teatru, to często się zastanawiam, kiedy mieli czas dla nas i dla siebie... A spędzali z nami naprawdę dużo czasu... To był dom otwarty i taki naturalny! Mogłam zapraszać swoje koleżanki, a mój brat swoich kolegów. Kiedy brat zaczął zbierać stare monety, to wszyscy tworzyli jego kolekcję, podobnie było ze znaczkami pocztowymi – wszyscy wokół stawali się filatelistami!

Ojciec mój uwielbiał żarty. Pamiętam jak kiedyś przy „dużej kolacji” goście zabawiali się pokazywaniem sztuczek. Coś gdzieś chowali, co w innym miejscu zostawało odnajdywane. Mój Tusiek z powagą poprosił którąś z pań o chusteczkę. Otrzymał śliczną, z szeroką koronką. Kogoś innego poprosił o monetę – otrzymał ją. Monetę umieścił w chusteczce i poprosił o zawiązanie nitką lub sznurkiem. Następna prośba o nożyczki i... odwrót tyłem i odciecie. Potem było rozłożenie chusteczki z potężną dziurą! Rozbrajający uśmiech i niewinne słowa: – *Nie udało się...* i ryk śmiechu oglądających. Pamiętam jak na śmigusa-dyngusa wywiercił w ścianie nad łóżkiem mego brata Jurka dziurę (pod obrazkiem) i wężem z łazienki doprowadził

wodę, której strumieniem zalał go w łóżku... (*śmiech*) Ta atmosfera wspólnoty przyjacielskiej przenosiła się na wakacje...

Słynne lwowskie wakacje w Karpatach...

Jeździliśmy do podkarpackich wsi. Ludzie ze środowisk inteligenckich umawiali się i wynajmowali w jednej miejscowości kilka domków albo w większej posesji kilka pokoi. Mieli zawsze wspaniałe towarzystwo do wspólnych wycieczek górskich, a wieczorem zawsze i bez kłopotu można było skompletować czwórkę do brydża, a jeśli w miejscowości był kort tenisowy, to też nigdy nie był pusty. Dzieci i młodzież mogli sobie wtedy hulać po okolicy bez ograniczeń! Na dwa miesiące jechała z nami mamusia. Natomiast ojciec tylko przyjeżdżał na weekendy. Wychodziło się na dworzec i czekało na pociąg ze Lwowa, który przywoził wielu ojców... A na sierpień tato jechał sam do Truskawca. Chorował na kamienie nerkowe, a dodatkowo chciał trochę schudnąć. Mamusia natomiast sama jechała we wrześniu do Morszyna i też bardzo chciała schudnąć. Powstawały tam nowe przyjaźnie. Na wakacjach poznaliśmy profesorstwo Łopuszańskich, ich syn Jasio – późniejszy wybitny naukowiec z zakresu fizyki teoretycznej, był naszym serdecznym przyjacielem tu we Wrocławiu.

Z takich wakacji pozostała znajomość ze Staszkiem Skrowaczewskim – wybitnym, światowej sławy kompozytorem i dyrygentem. Skończył już 93 lata... Trzy miesiące temu odwiedził z koncertami Wrocław. Spotkaliśmy się po latach. Było to miłe i wzruszające spotkanie. Zostaliśmy zaproszeni na koncert. Czekałam na jego wyjście. W końcu pojawił się. Szedł sam, taki wychudzony i trzęsący się staruszek. Siedziałam wsluchana w muzykę i cały czas z przerażeniem patrzyłam na dyrygenta. Wydawało mi się, że lada moment upadnie. A on, mimo wieku, ma taką krzepę, taką energię! Grał trudną symfonię Brucknerowską... Skrowaczewski specjalizuje się w utworach Antonia Brucknera, któremu poświęcił wiele teoretycznych prac. Na bisy pojawiał się też samodzielnie. W końcu po koncercie poszliśmy do *meeting room*, gdzie byliśmy umówieni na spotkanie. Po jakimś czasie zjechał windą, wyszedł do nas opierając się o chodzik. Oczywiście nie poznał mnie, bo nie widzieliśmy się przez 40

lat! Ale po kilku wspomnieniach już byliśmy we wspólnym świecie...

Skąd nagle dopiero teraz takie spotkania, przecież Stanisław Skrowaczewski był w Polsce od czasu do czasu?

Skrowaczewski napisał w USA świetną książkę autobiograficzną. W trzech pierwszych rozdziałach opisał Lwów z czasów swej młodości. Dziesięć rozdziałów poświęcił muzyce, a ostatni rozdział opowiada o podróży z synem do Lwowa. Moja córka przetłumaczyła mi te trzy rozdziały. Pochłaniałam tekst i zadziwiałam się, jak nasze życiorysy pokrywały się, choć on jest strasznie ode mnie o pięć lat. Chodziliśmy we Lwowie do tej samej malusieńkiej szkoły dr. Jana Niemca. Byliśmy na tych samych wakacjach w Mizuniu Nowym, a przecież tych miejscowości, gdzie lwowianie wypoczywali było tak dużo. On miał zapędy do chemii. Jego cioteczna siostra Zofia Skrowaczewska była współpracownicą mego ojca. Kiedyś poszli razem do laboratorium, gdzie próbowali zrobić jakieś doświadczenia. Skończyło się na tym, że Stasio przyniósł do domu jakieś preparaty, które wybuchły. Rodzice zakazali mu eksperymentów chemicznych i wtedy zajął się muzyką, w której osiągnął szczyty. Wresz-

cie – w czasie wojny – pracował przy Instytucie prof. Weigla, a ja miałam fikcyjną legitymację z Instytutu, choć odbyłam tam (dla bezpieczeństwa) normalny staż w preparatorni wszy. To niesamowite zażębenie, jakie nieczęsto się zdarza, a może nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawy?

Wróćmy jeszcze do znajomych Pani rodziców...

Druga grupa przyjaciół moich rodziców to profesorowie Politechniki Lwowskiej. Właściwie wszyscy profesorowie chemii, a dodatkowo kilku matematyków przychodzili na spotkania do naszego mieszkania. Moim ojcem chrzestnym był prof. chemii nieorganicznej Wiktor Jakób (zwany Kubą), moją matką chrzestną – żona prof. Leśniańskiego, mego ukochanego dziadzia Wacia...

Wreszcie trzecia grupa przyjaciół to byli „nafcjarze”. Mój ojciec oprócz tego, że był profesorem chemii organicznej – teoretykiem, opracowywał wiele metod analitycznych, a także zastosowań produktów z ropy naftowej – miał liczne patenty. Interesował się też ich zastosowaniem. Z „Polminem” i z nafcjarzami był w dużej zażyłości. Państwo Schrammowie, Frenklowie, Wyszyńscy, Pilzerowie to byli prawdziwi biznesmeni,



Zdjęcie z Truskawca

zamożni. Wszyscy jeździli samochodami. W tamtych czasach prawie nikt z profesorów nie miał swojego auta. Mieszkali we Lwowie w okazałych domach, np. Schrammowie w tzw. Kamienicy Szprechera, gdzie zajmowali całe piętro. Tam było dziesięć pokoi! Wszystko na wysokim poziomie z pokojówkami i kamerdynerem. Mój ojciec, który był żartownisiem, kiedy przychodził do Schrammów, wyjmował chusteczkę i śmiejąc się do pani domu otwierał drzwi, usprawiedliwiając się: *Czekaj, czekaj, Izeńko, przecież nie mogę zabrudzić tej arcyśniącej kłamki...* I śmiali się radośnie! Wojna w brutalny sposób niszczyła życie tych ludzi. Rosjanie aresztowali pana Franciszka Schramma. Kiedy Niemcy uderzyli na Rosję, wycofujący się ze Lwowa Rosjanie wymordowali niemal wszystkich więźniów aresztu na ul. Łąckiego. Pani Iza Schrammowa poszła do więzienia i szukała męża w stertach trupów. Po wielu godzinach znalazła go. Ponieważ mieszkaliśmy stosunkowo blisko więzienia, przyszła do nas. Była nieprzytomna, potwornie cuchnąca (czerwiec!). Mamusia zrobiła jej kąpiel, ubrania spaliła, tatuś zaaplikował jej jakiś środek nasenny. Położyliśmy ją spać – spała 15 godzin. Ich syn, ponieważ groziło mu też aresztowanie, uciekł za granicę, do Rumunii, gdzie spędził okres okupacji. Po wojnie zamieszkał w Krakowie. Był znanym adwokatem, podobnie jak jego i ojciec, i syn. Rodzina Frenklów musiała się ukrywać. Państwo Pilzerowie – ona była Czeszko-Niemko-Polką, mówiła trochę z charakterystycznym akcentem – borykali się z problemami. Jej mąż był Żydem. Syna, który choć miał charakterystyczny wygląd, zgłosili do Organisations Todt do pomocniczej służby wojskowej, myśląc, że tam uda mu się przeżyć. Został wysłany do pracy na lotnisku w Berlinie i tam zginął podczas jednego z nalotów. Jej mąż ukrywał się w Łodzi. Ona posyłała duże pieniądze do właścicielki mieszkania, w którym przebywał. Potem okazało się, że miał z nią romans... To były bardzo skomplikowane czasy... Te wszystkie informacje dochodziły do nas do domu.

Prof. Sucharda związany był z podziemiem walczącym.

Ojciec od początku działał w podziemi. Związany był z Armią Krajową. W domu sporządzał ampułki z cyjankiem potasu.

Odbierano od nas całe pudła fiolek. Był też członkiem Delegatury Rządu Londyńskiego. W domu kpiliśmy, że przychodzą do ojca „marabuty”, dwaj starsi i ponurzy panowie. Ojciec otrzymywał też z Zachodu pieniądze, które rozdzielał. Najbiedniejsi byli profesorowie humaniści. Ci politechniczni to sobie potrafili poradzić. Później uruchomiono techniczne *fachkursy*, gdzie wielu profesorów znalazło zatrudnienie. Najbiedniejsi byli ci, którzy przyjechali do Lwowa z Zachodu. W 1939 r., jak wybuchła wojna, był taki dziki, irracjonalny pęd ludzi z Zachodu na Wschód. Przed czym właściwie uciekali? Wybuchła wojna z Niemcami, niedługo potem okazało się, że jest też wojna z Rosją sowiecką. Nastąpił podział Polski. Przybysze, którzy zostali we Lwowie, byli zupełnie bez niczego. Moja stryjenka, żona Leszka Suchardy, przyjechała do Lwowa z wagonem rzeczy i synem. Ale ona miała tu dodatkowo rodzinę. Ci, którzy przyjeżdżali, byli bez niczego, nie mieli żadnego zaplecza materialnego... Ojciec na takich cieniutkich bibułkach do skręcania papierosów brał od obdarowanych potwierdzenia, że otrzymali określoną pomoc finansową. Mieliśmy mebel, gdzie pod szufladą była skrytka. Nie znalazło jej ani NKWD, ani gestapo. Tam ojciec przechowywał te bibułkowe potwierdzenia. Jest to jeden jedyny mebel ze Lwowa, który do tej pory posiadam, robiony na zamówienie.

Do jakich szkół chodziła Pani we Lwowie?

Szkół w moim życiu było bardzo wiele. Uczyło mnie 13 zespołów nauczycielskich, miałam też 13 zespołów koleżanek i kolegów! Przez rok 1934/35 chodziłam do szkoły dr. Jana Niemca. To był starszy pan z charakterystyczną bródką, który dla zachęty dawał małym dzieciom bardzo, bardzo grube ołówki. Na drugi rok mamusia przeniosła mnie do ss. Urszulanek, gdzie chodziłam do wybuchu wojny. Po wkroczeniu Sowietów jedna z moich ciocię powiedziała, że niebezpiecznie jest być uczniem w klasztornej szkole i przeniesli mnie do byłego prywatnego gimnazjum Olgi Filippi-Żychowiczowej. Tam chodziłam tylko przez pół roku, a potem wróciłam do Urszulanek, czyli już ówczesnie do szkoły nr 18, gdzie uczyłam się przez cały sowiecki okres – klasa Vc i VI a. Źle wspominał ten okres, ale przez te dwa lata nauczyłam się, naprawdę nie chcąc, biegle

języka rosyjskiego. Niestety i ukraińskiego też. Nie chciałam się tego języka uczyć, nie podobał mi się... Rosyjskiego uczyła mnie pani Jędrzejewska, której siostra była wybitną śpiewaczką. Potem mieszkały we Wrocławiu na Wybrzeżu Wyspiańskiego.

Z tego okresu pozostały jednak największe życiowe przyjaźnie. Zabawy, tajne komplety. Potem powychodziłyśmy za mąż, miałyśmy dzieci, ale nasza przyjaźń trwała. Teraz z naszej paczki zostałam sama... Kiedy przyszli Niemcy, wymyśliłam sobie szkołę Marii Magdaleny. To była okropna szkoła, ale tam skończyłam VII klasę. Potem nie było normalnych szkół i uczęszczałam na tajne komplety. Wtedy trafiałam też do Szkoły Przemysłu Artystycznego. Wielu późniejszych słynnych artystów w niej działało: malarz Tyski, rzeźbiarz Wnuk. Nie miałam żadnych zdolności artystycznych, najpierw poszłam na malarstwo, ale mi to wyperswadowano. Powstał dwuletni Wydział Fotografiki, który ukończyłam, bo był wspaniały. Chemii uczył prof. Duchowicz – nauczyciel z najlepszego lwowskiego męskiego gimnazjum, i to jeszcze mojego dziadka znajomy. Fotochemii uczył dr Biernat, który potem we Wrocławiu był profesorem na uniwersytecie, języka polskiego uczył pan Woroniecki. To była naprawdę dobra kadra. A takim *modus vivendi* był Bronisław Kupiec, który choć po polonistyce, był znakomitej klasy fotografikiem i znakomitej klasy dydaktykiem. On nas uczył z takim nieprawdopodobnym

oddaniem i zaangażowaniem. Uczył nas przy tym mnóstwa rzeczy. Po wojnie zamieszkał we Wrocławiu. Pracował w Katedrze Fototechniki na Wydziale Chemicznym Politechniki, potem przeszedł na Akademię Medyczną, gdzie był kierownikiem Pracowni Fotograficznej. Były to czasy, kiedy bardzo trudno było o materiały fotograficzne, ale dla niego nie było przeszkód. Robili tam najlepsze zdjęcia rentgenowskie, zdjęcia kolorowe, które wtedy były u nas wielkim cymesem. On zawsze, gdzie tylko pracował, robił to z wielkim zaangażowaniem. Tak więc i ja stałam się fachowcem fotografikiem... Fotografia była wiele lat moją pasją.

Proszę opowiedzieć o swoich przyjaciółkach...

To była „sielna paczka"! Była nas piątka. Hanka Pawlikowska, po mężu Czarnicka, pochodziła ze znanej rodziny. Miała trudne życie. Jej ojciec miał nieduży majątek pod Lwowem. Został aresztowany i zamordowany przez Rosjan na początku wojny. Jej matka została z dwojgiem dzieci. Hanka zamieszkała we Lwowie u ciotki Grojeckiej (rodzina znanego adwokata). Drugą była Marysia Papeé (po mężu Zbiegieni, i Bieder). Jej ojciec był lekarzem. Przedostał się z wojskiem na Zachód i dostał się do Londynu, gdzie przetrwał całą wojnę. Późno po wojnie wrócił. Żona była pielęgniarką i musiała bardzo się natrudzić, by przez czas wojny wychowywać trójkę dzieci. Wynajmowała kawałek mieszkania, brała dodatkowe dyżury... Trzecia była Wieśka Jędrzejewska (po mężu Koźmińska). Jej ojciec był przemysłowcem, mieli bardzo piękną willę na obrzeżach Lwowa. Miała brata. W czasie wojny willa zajęta została przez Niemców, a oni zamieszkali w suterenach. Czwarta była Basia Fedorowicz (po mężu Kłaczek), jeźdźniczka. Jej ojciec pracował w jakimś urzędzie. No i ja...



Z koleżankami we Lwowie, od lewej: Marysia Papeé, Anna Sucharda, Hanka Pawlikowska, Wieśka Jędrzejewska, Lwów 1943, ul. Akademicka

Jak wyglądały tajne komplety?

Na tajne nauczanie chodziliśmy m.in. do Urszulanek. Kiedy we Lwowie pojawili się Niemcy, zakonnice wróciły do swojego klasztoru. W suterenie otworzyły kuchnię dla biednych. I właśnie dlatego tam mogły odbywać się nasze zajęcia. Mogłyśmy przychodzić tam niezauważone, nie budząc podejrzeń. Uczyły nas oczywiście zakonnice – siostra Stella historii i historii Kościoła, s. Bernadetta języka francuskiego, s. Symona geografii, s. Elżbieta języka polskiego. Chodziliśmy tam trzy razy w tygodniu. Inne zajęcia odbywały się u państwa Grojeckich, gdzie mieszkała Hanka. Tam miałyśmy matematykę i łacinę. Dwóch profesorów, Szujski i Lewicki, uczyło nas tych przedmiotów na bardzo wysokim poziomie. Wuj Hanki miał u siebie praktykę adwokacką, co pozwalało nam się tam swobodnie i bezpiecznie spotykać. Nigdy nie było wstydu.

Czas okupacji był trudny dla wszystkich...

Rosyjska okupacja zaczęła się dla nas źle. Ojciec był źle notowany przez okupantów, bowiem jako rektor miał ponoć popierać nacjonalistyczne wybryki studentów. Przez długi czas nie przyjmowali go do „profspiłki”, czyli związków zawodowych. Gdyby go trwale nie przyjęli do tego związku, musielibyśmy opuścić Lwów i zamieszkać w promieniu 100 km od Lwowa! Uratowało nas to, że z Moskwy nadeszło zatwierdzenie doktoratu tatusia, w naszej strukturze była to habilitacja. Przyjęto go do „profspiłki” i zaczął już normalnie funkcjonować. „Profspiłka” obsadzona była przez studentów żydowskich i ukraińskich, nieprzyjaźnie nastawionych do Polaków. Oni czuli się pokrzywdzeni, tym, że źle byli w okresie przedwojennej Polski traktowani.

Pani ojciec był ważną postacią w konspiracji lwowskiej...

Ojciec w konspiracji zaczął uczestniczyć dopiero w czasie okupacji niemieckiej, Jurek – mój brat, jak tylko powstał Związek Walki Zbrojnej. Obaj działali później w Armii Krajowej. Jurek rok przed wojną zdał maturę i znalazł się w wojsku, w podchorążówce. W 1939 r. uczestniczył w wojnie obronnej, dostał się do niewoli. Uciekł z dwoma innymi żołnierzami z konwoju pod Rzeszowem. Pamiętam to jak dziś. Byliśmy bardzo nie-

spokojni, co się z nim dzieje. To był listopad, leżałam na tapczanie, miałam widok na takie duże pole, z jednej strony była Cytadela, z drugiej korty tenisowe, i zauważyłam takie trzy dziwne postacie. Jedna trochę podobna do kogoś znajomego... Łachmaniarze zupełni. Podeszłam do okna i krzyknęłam: *To Jurek!* Pamiętam nazwiska obu kolegów Jurka: Sławek Lubek i Jurek Łazoryk. Przemieszkali u nas parę tygodni i zdecydowali się wyruszyć przez „zieloną granicę” do Warszawy, skąd pochodzili. Nigdy więcej się nie odezwali.

Jurek od samego początku działał w konspiracji. Najpierw był wykładowcą w podchorążówce. Za sowieckich czasów jeszcze studiował. Na chemię nie chcieli go przyjąć. Ale studiował na wydziale rolniczo-lasowym Politechniki. Jurek w pewnym momencie został oddelegowany do wywiadu i komórki likwidacyjnej. To było bardzo trudne zadanie. Pewnego dnia przysłała do nas sąsiadka z wiadomością, że się szykują aresztowania i że *dobrze by było, gdyby pan Jurek mógł na jakiś czas zniknąć*. I od razu wyprowadziliśmy go z domu, najpierw przyjęła go do siebie do domu mieszkająca w pobliżu sąsiadka pani Koczwarowa (matka jego kolegi, który zginął w wojnie 1939 roku). Potem zamieszkał w mieszkaniu prof. Henryka Kuczyńskiego, który sam z rodziną wyjechał ze Lwowa. W mieszkaniu pozostała pani Wanda Nowak, ciocia Zosi Kuczyńskiej, i służąca. Byłam jedynym kontaktem z Jurkiem. Uchodziłam za jego dziewczynę, miałam już 16 lat. Któregoś dnia przysłałam i służąca powiedziała mi, że pan Jurek nie wrócił na noc. Była groza i rozpacz. Mój tuziak rozpoczął poszukiwania po szpitalach, wspierany przez przyjaciela Dziadzia Wacia Leśniańskiego. W końcu zgłoszenie na policji. Skierowano ich na salę, w której leżało na stołach ponad trzydziestu martwych młodych ludzi. Byli zabici w ciągu jednej nocy przez milicjantów ukraińskich na służbie niemieckiej. W odwecie AK zorganizowała akcję Nieszpory, podczas której zaatakowali 7 komisariatów policji ukraińskiej. Zabili wtedy 17 policjantów ukraińskich. Po tej akcji definitywnie skończyły się ataki policji ukraińskiej na Polaków we Lwowie. Ale mojego brata już nie było, został zamordowany przez Ukraińców 11 marca 1944 r. Został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim.

Jak Pani patrzyła na te konspiracyjne sprawy?

Miałam ciocię – Emilię Maleczyńską, która była ważnym kierownikiem jakiegoś odcinka w AK, moja mamusia też została do AK wciągnięta. Ciocia zorganizowała u nas „skrzynkę kontaktową”. Kurierzy dostarczali do nas materiały, które inni odbierali. Przychodził do nas taki pan, który podawał hasło: *Mam świeże jajka do sprzedania...* Myśmy kwiczele ze śmiechu i wołaliśmy: *Mamusi, do Ciebie świeże jajka!*... Do mojego tatusia przychodziły „marabuty”, przychodzili faceci po pieniądze, no i te cyjankalia... No i Jurek, który trzymał w przeciwpożarowej skrzyni z piaskiem, stojącej przed mieszkaniami, swój pistolet. On swego visa rozbiarał, czyścił i „pieścił”. Nauczyłam się wtedy obcować z bronią, tylko strzelać nie mogliśmy. Oczywiście wszystkie gazetki dostarczałam siostrze Bernadecie. Raz zatrzymał mnie policjant, a ja w zarękawku miałam bibułę... Grałam chojraka, ponieważ miałam legitymację Weigla. Udało się... Któregoś dnia zgłosił się do nas daleki kuzyn mamusi. Chciał się u nas zatrzymać, bo miał jakieś interesy do załatwienia we Lwowie. Mamusia się zgodziła. Wujek Stasio był dziwnym człowiekiem, pojawiał się i znikał... Ja zauważyłam, że pod jego łóżkiem leżą paczki wypełnione bibułą i to taką NSZ-towską. Powiedziałałam to tatusiowi. Jak Stasio wrócił do domu, tatuś powiedział mi: *Stasiu, tego się nie robi! Jeżeli przyjeżdżasz z czymś takim, to mówisz, uzgadniamy. Tego nie zrobisz, proszę zbieraj manatki...*

Jak trafiliście państwo do Wrocławia?

W marcu 1944 r. zginął mój brat. Mamusia była tym załamana. We Lwowie zaczęły się naloty. 6 kwietnia był pierwszy nalot. Byliśmy w piwnicy, a jak wróciliśmy na górę, zastaliśmy zniszczone od wybuchów mieszkanie. Powybijane szyby, podarte, czarne papiery zaciemnienia. Ludzie już wtedy uciekali na Zachód. Z moich czterech przyjaciółek trzy były już poza Lwowem. W kwietniu 1944 r. wyjechałyśmy do Frysztaka. W szkole we Frysztaku pracowała siostra Zosi Skrowaczewskiej, współpracownicy mojego ojca, i jej mąż – państwo Świradowie. Był tam także nadleśniczym dawny student mego tuśka – pan Skowroński, który też oferował pomoc. Pomogli nam znaleźć pokój. W lipcu

zbliżał się front. Nasze lokum mieściło się na przedpolach Frysztaka. Przed nami były pole, droga i tor kolejowy, potem Wisłok, a za naszym domem wysoko w górze było miasteczko Frysztak z górującym nad miejscowością kościołem. Rosjanie podchodzili do rzeki, a Niemcy byli na górze. Pewnego dnia, czytając książkę, zauważyłam konia zjadającego kwiatki ze skrzynki na oknie, a siedzący na nim Rosjanin zapytał: *Zdies giermanców niet?* Po jakimś czasie zaczął się ostrzał. Pociski przenosiło nad nami. W nocy nasza gospodyni powiedziała, że trzeba uciekać. I uciekałyśmy – ona z krową i spakowanym do worka dobytkiem, jej syn z drugą krową i workiem rzeczy, my z mamusią z idiotycznie w pośpiechu spakowanymi plecaczkami. To była gehenna... Z daleka widzieliśmy, że pali się dom, w którym mieszkaliśmy. Kiedy tam wróciliśmy, zastałyśmy tylko zgliszczca. Nasze dwie walizki schowane w ziemiance ocalały, choć zostały splądrowane przez żołnierzy rosyjskich. Dwa tygodnie mieszkaliśmy w piwnicy u mało przyjemnego gospodarza. Nasz tuśiek zamartwiał się we Lwowie o nas. Nie wiem w jaki sposób, ale przedarła się do nas Zosia Skrowaczewska. Zorganizowała nam przejazd do Strzyżowa. W tamtejszym nadleśnictwie, u przyjaciół, dostałyśmy pokoiki na górze, dwa sienniki, dwie poduszki, dwa koce, a nawet ręczniki. Potem na miesiąc do Rzeszowa przeniosłyśmy się z przyjaciółmi – z pp. Krzysikami. On był nieprawdopodobnie związany z moim ojcem. Tam nawet zaczęłam chodzić do szkoły. Ale zaraz dostałyśmy list od przyjaciół, którzy zaprosili nas do Tomaszowa Lubelskiego. Byli to przyjaciele rodziców – Fela i Janusz Peterowie – lekarz i dyrektor tamtejszego szpitala, i będąca u nich Nola Negruszowa. Tam doczekałyśmy końca wojny. A mój tuśiek został sam we Lwowie. Przy naszym wigilijnym stole 24 grudnia 1944 r. Fela czytała list ze Lwowa od trzeciej z sióstr, pani Janki Reichert-Tothowej. W pewnym momencie czyta: *A Dziunek zachorował...* Co znaczyło, że mój tato został aresztowany! Rozpacz i zupełna niemoc! Jesteśmy w Tomaszowie i nic nie wiemy, niczego nie możemy się dowiedzieć i nic nie możemy zrobić, w żaden sposób pomóc. Dopiero w maju 1945 r. dostałyśmy telegram: *Jestem w Krakowie. Przyjeżdżam tak szybko, jak*



będę mógł. W Krakowie zaczął pracę jako kierownik laboratorium w Lasach Państwowych. Jakakolwiek posada była wtedy ważna, bo była legitymacja i przede wszystkim kartki żywnościowe. Potem został pierwszym dziekanem tworzącego się Wydziału Chemicznego na późniejszej Politechnice Krakowskiej. Ja chodziłam do liceum matematyczno-fizycznego im. Józefy Joteyko. Tatuś dostał wtedy kolejne propozycje – objęcia stanowiska dziekana na Politechnice w Gliwicach, przyszła też nominacja na Uniwersytet Jagielloński na katedrę chemii organicznej, i kuszący Wrocław, do którego zapraszał prof. Kulczyński, gdzie była też także Zofia Skrowaczewska i Henryk Kuczyński... I uległ Wrocławowi. Pojechaliśmy nad Odrę... We Wrocławiu było wtedy naprawdę „straszno”... Ale w Krakowie było nam bardzo źle. Wszyscy tam mieli wszystko, a myśmy nie mieli kompletnie nic. Brak mieszkania, brak podstawowych rzeczy, brak pieniędzy. Chodziliśmy się żywić do stołówki zorganizowanej dla „bieżących” na bocznej ulicy Karmelickiej. Ta stołówka była zawstydzająca. Tylko głębokie talerze, z łyżką, wszystko koloru szaroburego, to było upokarzające. A w Krakowie naprawdę mogły być talerze i płytkie, i głębokie, widelce i noże... Na ul. Karmelickiej była

taka wspaniała wędliniarnia, sklep mięsny, który w 1945 r. był zawałony towarami. Moja mięsożerna mamusia obliżywała się, ale czasem kupowała sobie 10 dag mortadeli. To było wszystko trudne.

Do Wrocławia przyjechałam po maturze – 10 lipca był bal maturalny, a 11 lipca już byliśmy we Wrocławiu. Ojciec od razu dostał mianowanie na prorektora – wtedy Uniwersytet i Politechnika działały razem. Rektorem był prof. Stanisław Kulczyński, biolog ze Lwowa. Henryk Kuczyński, który wyremontował sobie willę, odstąpił nam swoje dotychczasowe mieszkanie, w którym do dzisiejszego dnia mieszkam.

Profesor Sucharda nie nacieszył się długo nowym miejscem do pracy i życia...

Tatuś zmarł w 1947 roku, miał 56 lat. To był dla nas wielki cios. Przyczyniło się do tego więzienie rosyjskie. Kiedy trafił do więzienia na ul. Łąckiego we Lwowie, nie było tam żadnych łóżek. Siedział i leżał na gołym betonie, a był to okres ciężkiej zimy 1944/45. On zawsze miał kłopoty z nerkami. Powstał stan zapalny. Z antybiotyków była wtedy dostępna tylko penicylina, która nie pomagała. Przeprowadzono operację. Wykonali je najlepsi chirurdzy i urolodzy, prof. Bross i prof. Laskownicki. Tatuś zmarł... Zostałyśmy same. Mama pracowała w bibliotece chemicznej na wydziale chemicznym – miała skończone trzy lata chemii we Lwowie. Też zmarła w wieku 56 lat...

Poszła Pani w ślady rodziców – jako chemik...

Tak. Studiowałam chemię na Politechnice Wrocławskiej, potem podjęłam tam pracę. Doktorat zrobiłam na chemii farmaceutycznej u prof. Bobrańskiego – też ze Lwowa. Tylko mój mąż nie jest lwowianinem – poznaliśmy się na studiach chemicznych. Mąż, Lucjan Sobczyk, został profesorem chemii fizycznej na Uniwersytecie Wrocławskim, a ja nie dokończyłam habilitacji, gdy aresztowali mi syna w stanie wojennym. Mamy dwoje dzieci – córka Kasia mieszka w USA i jest chemikiem, a syn jest profesorem fizyki teoretycznej na Uniwersytecie Wrocławskim. Wnuczka skończyła w Warszawie fizykę i informatykę – ma otwarty przewód doktorski we Wrocławiu, a wnuk jest po informatyce i matematyce...

Czy była Pani we Lwowie po jego opuszczeniu?

Pojechałam tam po 57 latach z córką. Byłam strasznie zdenerwowana. Bałam się, że źle będę reagować na otoczenie ukraińskie. Mój brat – jak panu wspominałam – został przez ukraińskich milicjantów zamordowany. Ale wszystko przebiegało niezwykle łagodnie. Wszyscy byli mili, chętni do pomocy. Jak wychodziliśmy ze sklepów, mówiono nam na pożegnanie: *Idźcie z Bogiem...* Na Politechnice Lwowskiej poszukiwałam dokumentów z czasów rektorowania tatusia. Ale niczego nie ma, wszystko „zmielone”. Przyjął mnie prorektor Politechniki, byłam u dziekana, który nas nawet kawą poczęstował. Ściągnął też ode mnie wiadomości. Pan dziekan wręczył mi folder na temat Politechniki Lwowskiej, która trwa jako austriacka szkoła techniczna od 1844 r. Czasy polskie nie są tam ujęte. Jest luka i dzieje Politechniki Lwowskiej zaczynają się dopiero od 1939 i potem 1945 r. Na uczelni był też portret ojca jako rektora, ale zaginął. Może kiedyś, gdzieś zostanie jeszcze odnaleziony... Nasze uczelnie, Politechniki Wrocławska i Lwowska, współpracują i na 70-lecie uczelni do Wrocławia przyjechał dar od rektora Politechniki Lwowskiej – znakomite kopie portretów rektorów z czasów polskich. Mojego ojca tam jednak nie ma.

Po Lwowie biegałam nieprzytomnie. Wdrapałam się na górę po wertepach do szkoły Jana Niemca, byłam na wszystkich miejscach, gdzie mieszkałam, na cmentarzu Łyczakowskim, w moich szkołach. Kiedy dotarliśmy do mojego ostatniego mieszkania, bardzo chciałam tam wejść. Miałam czekoladki, myślałam, że może jakieś dzieci tam będą. Do córki powiedziałam: *Ty zostań tu na dole. A ona mówi: Tu jest remont. Tyle rzeczy wyrzuconych, może coś ze swoich rzeczy jeszcze znajdziesz...* Wchodzę na piętro. To była kamienica naszego dobrego znajomego prof. Płażka. Trafiliśmy tu z całym dobytkiem, kiedy nas Niemcy drugi raz wyrzucili. Zadzwoniłam do drzwi, ale to nie były te same drzwi. Wychodzi taki *bradiaga* w podkoszulku. Przywitałam się, przedstawiłam, że 57 lat temu tu mieszkałam, i zapytałam, czy mogłabym to miejsce raz jeszcze zobaczyć... *Zachoditje, zachoditje* – zaprosił do środka. Nie poznaję tego mieszkania. Przez środek biegnie korytarz,

od którego odchodzą drzwi. Okazało się, że z jednego mieszkania pięciopokojowego zrobili trzy mieszkania. Idę na koniec do swego pokoju i też nie poznaję, bo okna były takie weneckie, a tu zupełnie inne, nowocześniejsze, niepasujące do tej kamienicy. Malarz, który malował pokój, mówi do mnie: *Jak chce pani zobaczyć coś swojego, to jest piec...* I rzeczywiście, piękny niebieski piec kaflowy stał nienaruszony w kącie pokoju. Jaka byłam szczęśliwa, że stał tam tylko ten piękny piec. Ja się strasznie bałam, że zobaczę tam swój tapczan, swoje biurko, swoje szafki, szkło, jakieś obrazy... Tylko puste pomieszczenie z niebieskim kaflowym piecem... To wydarzenie miało jednak swój ciąg dalszy we Wrocławiu... Kilka lat temu odebrałam telefon: *Jestem taksówkarzem z Nysy – przedstawił się mężczyzna. – Przywiozłem do Wrocławia takich państwa, co tu mieszkali. Czy pani ich wpuści? Ja mogę być za tłumacza...* Byłam zaskoczona, ale przecież spodziewałam się, że takie zdarzenie może nastąpić. *Nie „wpuszczę”* – powiedziałam – *ale poproszę, żeby weszli.* Przyszli starsi państwo z dorosłą córką. Jaka ja byłam szczęśliwa, że Henryk Kuczyński, wyprowadzając się z tego mieszkania, zabrał całe wyposażenie! Tu była wspaniała biała sypialnia, piękny pokój stołowy z olbrzymim stołem i piękną wiszącą lampą...

Ale biały kaflowy piec mieli... (wskazałem na piękny stary piec)

Tak, ale na piec nie zwrócili uwagi...

Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.

Dr Anna Sucharda-Sobczyk, ur. we Lwowie w 1928 r., emerytowany mgr inż. chemii, doktor farmacji, wieloletni kierownik Centralnego Laboratorium Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej, autorka 57 prac naukowych, autorka i współautorka dwóch książek, autorka kilku opracowań życiorysowych ojca – prof. Edwarda Suchardy, autorka nieopublikowanych wspomnień m.in. o Lwowie.

KULTURA NAUKA

Jolanta Ciosek

Dawała radość i wzruszenie

Krystyna Feldman w tym roku miałyby 100 lat!

Pracowała niemal do końca. Kilka tygodni przed śmiercią w jej macierzystym Teatrze Nowym w Poznaniu odbyła się premiera monodramu *I to mi zostało...* na motywach opowieści biograficznej

Krystyna Feldman albo festiwal tysiąca i jednego epizodu. Monodram aktorki, która w kameralnej atmosferze, pięknie i prawdziwie opowiadała o sobie i jednocześnie o Polsce. Zmarła w Poznaniu. Miała wtedy 91 lat. Gdyby żyła, w tym roku skończyłaby 100 lat.

NIKIFOR I INNE MĘSKIE ROLE

Zagrała w ponad 60 filmach, w wielu spektaklach teatru telewizji, stworzyła galerię charakterystycznych postaci, m.in. na deskach teatrów Lwowa, Krakowa, Łodzi i Poznania. Okrzyknięto ją mistrzynią drugiego planu. Po latach doczekała się głównej roli filmowej w obrazie *Mój Nikifor* Krzysztofa Krauzego, gdzie stworzyła przejmującą kreację tytułowego bohatera. Film został obsypany deszczem nagród na międzynarodowych festiwalach, a Krystynę Feldman uhonorowano m.in. nagrodą za najlepszą rolę na Festiwalu Polskich Filmów w Gdyni, Grand Prix na Festiwalu w Kijowie, główną nagrodą aktorską na Festiwalu w Karłowych Varach.

O swych męskich rolach tak opowiadała przed laty: *Ta męska rola to dla mnie nie pierwszyna.*

W Teatrze Miejskim we Lwowie zadebiutowałam właśnie rolą chłopca w bajce „Kwiat paproci” Potem był jakiś młody Indianin – okropna rola, bo przez wszystkie akty poniewierano mną po scenie: kopano,

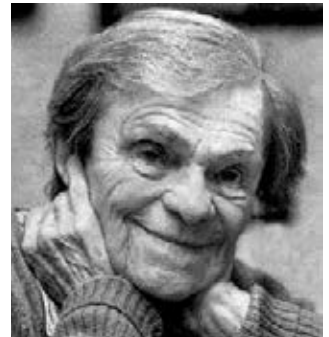
przewracano, bito, do dziś, psia krew, nie wiem dlaczego. Trafił mi się też jakiś pastuszek, a tuż po wojnie, w powtórnym lwowskim debiucie zagrałam Staszka w „Weselu” reżyserowanym przez Bardinięgo. Obecnie gram też męską postać w „Oświadczeniach” według Czechowa. Ale proszę nie sądzić, że czuję się specjalistką od męskich ról – do tego daleka droga. Grając Nikifora nie skupiałam się na jego płci. Najważniejsze było dla mnie to, co powtarzam wielokrotnie: nie grać postaci, tylko nią być. Przy „Moim Nikiforze” pracowaliśmy naprawdę ciężko, ale we wspólnym porozumieniu.

Zależało nam na stworzeniu postaci bliskiej pierwowzorowi, dlatego też musiałam pamiętać o tym, że był trochę koślawy, utykał, miał sztywne palce, a przede wszystkim bełkotał, bo jego język częściowo był przyrośnięty do podniebienia. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy Marian Włosiński, przyjaciel Nikifora opiekujący się nim przez wiele lat, spojrzął na mnie i powiedział „O Boże, mój Nikifor”.

LWÓW – KRAKÓW – POZNAŃ

Krystyna Feldman zdolności aktorskie zapewne przejęła w genach, urodziła się bowiem w rodzinie znakomitych artystów: matka Katarzyna była śpiewaczką operową i aktorką, a ojciec Ferdynand, wybitny fredrysta – ulubieńcem publiczności teatrów dramatycznych w całej Polsce. Choć pani Krystyna urodziła się we Lwowie, to dzieciństwo i młodość spędziła w Krakowie.

– To moje drugie rodzinne miasto. Mieszkaliśmy przy Kremerowskiej w pięknym, pięciopokojowym mieszkaniu pełnym wspaniałych mebli, książek i obrazów, bo tatuś kochał antyki. Nie pamiętam go, bo po jego śmierci mama dzielnie dawała sobie radę. W domu była kucharka i służąca zajmująca się mną i bratem. Pamiętam zabawne zdarzenie z tego okresu: W domu wisiły dwa portrety ojca – jeden przedstawiał go w roli Napoleona, drugi jako diabła Kusego w „Zacza-



rowanym kole” Rydla. *Ponieważ ojca nie znałam, to kiedy, jako mały szkrab, zapytałam służącą Wikcię, wskazując na Napoleona: „Kto to?” A ona na to: „Wis, to jest taki cysorz, twój tatuś” – „A kim jest ten drugi?” – dopytywałam. – „Wis, to taki diabeł, też twój tatuś”. Póki mama mi tego nie wytłumaczyła, nie mogłam pojąć, kim tak naprawdę był mój ojciec.*

Pierwszego olśnienia teatralnego doznała w Krakowie, gdy matka zaprowadziła ją do Teatru im. J. Słowackiego. Potem doszły kolejne wtajemniczenia, co doprowadziło panią Krystynę na egzamin w Państwowym Instytucie Sztuki w Warszawie, po którym dyrektor Janusz Warnecki zaangażował ją do lwowskiego teatru. – *On uwielbiał mojego ojca i sądzę, że zaangażował mnie ze względu na pamięć o nim, a nie z powodu mojego geniuszu. Zobaczył coś małego, chudego o nazwisku Feldman, no i dał angaż. Mama, wówczas aktorka tego teatru, nie chciała uwierzyć, że spotkało mnie takie wyróżnienie. Byłam bardzo szczęśliwa. Niestety niedługo, bo wybuchła wojna.*

Po wojnie nie mogła wrócić do Lwowa ani do Krakowa i tak naprawdę przez prawie 30 lat szukała swojego miejsca. Pracowała w teatrach w Katowicach, Łodzi, Szczecinie, Opolu i Krakowie, by na stałe zostać w Poznaniu. Grała tam w dwóch teatrach – Polskim, a potem Nowym aż do śmierci. Tam też jest pochowana w Alei Zasłużonych na cmentarzu Miłoszowskim. Ma też w Poznaniu swój zaułek – mała uliczka za teatrem Nowym została nazwana jej imieniem.

Miała wielu przyjaciół, ale w miłości nie była szczęśliwa. Większość życia była sama. Po śmierci męża nie związała się z nikim – *Nikt mnie nie zainteresował* – uciniała krótko temat. Nie miała dzieci.

Całe życie poświęciła pracy – teatrowi, o którym mówiła, że jest zazdrosnym kochankiem. Koledzy z teatru mówili o niej, że była antygwiazdą, nikogo ani niczego nie udawała, jeździła tramwajami, rozmawiała z przygodnie spotkanymi wielbicielami jej talentu.

ŻYCZLIWIE UŚMIECHNIĘTA

Krystyna Feldman ma w swoim dorobku wiele postaci charakterystycznych. Jej filmowym debiutem była rola dewotki w *Celulozie* Kawalerowicza, gdzie stworzyła postać

obdarzoną silnym rysem komediowym. Ten typ bohaterki przyszło jej grać jeszcze wielokrotnie, m.in. w scenicznej wersji *Głosu z tamtego świata* Różewicza. Jej *vis comica* wykorzystano m.in. w takich filmach jak: *Kapelusz pana Anatola*, *Ogniomistrz Kaleń* czy *Lalka*. Zagrała też w serialach: *Kapitan Sowa na tropie*, *Stawka większa niż życie*, *Plebania*, *Ogniem i mieczem*, *Stara baśń* czy kontrowersyjnym *Świecie według Kiepskich*.

Myszę, że zarówno w kinie jak i teatrze, udaje mi się dawać ludziom to, czego najbardziej potrzebują: śmiech i wzruszenie. Przeszłam przez wiele teatrów, m.in. w Katowicach, Opolu, Jeleniej Górze, Łodzi, no i oczywiście w Krakowie, gdzie grałam w Teatrze Ludowym za dyrekcji Ireny Babel i Waldemara Krygiera. Aktor nie może zasiedzieć się w jednym miejscu, bo jak mówił mój przyjaciel Aleksander Bardini: kiepski aktor koniecznie chce zmienić dyrektora, a dobry aktor zmienia teatry – mówiła aktorka podczas ostatniej rozmowy, kiedy dochodziła do zdrowia po bandyckim napadzie.

Wtedy też przekonała się, jak bardzo jest lubiana. Dziesiątki listów, wyrazów sympatii, kwiaty.

To prawda, spotykałam się właściwie przez całe moje życie z ludzką dobrocią i życzliwością. Nawet jeśli niekiedy zdarzały się wobec mnie jakieś uszczypliwości, to zawsze starałam się to w żart obrócić. Kiedyś przypadkiem usłyszałam rozmowę aktorek: – Ta Feldman gra wszystko. Ciekawe jak ona sobie to załatwia. – Sypiam ze wszystkimi kierownikami produkcji – odrzekłam, przechodząc obok ostupiałych koleżanek. W każdej sytuacji staram się być życzliwie uśmiechnięta.

O jej aktorstwie celnie napisał Maciej Maniewski w „Kinie”: *Jest mistrzowską odtwórczynią znaczących epizodów – postaci ekscentrycznych, rodzajowych czy wręcz dziwnych. Bardziej określa ją zewnętrżność niż osobowość czy skala przeżyć. Nigdy nie broniła się – bo nie mogła – przed dosadnością swoich typów. I tylko nie lada kunszt aktorski i oryginalność sprawiły, że te drugo- i trzecioplanowe drobiazgi od początku zwracały uwagę widzów.*

Największą popularność przyniosła jej rola babki Rozalii, teściowej Ferdynanda w serialu *Świat według Kiepskich*. O aktorce mówił Andrzej Grabowski, serialowy Ferdek:

Była kobietą pełną uroku, ale i stanowczą; potrafiła zejść z planu, nakrzyczeć, jeśli nie odpowiadała jej koncepcja jakiejś sceny.

Była uparta, ale zawsze w słusznej sprawie. No i lubiła czasami zapalić papierosa, co starałem się zwalczać. Niektórym wydało się, że jest dziwaczką, bo prowadziła swoisty styl życia: mieszkała samotnie, nie gotowała, nie miała nawet lodówki. Ale dla mnie nie było w tym nic dziwnego. Była najnormalniejszą kobietą: szczerą, otwartą, wręcz wylewną, świetną i wymagającą aktorką. Wszyscy ją uwielbiali.

„ŚWIATŁA, KTÓRE NIE GASNĄ”

Trudno wyobrazić sobie lepszy prezent od Krystyny Feldman dla jej publiczności w setną rocznicę urodzin artystki. Otóż w ub. roku spadkobiercy aktorki skontaktowali się

z Teatrem Nowym i poinformowali o odnalezieniu rękopisu *Świąteł, które nie gasną* przy porządkowaniu pamiątek.

– Teatr wykupił prawa do tego dzieła. Wspólnie z Wydawnictwem Miejskim przygotowuje wersję książkową, które ukaże się w tym roku – powiedział Michał Pabian, dramaturg Teatru Nowego.

Kiedy rozmawiałam z panią Krystyną po raz ostatni, powiedziała, że na zakończenie swojej kariery najchętniej zagrałaby Papkina w *Zemście*. I było to możliwe. Miała niebywałe poczucie humoru, o czym świadczą jej słowa: *Widomo było, że jak jakaś wściekła dewotka, wścibska sąsiadka, straszna nauczycielka jest potrzebna, to pod ręką jest Krystyna Feldman. Teraz troszkę się zmieniło, bo zeszło mi na zwariowane staruszki albo jakieś dobre ciocie, babcie.*

Huculka z dzbankiem

Prasa doniosła, że ostatnio w prywatnych mieszkaniach w Warszawie odnaleziono cenne obrazy, uznane wcześniej za zaginione podczas II wojny światowej. Wśród odnalezionych obrazów jest *Huculka z dzbankiem* (pięknym huculskim oczywiście) pędzla Michała Borucińskiego. Udało się je znaleźć, ponieważ niedawno pojawiły się na warszawskim rynku antykwarycznym. Odnalezione obrazy wchodziły przed wojną w skład prywatnych kolekcji. Uważano, że zostały skradzione podczas Powstania Warszawskiego i dotąd figurowały na liście polskich strat wojennych.

Obecnie obrazy zabezpieczono i przewieziono do magazynu Muzeum Narodowego w Warszawie. Obok prezentujemy Czytelnikom *Huculkę*.



ERRATA

W numerze CL 4/2015 w artykule J.M. Bożyka pt. „Barbara i Marian” znalazły się następujące błędy:

- na s. 54 w lewej kolumnie, wiersz 14 po tytule: jest *Starscy*, ma być **Styrscy**
- na tej samej stronie po prawej, wiersz 4 pod fotografią: jest *Hawrylak*, ma być **Wawrylak**
- na s. 55 w lewej kolumnie, wiersz 28: jest *Klimowicz*, ma być **Klimkowicz**
- w tej samej kolumnie, wiersz 33: jest *Chwali*, ma być **Chmaj**
- w tej samej kolumnie, wiersz 47: jest *Malawski*, ma być **Smalawski**.

Za błędy przepraszamy Czytelników i Autora tekstu.



Polski Lwów był zawsze bogaty w kulturę, gromadził liczne grono uczonych, pisarzy, artystów, inżynierów. Tak jak inne nasze główne miasta – mimo czasami ograniczonej swobody politycznej – skupiał licznych twórców bądź tu urodzonych, bądź przybyłych, bo zwabionych wysokim poziomem jego mieszkańców. Wśród tych przybyłych i osiadłych było wielu obcokrajowców – Niemców, Włochów, Francuzów, Czechów i jeszcze innych, którzy tworząc dzieła swego życia – integrowali się prędzej lub wolniej z miejscowym społeczeństwem. Wśród artystów było wielu malarzy, a jednym z nich Daniel Penther (1837–1887), z którym chcemy tu bliżej naszych Czytelników zapoznać. Przedstawiamy przeto dwa olejne obrazy jego pędzla, które udało się nam odnaleźć. Są to portrety małżonków Sochaniewiczów, wykonane we Lwowie w 1869 r., które we Lwowie znajdowały się do lat czterdziestych XX wieku.

Dołączamy skrót życiorysu Daniela Penthera przepisany z tomu XXV/3 *Polskiego Słownika Biograficznego*. Skorzystaliśmy również z informacji zawartych w katalogu wystawy urzędzonej w Galerii Narodowej M. Lwowa w 1937 r. *Sto lat malarstwa lwowskiego 1790–1890*.

DANIEL PENTHER urodził się we Lwowie w rodzinie niemieckiej w r. 1837. Był malarzem i konserwatorem obrazów. Do zawodu malarskiego przygotowywał się wcześniej u lwowskiego artysty Jana Maszkowskiego. Od 1855 r. studiował w Wiedniu i Monachium. W Akademii wiedeńskiej należał do grona Polaków (głównie lwowian), jak Parys Filippi, Artur Grottger, A. Gryglewski, Marceli Maszkowski, Jan Matejko, Karol Młodnicki i inni. Blisko Penthera trzymał się Matejko, bo nie znał języka niemieckiego, a także Grottger, z którym Penther się przyjaźnił i dla którego namalował portret Wandy Monné.

Około 1872 r. Penther opuścił Lwów i osiadł w Wiedniu, gdzie otrzymał stanowisko rządowego kustosa i konserwatora tamtejszej Galerii Obrazów.

Główny dorobek malarstwa Penthera stanowią lwowskie portrety (w tym małżeństwa Sochaniewiczów), ale także obrazy rodzajowe, religijne, mitologiczne. Wykonał 11 kartonów z postaciami alegorycznymi dla auli Politechniki Lwowskiej.

Zmarł w Wiedniu w r. 1887, tam pochowany.

Mowa nasza ojczysta

Pomysłowa, jak zwykle, redakcja „Gazety Lwowskiej” zaproponowała w swym numerze bardzo ciekawą i potrzebną akcję. W apelu zatytułowanym *Mowa nasza ojczysta* zwrócono się z jednej strony do Mądrych Profesorów, z drugiej do Czytelników o wspólną pracę nad poprawą naszej polszczyzny i kultury języka.

Idea świetna, bo taka terapia przyda się wszystkim Polakom. Polszczyzna psuje się zarówno po tej, jak i po tamtej stronie granicy. Powody są oczywiście różne, byłoby atoli jeszcze gorzej, gdyby Polacy z tamtej strony do własnych problemów językowych (a wynikłych z ponad półwiekowego wpływu ruszczyzny w jej rożnych odmianach) dodali nadwiślańską degradację ojczystej mowy i jej kultury.

Niebezpieczeństwo jest całkiem realne, bo Polacy we Lwowie, Wilnie czy Grodnie słuchają przez telewizję i radio głównie gwary warszawskiej i chcąc nie chcąc traktują ją jako językową normę.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że krakowska polszczyzna błyszczą poprawnością (bynajmniej!), jest jednak mniej agresywna i sama poddaje się – przez te media – warszawskiemu wpływowi.

Wprawdzie nie grozi nam w Krakowie wymawianie pojechały lub zrobiłyśmy, natomiast rozpowszechnia się akcentowanie zrobiliśmy zamiast zrobiliśmy, nie mówiąc o takich koszmarach jak Ameryka, czy jeszcze straszniej Waszyngton (zamiast Ameryka, Waszyngton). Językoznawcy wybaczą nam brak fachowych wyjaśnień, ale na pewno zrozumieją, o co chodzi, choć nie wiemy, czy nasze utyskiwania podziela. Zauważyliśmy bowiem u nich tendencję do akceptowania niemal wszystkiego, co ludek wymyśli, choćby to urągało polskiej tradycji językowej.

Na szczęście nie wszyscy prezenterzy TV i spikerzy radiowi tak mówią (choć u młodszych jest to coraz powszechniejsze – czy nikt ich nie uczy poprawnej mowy?),

ale na ogół trudno się słucha ich rozmówców – tych tak zwanych „zwykłych ludzi”. Osobny rozdział to sprawozdawcy sportowi – czy nie mogliby brać przykładu z Bohdana Tomaszewskiego?

Żeby było śmieszniej, rozpowszechnia się równocześnie – czyżby powrót do wspólnego języka z Czechami? – akcentowanie pierwszej zgłoski, szczególnie jeśli chodzi o to, by wypowiedź wypadła dobitnie: „Dokąd jedziesz? – Do Krakowa” albo „Kupiłeś mi gazetę? – Zapomniałem”. Innym problemem jest narzucanie przez Warszawę wyrażań albo form rodem z tamtejszej gwary.

U nas, w całej Małopolsce, małe czarne leśne jagódki to były zawsze borówki, a czerwone – brusznice (na Wschodzie godogdze). Dlaczego mamy teraz mówić na te pierwsze czarne jagody, a na te drugie borówki? Co gorsza, wydawane obecnie słowniki, poradniki itp. wychodzą przeważnie spod piór warszawskich, a ci bez skrupułów stosują swój język domowy. Dlaczego ładna polska nazwa grysik ma być wypierana przez przedziwną *kaszę mannę*? Scyzoryk sam się otwiera (proszę wybaczyć to gwarowe wyrażenie), gdy już nawet przewodnik po Lwowie mówi o lwowskim zabytkowym centrum – sta ó w k a! Starówkę niech sobie mają w Warszawie, a we Lwowie jest zawsze stare miasto.

Osobny koszmar to „aki”: dzieciaki, starszaki, a nawet „dąbrowszczaki”. Jest to zakorzeniony w warszawskim żargonie rusycyzm i całej Polsce narzucany. Pisał już o tym przed wojną świetny lwowski literat w książce *Na końcu języka*, Stanisław Wasylewski. Rozdział nazywa się *Ako-mania*.

Nieszczęsne rusycyzmy zakorzeniły się szeroko i głęboko w ostatnich 50 latach w mowie Polaków na Ziemiach Wschodnich, trudno się temu dziwić. Nie wszystkie z nich są łatwe do zwalczania: jak wyplenić te, które stanowią o stylu wypowiedzi, składni? Ale może nietrudno poprawić słownictwo, stosowanie przypadków, niektóre zwroty np. taki: *on pracuje nauczycielem* (zamiast: jako nauczyciel) albo pomnik *Mickiewiczowi* (zamiast: Mickiewicza). Tego jest sporo.

Na koniec mała pretensja do Polaków za wschodnią granicą. Skoro czują się Polakami i cenią sobie polską historię i kulturę, dlaczego tak często nadają swoim dzieciom imiona, które z naszą tradycją nie mają nic

CZERNOWIE LWOWSCY ROMANIŚCI

Danuta Czerny-Sikora

ZYGMUNT CZERNY 1888–1975

Zygmunt Czerny, wybitny romanista, erudyta o wielokierunkowych zainteresowaniach badawczych, obejmujących między innymi historię, teorię i krytykę literatury (przede wszystkim francuskiej, włoskiej i hiszpańskiej), językoznawstwo i dydaktykę, urodził się we Lwowie 24 lipca 1888 roku. Od czasów studiów pod kierunkiem Edwarda Porębowicza, pogłębionych we Francji, aż do roku 1945 związany był głównie z Uniwersytetem Jana Kazimierza we Lwowie. Tam się doktoryzował (1913), habilitował (w 1919), tam został mianowany profesorem nadzwyczajnym (w 1924) i zwyczajnym (w 1933), tam wreszcie kierował Katedrą Filologii Romańskiej. W okresie okupacji prorektor tajnego nauczania UJK.

Po wojnie wykładał na uniwersytetach w Toruniu, Poznaniu i Wrocławiu.

W 1950 r. zamieszkał Zygmunt Czerny w Krakowie, by ostatnich 25 lat życia poświęcić niezamordowanej, aktywnej pracy uczonego i dydaktyka. Trzon jego działalności stanowiła bowiem praca naukowa na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie – od 1950 r. do przejścia na emeryturę w roku 1960 – był profesorem zwyczajnym i kierownikiem Katedry Filologii Romańskiej.

Jednocześnie brał żywy udział w pracach szeregu instytucji i towarzystw naukowych. Wymienić tu należy przede wszystkim działalność Zygmunta Czernego w Towarzystwie Współpracy Naukowej z Francją (przewodniczący Oddziału Krakowskiego i zastępca przewodniczącego Zarządu Głównego).

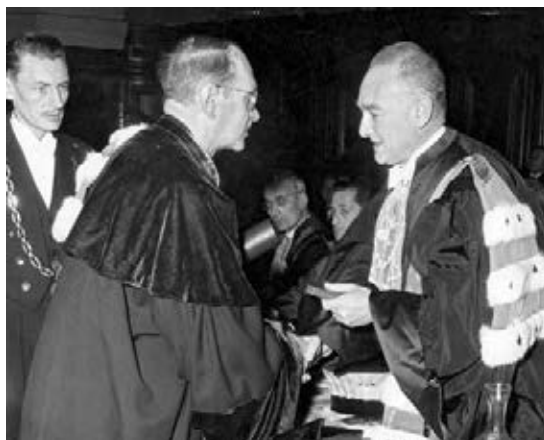
Należał również do Komitetu Neofilologicznego, Komitetu Nauk o Literaturze i Komisji Wydawniczej PAN. Od roku 1958 do końca życia kierował Komisją Historyczno-literacką Krakowskiego Oddziału Akademii.

Inną dziedziną jego prac organizacyjnych stanowiło uczestnictwo w działalności Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, w którym od roku 1956 do 1959 był przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego w Krakowie, w latach 1964–1967 członkiem Rady Naukowej Zarządu Głównego, a w latach 1965–1968 członkiem Głównej Komisji Rewizyjnej.

Twórczość naukowa Zygmunta Czernego to przede wszystkim liczne artykuły i rozprawy w języku polskim i francuskim, szereg prac dydaktycznych, jak również naukowe opracowania tekstów, wstępy i posłowania do polskich tłumaczeń wybitnych pozycji literatury romańskiej (np. do dokonanego wspólnie z żoną, poetką i świetną tłumaczką, Anną Ludwiką, przekładu *Don Kichota* Cervantesa).

Za swoją niestrudzoną działalność naukową, dydaktyczną i edytorską, mającą na celu popularyzowanie literatury i kultury francuskiej, otrzymał Zygmunt Czerny doktorat honoris causa Sorbony oraz order *Commandeur de la Legion d'Honneur* i *Officier des Palmes Academiques*, a także Krzyże Komandorski i Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Zmarł 18 lutego 1975 r. Spoczął na cmentarzu Rakowickim.



Zygmunt Czerny dekorowany przez ambasadora Francji

Anna Susułowa

ANNA LUDWIKA CZERNY

1891–1968

Anna Ludwika Czerny urodziła się we Lwowie, tam też ukończyła szkołę średnią i odbywała studia uniwersyteckie w zakresie filologii romańskiej i klasycznej. Lata I wojny światowej spędziła w Paryżu studiując malarstwo i poświęcając się pracy społecznej i artystycznej. Później wróciła do rodzinnego miasta, przez pewien czas pracowała w zawodzie nauczycielskim, równocześnie pisując artykuły i publikując swe przekłady w czasopismach – między innymi w „Skafandrze”, „Zwrotnicy” i „Wiadomościach Muzycznych i Literackich”. W 1925 roku wydała w Ossolineum *Antologię nowej liryki francuskiej* we własnym opracowaniu i przekładzie, poprzedzając całość wstępem. Potem przyszła kolej na własne tomiki poetyckie (*Uwrocie* 1929, *Testament Adama* 1931).

Praca literacka była najwłaściwszym ujęciem dla rozlicznych artystycznych talentów Anny Ludwiki Czerny i od roku 1933 poświęciła się jej całkowicie i wyłącznie. Nawet okupacja nie przerwała tej działalności. Pomędzy pracami domowymi a ogrodnictwem znajdowała wtedy czas i chęci, by pisać wiersze, tłumaczyć i brać udział w tajnych zebraniach literatów. Część dorobku z tego okresu doczekała się później wydania drukiem, część pozostała w rękopisach, część zaś uległa zniszczeniu.

Koniec wojny zamknął też lwowski okres życia Anny Ludwiki Czerny. Po kilku latach pobytu w Toruniu, gdzie natychmiast podjęła pracę w pomorskim oddziale ZLP, osiadła wraz z mężem w Krakowie.

Tatry, oglądane z zacisznej Bukowiny, dokąd kryła się często przed gwarliwym życiem wielkiego miasta, zastępowały teraz pejzaże alpejskie, utrwalane niegdyś na płótnie malarskim.

W krakowskim okresie życia powstały najważniejsze przekłady Anny Ludwiki Czerny, określające i utrwalające jej wysoką rangę jako tłumaczki. Brała na warsztat zwykłe dzieła wielkie objętościowo, trudne i opor-

ne w pracy przekładowej, także, z którymi należało się mierzyć i zmagać. Ale też wyniki były zawsze na miarę trudu i doskonałości oryginału. W Krakowie dokonała przekładu *Opisania świata* Marco Polo, *Pamiętników i opowieści* Mistrala, tu wreszcie przełożyła wraz z mężem, profesorem Zygmunt Czernym, *Przemysłnego szlachcica don Kichota* z *Manczy* Cervantesa, co przyniosło jej nagrodę Pen Clubu w 1964 r. i odznaczenie Oficerskim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski.



Obdarzona młodym usposobieniem, Anna Ludwika Czerny zajmowała się nie tylko przekładami klasyków lub awangardy z lat swej młodości. Żywo interesowała się współczesną literaturą, zwłaszcza poezją, i po mistrzowsku tłumaczyła najnowszych francuskich poetów.

Była przewodniczącą Sekcji Tłumaczy krakowskiego oddziału ZLP i mimo trawiącej ją ciężkiej choroby nie zdarzyło się, by opuściła jakiegokolwiek zebranie Sekcji. Była człowiekiem wielkiej miary, jednoczącym w sobie wrażliwość malarki i poetki z ogromną erudycją i doświadczeniem. Z właściwym sobie talentem i niebywałym zapałem kierowała pracami sekcji, przyciągając i przyciągając z życzliwością młodych, nienależących do ZLP adeptów sztuki translatorskiej, by poświęcić im czas, uwagę i cierpliwość, aby służyć radą i trafnym słowem życzliwej krytyki. Starannie planowała tematy zebrań sekcji, a w razie niespodziewanej awarii zawsze miała pod ręką temat zastępczy. Jakiś interesujący artykuł z prasy, coś ciekawego z obcej literatury albo własny fascynujący przekład.

I nie zdarzyło się, aby kiedykolwiek na twarzy Anny Ludwiki Czerny brakowało uśmiechu. Nieodłącznym bowiem atrybutem jej postaci był ów uśmiech, pełen dobroci i życzliwości.

I taka została w naszej pamięci.

POEZJA

z uchodźczego notatnika

Feliks Konarski

Trzy ziemie

Od lat jakże długich i trudnych
Wciąż ta sama na sercu troska:
Że tam gdzieś – zostały trzy ziemie:
Wileńska, Wołyńska i Lwowska.

Jak w nowych Księgach Pielgrzymstwa,
Genezis naszego tułactwa:
Trzy ziemie. Trzy ofiary
Największego na świecie łajdactwa!

Wymazali, skreślili z mapy,
Oddzielili drutów zasiękiem.
Nie mieli kruszyny liłości
Nad ziemią i nad człowiekiem.

Człowieka wygnali z ziemi –
Ziemie człowiekowi wydarli.
Zostali w ziemi Ci tylko,
Którzy kiedyś wolnymi tu zmarli.

Kara ludzka ich nie dosięgła,
Nie ułękli się przeto i boskiej
I plądrują – i chodzą po ziemi
Wileńskiej, Wołyńskiej i Lwowskiej.

Wykarczować by chcieli korzenie,
Przeoraliby ziemię do spodu,
Żeby się tu nie mogło przypomnieć
Jej przeszłości i tego Narodu.

Który w ziemię tę wrósł od prawieków,
Który żył tu od dziadów-pradziadów,
Żeby nikt nie odnalazł tu więcej
Raz na zawsze zatartych śladów!

Przesiedlili, przegnali, wywieźli,
Oddzielili duszę od ciała,
Zapomnieli tylko o jednym
Przeoczyli – że ziemia została.



Ziemi, której ni wygnać, ni wywieźć,
Z której nadal z nadejściem wiosny
Zielonością w niebo strzelają
Buki, klony, topole i sosny!

I już gaj się rozszumiał, rozgadał
Po dawnemu – wileńską brzozą...
Łatwo było wysiedlić człowieka –
Ale brzoź – wszystkich brzoź nie wywiozą!

A tu las się po lwowsku rozśpiewał –
Po człowieku została scheda...
Łatwo było wysiedlić człowieka,
Ale lasu wysiedlić się nie da!

A tu chabry wśród zbóż modrookie
Ubarwiły tę ziemię żałobną...
Łatwo było wypłenić człowieka –
Ale chabry na nowo wyrosną.

Ani słońca nikt przegnać nie zdoła,
Ani wiatru nikt nie wyrzuci –
Bo i słońce na nowo zaświeci,
Bo i wiatr tu na nowo powróci!

Miasto da się przemienić, przestawić,
Można z każdą rozprawić się wioską,
Ale ziemia wciąż ziemią zostanie –
Tą Wileńską, Wołyńską i Lwowską!

I zostaną w tej ziemi mogiły
I te prochy zostaną, i kości –
Jako symbol dawnego dziedzictwa,
Jako prawo odwiecznej własności!

I gdy człowiek po latach tułaczki
Wróci tu z własnym synem lub wnukiem
I usiądzie znużony wędrowską –
Pod modrzewiem, topolą, sosną czy bukiem

Na tej ziemi żyjącej i żywej –
Wtedy nagle usłyszysz z daleka,
Jak doń las po wołyńsku zagada...
Jak po lwowsku zaszumi mu rzeka.

Jak mu wiatr po wileńsku zaśpiewa
O przeszłości tej ziemi upartej,
Która burze najgorsze przetrwała...
O tej Polsce na części rozdartej.

Z mapy świata zmazanej – a przecież
Znowu całej. I wtedy zrozumie,
Że to ziemia go wita najmiłsza
I usłyszysz w gałęzi poszumie

Jak raduje się jego powrotem,
Czekająca na niego – ojcowska –
Jego ziemia, za którą tak tęsknił:
Ta Wileńska, Wołyńska i Lwowska!

Stanisław Baliński

Pieśń o kraju

Płynę do ciebie po nocy
Kraju mój śpiewny, uroczy
Tam chmurki drżały z tkliwości
A wiatr kołysał serdecznie –
O kraju mój, tyś mą miłością –
Wiecznie.

Tam był nasz dom i olszyny,
Kościółek stary i młyny
I bzy w liliowej poświacie,
O których pieśni mówiły
Że najpiękniejsze są w świecie –
Bo były.

Tam tajemnicze moczary
I cmentarz, przy nim dąb stary
I napoliński gościniec
Zarosły czasu wikliną –
Mówiono o nim, że płynie
Bo płynął.

Poeci przeszli tamtędy
Zmienili ziemię w legendy.
Gdzie spojrzeć – tam wschodzą słowa
Gdzie dotknąć – tam harfa jęknie.
O moja ziemię –
Śnij pięknie!

Każdy skądś przecie pochodzi,
Ten z Krymu, ten z Walii, ten z Łodzi,
A ja pochodzę od młodu
Z białośpiwnego ogrodu
Z doliny, olszyn i rzeki
Dalekiej –

Można mnie stamtąd wyrzucić!
Można mi kazać nie wrócić.
Można mnie z żywych wymazać,
Wygnać, przepędzić za płoty –
Ale jak można zakazać
Tęsknoty?

Nie martwy księżyc tam wraca,
To cień mój wodę ozłaca,
Nie woda w młynie tam szumi
To żal mój śpiewa, jak umie
I woła gorzką pociechą
Jak echo...

I płynę, płynę po nocy
Do ciebie, kraju uroczy.
Tam chmurki drżały z czułością
A wiatr kołysał bezpiecznie –
O kraju mój, tyś mą miłością
Wiecznie!

Wycieczka na Czarnohorę

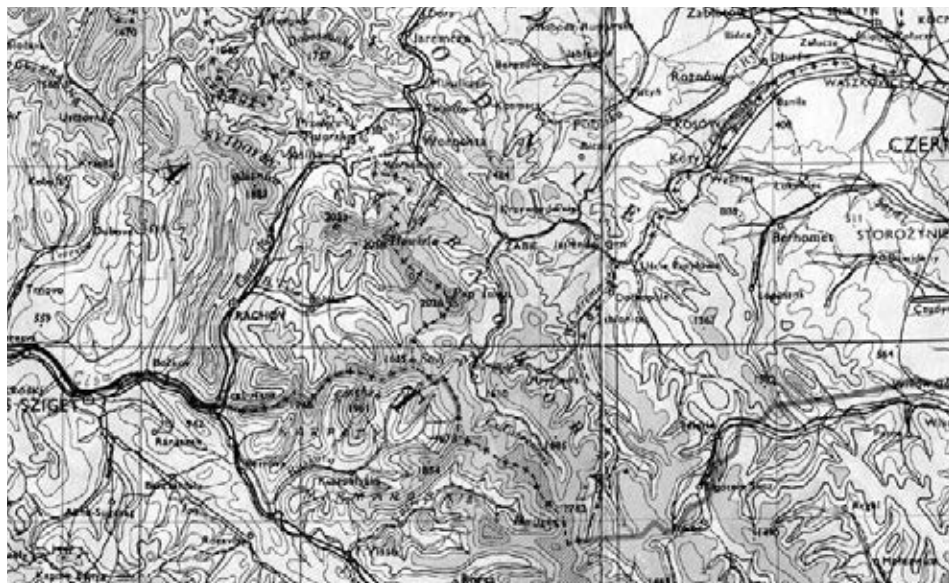
Zbiorowej wycieczce AKT w okresie 1906 r. w pasmo Czarnohory, która odbyła się od 2 do 5 czerwca, w czasie Zielonych Świąt, poświęcam ustęp nie tylko dlatego, że była to pierwsza większa i ciesząca się dużą frekwencją wycieczka AKT w ogóle, ale przede wszystkim dlatego, że była to najbardziej humorystyczna wycieczka, jaką kiedykolwiek urządzałem. Wszystkie szczegóły do dziś, po upływie 50 lat, pamiętam. Wycieczka ta należała do najweselszych, jakie zorganizowałem, i muszę wskutek tego poświęcić jej cokolwiek obszerniejsze wspomnienia. Uczestnicy jej urządzili klasyczny popis, jak nie należy ekwipować się na wycieczkę i jak nie należy się na niej zachowywać.

Zaznaczam tutaj, że Czarnohora była jedynym pasmem Wschodnich Karpat, które w okresie kiedy organizowaliśmy Akademicki Klub Turystyczny, a zatem w roku 1906, miało już pewne zagospodarowanie turystyczne w postaci dwóch schronisk, a mianowicie na Zaroślaku, polanie w dolinie Prutu, poniżej Howerli, a kilka km powyżej końcowej stacji kolejki leśnej prowadzącej z Worochty na

Zaroślak. Drugie schronisko, niemal legendami otoczone, bo mało kto do niego docierało, stało na Poliwnym, daleko na zachód od Popa Iwana, końcowego szczytu Czarnohory. Dla tego pasma gór istniał wydany drukiem *Przewodnik* wydany przez Oddział Czarnohorski Towarzystwa Tatrzańskiego w Kołomyi. Oddział opiekował się turystyką w tym rejonie już od roku 1876, tj. od czasu swego powstania.

W początkach XX w. jego prezesem, z którym stykałem się bardzo często i którego bardzo szanowałem za jego zasługi i pracę w dziedzinie ożywienia turystyki w tutejszym terenie, był emerytowany major wojsk austriackich, zamieszkały w Kołomyi, Hoffbauer, sekretarzem zaś, bardzo ruchliwym, znacznie młodszym od prezesa, nauczyciel gimnazjum w Kołomyi, Henryk Gąsiorowski, późniejszy prezes Oddziału i znany w Polsce autor znakomitego i bardzo dokładnego przewodnika w dwóch tomach po Wschodnich Karpatach.

Ale nie uprzedzajmy faktów. Już dwa tygodnie przedtem podałem w pismach



lwowskich, głównie w „Słowie Polskim” i wystybulach Uniwersytetu, Politechniki oraz wyższych szkół fachowych, ogłoszenie o organizowanej na Zielone Świąta czterodniowej wycieczce w pasmo Czarnohory. Ogłosiłem, że nocować będziemy w kolibach huculskich, gdyż schronisko na Zaroślaku leży za nisko, schronisko na Poliwnym za daleko. W odróżnieniu od wycieczek jedno-dniowych, na których frekwencja była niezbyt duża, na tę wycieczkę, ku memu zdumieniu, a do pewnego stopnia i przerażeniu, zgłosiło się aż 65 kolegów. W dodatku wszyscy okazali niebywałą zapał, a kiedy wypytawałem ich o ekwipunek, oświadczyli, że wprawdzie nie mają wszystkiego, co trzeba, ale jakoś sobie poradzą. Widząc tak wielką liczbę chętnych zwołałem na dwa czy trzy dni przed wyruszeniem na wycieczkę zebranie informacyjne w jednej z sal Politechniki, zaznaczając w ogłoszeniu o zebraniu, że obecność uważam prawie za obowiązkową, aby uniknąć nieodpowiedniego wyekwipowania.

Od tego zebrania zaczęły się wesołe incydenty związane z tą wycieczką. Przede wszystkim okazało się, że w posiedzeniu wzięło udział 40 kolegów, reszta zaś uważała się za tak znakomicie zorientowaną w zagadnieniach ekwipunku turysty górskiego, iż przyjscie na zebranie uważała za zbędne. Na początek zapytałem obecnych, kto z siedzących na sali jeszcze nigdy nie był w górach. Okazało się, że prawie wszyscy i prawie wszyscy są zupełnymi nowicjuszami.

Zacząłem tedy od tego, że przedstawiłem im rozmaite części ekwipunku i dawałem rady, co jest najbardziej praktyczne. W pierwszym rzędzie zwróciłem uwagę na plecaki, jako najbardziej wygodne do przenoszenia prowiantu i okrycia. Dodałem jeszcze, a była to już pora, kiedy sprowadziliśmy raz czy drugi z Wiednia bądź z Innsbrucku partię plecaków, że kilka plecaków pozostało w rezerwie i można je nabyć w Klubie po 6 koron za plecak. Rzeczywiście paru kolegów kupiło je i nie żalowali tego. Ale dla wszystkich jednak nie starczyło. Zresztą większość odnosiła się do tej sprawy wręcz niezyczliwie. Imieniem tych oponentów zabrał głos kolega Święcki, student weterynarii, młodzian atletycznej budowy, który powiedział, co następuje: *Kolego, jeśli sądzicie, że ja z walizką nie potrafię wejść na Howerlę, to mnie nie znacie!* I pokazał

mi swoje wspaniałe muskuty. Tego samego mniemania byli jeszcze dwaj inni koledzy. Zabrali oni ze sobą walizki na czterodniową turę po 30 km dziennie w górach. Trzeba na ich chwałę powiedzieć, że wytrzymali tylko dwie doby, a ze szczytu Howerli zeszli na Zaroślak z tymi walizkami do kolejki i wrócili do Worochty, gdyż żyły w rękach mieli naciągnięte. Szczególnie zniszczyła ich Howerla ze swoją wysokością 2058 m.

Następnie dyskusja zeszła na buty. Kandydatami na Czarnohorę nie byli bywalcy tatrzańscy, którzy by mieli porządne buty turystyczne. Ci mieli przeważnie płytkie buciki spacerowe, dobre na ulice Lwowa, ale nie nadające się w góry. Kilku ustrzeliło mnie wiadomością, że zabiorą ze sobą kalosze z ich śliską i gładką podeszwą gumową. Jeden stwierdził, że do chodzenia po górach nie ma lepszego obuwia jak kierzki góralskie w delikatnym i filigranowym wydaniu, coś w rodzaju pantofli porannych z cieniutkiej skóry i bez obcasów, które sprzedawał bazar wyrobów krajowych po 90 centów od pary. Kierzki te mogły się nadać na występy w balecie, ale nie chodzenie po lesie, a tym bardziej po górach. W moich oczach wadą tych kierzków była śliskość podeszwy i jej cienkość, przez którą odczuwało się każdy kamień. Ale najwięcej krytyków znalazło się pośród zwolenników butów z cholewami, których wielu z nich używało do polowania w okolicach bagnistych. Twierdzili oni, że mają znakomite buty ze skóry juchtowej i wypróbowane jako nieprzemakalne. Z ciężkim sercem zgodziłem się na buty z cholewami, ale nie bardzo godziłem się na kalosze, na płytkie buciki, na pantofle w postaci kierzków i na pantofle poranne plecione z łyka.

Przeciwnicy plecaków zapowiedzieli, że swoje prowianty i drobiazgi zawiną jedynie w koce, przewijając szpagatem na krzyż, inni natomiast wezmą prowianty po prostu do worka, który będą nosili na plecach, a jeszcze inni byli entuzjastami waliz. A jeden tak lekceważąco odnosił się do gór, iż powiedział, że prowiant swój owinie w gruby papier z głowy cukru (w takiej postaci sprzedawano wówczas cukier). Przypominam, że papier ten był z jednej strony szary, z drugiej zaś, zewnętrznej, czarny i błyszczący. Na moją propozycję, aby o ile możności zabrać gumowe peleryny, a kto ich nie ma, to gumowe płaszcze, kilku odpowiedziało, że im

zupełnie wystarczą koce, którymi będą się w nocy przykrywać, a w dzień wiązać na krzyż szpagatem i używać jako okrycia dla swoich drobiazgów i prowiantów. Wybijałem im jak mogłem z głowy te nonsensy, ale nie znalazłem posłuchu.

Ciągle mi przeczesano, zaczynając od słów: *Nie znacie mnie, kolego, nie wiecie, jakie mam walory*. Rzeczywiście, nie znałem, ale muszę powiedzieć, że w Czarnohorze walory owe zobaczyłem z jak najbardziej humorystycznej strony.

Gdybym miał scharakteryzować tę wycieczkę, to musiałbym przypomnieć anegdotkę o dwóch wybitnych posłach galicyjskich, którzy niegdyś pojechali w deputacji do centralnych władz austriackich w Wiedniu. Jeden z nich, reprezentujący Lwów, nazywał się Wild (*Dziki*), a drugi, reprezentujący Kraków – Gross (*Wielki*). Jednym słowem „dziki” i „wielki” pojechali i nic nie zyskali. W Galicji wtedy powstało przysłowie: *Pojechali Gross und Wild, powrócili klein und mild (mały i łagodny)*. Tak samo było z uczestnikami mojej wycieczki, a w dodatku powracali na bosaka i bez butów, w stanie pożałowania godnym.

Połowa wycieczki podtrzymała swoje zgłoszenia, druga połowa wstrzymała się od wyjazdu, uważając go za niebezpieczny. W ten sposób z 65 zgłoszonych pojechało tylko 30 osób, reszta wycofała swój udział. W gruncie rzeczy byłem zadowolony, gdyż wycofał się element tchórzliwy, którego na wycieczkach nie lubiłem, a poza tym kierować wycieczką 65 osób w tym kompletnym pustkowiu, jakim jest Czarnohora w okresie,

kiedy nie napłynęli tam jeszcze Huculi do szałasów i kiedy nie było żadnych prowiantów na miejscu, a jest się zdanym tylko na to, co ma się ze sobą, nie jest przyjemne.

Dość zabawnie wyglądał nasz zespół, gdy zeszlśmy się wieczorem, bowiem pociąg przez Stanisławów do Worochty wyjeżdżał ze Lwowa o godz. 11 wieczorem. Nie wyglądaliśmy zbyttno na turystów górskich. W Stanisławowie trzeba było czekać cztery godziny, od 3 rano do 7, kiedy wyruszał dopiero pierwszy pociąg na linii Stanisławów – Woronienka. Byliśmy wówczas wytrzymali na brak snu w nocy, pozostawiając więc pakunki w przechowalni wyruszyliśmy na 4-godzinną przechadzkę po Stanisławowie, gdyż w początkach czerwca było już o tej porze zupełnie widno. Zwiedzaliśmy co się dało i zjedliśmy obfite śniadanie w głównej kawiarni Stanisławowa, która była otwarta, podobnie jak główna kawiarnia we Lwowie, przez całą dobę. Wyjeżdżając o 7 rano ze Stanisławowa, dopiero w porze obiadu przekroczyliśmy granicę austriacko-węgierską w najdłuższym w b. Galicji tunelu pod Woronienką. Za tunelem, już po stronie węgierskiej głównego pasma Karpat, zobaczyliśmy piękne lasy liściaste, podczas gdy po stronie północnej rosły lasy świerkowe. W dużych łukach schodził tor kolejowy widną z góry doliną Cisy, głównej rzeki węgierskiej, płynącej ku Dunajowi. Końcową stacją graniczną była zwana po huculsku Jasina; nazwę tę przyjęła stacja dopiero w okresie rządów czeskich. Natomiast za czasów węgierskich nazywała się Korosmezo (!). Leżała w górnej części zamieszkałej przez Huculów i Rumunów

Komitatu Marmaroskiego, w którym mieszkali bardzo nieliczni Węgrzy.

Tutaj był kres naszej podróży. Pociąg galicyjski nie szedł dalej, wracał po krótkim postoju do Stanisławowa. Kto jechał dalej na Węgry, musiał zmieniać pociąg, ale już z węgierską obsługą kolejową i z wyłącznie węgierskimi napisami. To samo miało miejsce na stacji kolejowej. Chociaż była to stacja graniczna, napisy były wyłącz-



nie węgierskie. W restauracji kolejowej był wyłącznie węgierski spis potraw. Ja jeden rozumiałem piąte przez dziesiąte język węgierski z poprzednich pobytów po węgierskiej stronie Tatr. Z kelnerami węgierskimi ani po polsku, ani po ukraińsku, ani po niemiecku nie można było się rozmówić. Raczej na migi zamawialiśmy potrawy ze spisu węgierskiego.

Około godziny drugiej po południu byliśmy gotowi do wymarszu w góry, gdyż stacja Jasina leżała tuż u stóp Czarnohory, w pięknej kotlinie otoczonej dookoła górami na poziomie około 900 m. Ponieważ najbliższy stąd szczyt Czarnohory, Pietros (2020), leżał w odległości 7 km na południe, ze wzniesieniem ponad poziom stacji 1100 m, to jest mniej więcej tyle, ile Czerwone Wierchy wznoszą się nad stacją w Kuźnicach, obliczyłem, że na osiągnięcie tego szczytu trzeba będzie wysiłku 19 km, a licząc 15 min na jeden kilometr i dodając trochę czasu na odpoczynki, trzeba zużyć około siedmiu godzin na marsz. Wobec tego na szczycie staniemy o godz. 9 wieczorem, kiedy będzie się zmierzchać. Ale niestety moi uczestnicy nie posiadali zupełnie umiejętności obliczania odległości dystansów górskich. Wydawało im się, gdy wyszliśmy z budynku stacyjnego, że szczyt Pietros jest tuż, niemal jak Gubałówka w Zakopanem, i że nie będziemy potrzebowali nawet jednej godziny, aby się na niego dostać. Toteż do mojej zapowiedzi, że na Pietros będziemy szli siedem godzin, odnieśli się wręcz z głośnym śmiechem. Ci w kierpcach i kaloszach ślizgali się jak na łyżwach. Ci z walizkami coraz bardziej nerwowo zaczęli je przekładać z ręki do ręki. Wreszcie po 45 minutach marszu, widząc, że są już potężnie zmęczeni, zarządziłem 5 minut odpoczynku, w czasie którego udzielałem wyjaśnień. Na to jeden z tych, którzy obiecywali mi, że za godzinę będziemy na Pietrosie, odezwał się: *Idziemy już 45 minut, a Pietros nie zbliżył się jeszcze ani o włos.* Powiedziałem mu: *Za drugą godzinę będzie tak samo.* Tu już nie oponowali, gdyż wiedzieli, że nie mają racji. Rzeczywiście, za drugą godzinę znowu zarządziłem odpocznik i krótką dyskusję.

Zbliżyliśmy się pod grzbiet Łopusznej, o której wiedziałem, że jest moczarowaty, gdyż sam grzbiet jest płaski, woda deszczo-

wa nie ma odpływu i z tego powodu grzbietowa droga prowadzi przez tereny bardzo błotniste. Tu po raz pierwszy uśmiełem się na całe gardło. Jeden z kolegów, Kaliszczanin, student architektury, Murzykowski zabrał wysokie kalosze. Gdy wlaźł w nich do bagna, wylaźł bez kaloszy, które zostały w bagnie. Trzeba było po łokcie zanurzać ręce w błoto, aby je wy dostać w stanie nie nadającym się do użytku. Więc nosił je nadal na nogach, aby trochę przeschły. Naturalnie szkoda mówić, jak wyglądały po przejściu tego odcinka kierpce z cienkiej skórki albo płytkie buciki po kostki, podczas gdy błoto sięgało do połowy łydek. Natomiast wprost tryumfalnym wzrokiem patrzyli na nas kole-dzy, którzy mieli juchtowe buty z cholewami. Oni triumfowali.

Na dalszej drodze tego dnia już większych przygód nie było, bo wyszliśmy ze zbocza Łopusznej na tereny suche i doszliśmy do dużej połoniny przed Pietrossem. Tu postanowiłem przenocować, korzystając z pustych szałasów, do których jeszcze nie przyszli Huculi z bydłem. Na połoninie zobaczyliśmy pierwszą plamę śniegu. Panował chłód przejmujący. Gdyby tu byli Huculi, byłbym się może zdecydował maszerować dalej, ale w tych warunkach, wiedząc, że mam towarzyszy źle wyekwipowanych i że dużo czasu zabierze nam ścielenie gałęzi jedliny w szałasach, pełnych jeszcze wilgoci, rozpalanie ognisk, przygotowywanie wieczerzy i noclegu, już o godzinie 6, kiedy mieliśmy jeszcze przed sobą 3 godziny widne, zarządziłem przygotowanie noclegu i gotowanie kolacji.

I tutaj ujawniły się rażące braki w ekwipunku. Wprawdzie na razie nie brakowało prowiantu, ale koledzy mieli doskonałe apetyty wzmożone marszem w zimnym powietrzu górskim. Już od razu musiałem pewne ograniczenia wprowadzić w konsumpcji chleba. Poza tym okazało się, że byli i tacy, którzy mimo moich poleceń na zebraniu informacyjnym, nie zabrali kubków blaszanych czy menażek aluminiowych, ale szklanki lub filiżanki porcelanowe, które zdążyli powybić na tej krótkiej czterogodzinnej trasie.

W każdym razie było już ciemno, gdy w 2 czy 3 szałasach, które zajmowaliśmy na nocleg i które obficie wymościł jedliną, zapanowała cisza. Ponieważ niektórzy twierdzili, że nie będą mogli spać przy ognisku,

gdyż dym gryzie ich w oczy, zarządziłem segregację kolegów. W dwóch szałasach, gdzie w środku paliło się ognisko, dla którego wieczorem przygotowaliśmy sporo drewna, spali ci, którym dym nie przeszkadzał, w jednym zaś mieli spać ci, którzy nie znosili dymu i którzy nie chcieli rozpalać ogniska. Okazało się jednak, że ci ostatni nie wytrzymali zimna, którego nie docenili i musieli rozpalić ognisko, pożyczając drewno z sąsiednich szałasów, gdyż w nocy trudno było poszukiwać drew.

Noc w początkach czerwca jest bardzo krótka, dlatego wszyscy wytrzymali ją, ale nie wszyscy potrafilি spać w tych warunkach. A ponieważ noc poprzednią spędziliśmy w Stanisławowie, również bez snu, większość towarzystwa był senna, gdy o świcie zielonoświątecznej niedzieli 3 czerwca zabraliśmy się do gotowania herbaty i przygotowywania śniadania.

Poranek był piękny, widoczność daleka, szczególnie na południowe pasmo Karpat Marmaroskich, humory dopisywały również mimo zmęczenia i senności. Tutaj już, rozpakowując wieczorem manatki i rozmaitego typu bagaże, koledzy zrozumieli, że miałem rację, radząc im zabranie ze sobą nie papierowych tobołków ani robionych z koców, lecz plecaki. Także wszyscy trzej amatorzy waliz oświadczyli, że już ich ręce dobrze bolą i ze strachem patrzyli na długą siedmiokilometrową i głęboką przełęcz, oddzielającą Pietros od największego szczytu Czarnohory, a mianowicie Howerli, którego pięknie zarysowany stożkowaty wierzchołek dominował nad całą okolicą ku wschodowi.



Widząc, że nie wszystkim dopisuje duch bojowy jak we Lwowie, zawiadomiłem, że jednak musimy razem dojść z Pietrosa na Howerlę jeszcze po terenie czysto węgierskim. Poinformowałem również, że z Howerli będzie można zejść na północ do schroniska na Zroślaku, a stąd kolejką leśną, która kursuje trzy razy dziennie do tartaku w Worochcie, zjechać tam i wrócić do Lwowa.

Nie wiedziałem, że największe przejścia czekają nas dopiero w 3 i 4 dniu wycieczki.

Następnego dnia zrobiliśmy długą turę i tym samym, przy złym ekwipunku, dość męczącą. Dzień był jednak pogodny, z dobrą widocznością. Szliśmy samym grzbietem, terenem trawiastym i suchym.

Ze szczytu Pietrosa (2020 m), który jest trzecim co do wielkości szczytem Czarnohory, delectowaliśmy się wspaniałym widokiem na Gorgany od strony północno-zachodniej z Bliźnicą i Świdrowcem na zachód, Karpatami Marmaroskimi na południe i ledwie widocznymi stąd na południowym wschodzie Alpami Rodniańskimi oraz Beskidami Huculskimi na północy i na wschodzie. Przejście bardzo długiej i głębokiej przełęczy między Pietrosiem a Howerlą (2058 m) zabrało nam kilka godzin. Była to najbardziej nieudana, chociaż bardzo widowiskowa partia tego dnia.

Na Howerli stanęliśmy około południa i tutaj urządziliśmy odpoczynek obiadowy. Herbaty nie można było gotować z powodu braku wody i drewna, a więc poprzestaliśmy na jedzeniu suchego prowiantu. Tutaj pożegnali nas trzej posiadacze waliz, którzy zeszli w dół kolo wodospadu Prutu do schroniska na Zaroślaku, do-

skonałe widocznego ze szczytu, i wieczorem byli już w Worochcie. Natomiast reszta towarzystwa, około 25 osób, ruszyła dalej ku wschodowi, przechodząc przez Breskuł i Turkuł ze stromym, piramidalnym wierzchołkiem skalistym, wznoszącym się od małego jeziora w przełęczy na szczycie Szpyci. Pod Turkułem wydarzyła się dość zabawna przygoda. Po-

niżej szczytu, ku wschodowi, ciągnęło się długie pole twardego śniegu. Miałem mocne buty z obcasami podkutymi gwoździami i tęgą mocną ciupagę zakopiańską ze stalowym ostrzem, co razem znakomicie kwalifikowało mnie do zjechań po niezbyt stromym śniegu w dół. Toteż siadłem, mając przed sobą nogi zgięte w kolanach, aby móc obcasami kierować i hamować przy zjeżdżaniu w dół po śniegu. Ciupagę wsadziłem między nogi i powoli, bez żadnego niebezpieczeństwa, zacząłem zjeżdżać w dół.

Sztuki zjeżdżania po zaspach śniegowych nauczyłem się zresztą w Tatrach. Tuż obok mnie stał student politechniki, łodzianin, kol. Hirschel. Kolegę tego bardzo lubiłem, gdyż był dowcipny. Wszyscy przypatrywali się zatem, jak on pojedzie po śniegu. Zapomniał jednak, a ja nie ostrzegłem go w porę, że aby zjechać po śniegu, trzeba mieć podkute buty i obcasy z gwoździami. On zaś miał tylko owe wspomniane kierpce z cienkiej skóry za 90 grajcarów, nienadając się do kierowania piętami przy zjeżdżaniu po śniegu. Toteż szybko przeleciał głową naprzód i jechał w dół wśród wielkiej wrzawy w niezbyt co prawda dużym pędzie, gdyż śnieżne zbocze nie było strome. W każdym razie wjechał w bagno poniżej śniegu, do którego zlewała się zimna woda z zasy śniegowej. Tam skąpał się jak należy. Wstał z czarną głową, z której lała się obficie czarna maź. Przyzwyczailiśmy się do tego, że kol. Hirschel zawsze robił kawały. Sądziliśmy więc, że to jeszcze jeden kawał więcej i śmiało się. Tymczasem on nie posiadał się z gniewu, że zamiast udzielić mu pomocy, pękamy ze śmiechu; nie widział bowiem w lustrze jak wygląda. W każdym razie ta przygoda była ostrzeżeniem dla pozostałych, niedoświadczonych w jeździe po śniegu. Woleli już iść, niż wpaść w błoto. Musieliśmy co najmniej kwadrans odczekać, by kol. Hirschel doprowadził się do jakiegoś takiego wyglądu.

Na szczycie Szpyci stanęliśmy dopiero o zachodzie słońca z tego powodu, że korzystając z wody zagotowaliśmy sobie obiad przy ognisku. Już o szarówce zeszliliśmy dość stromym zboczem do kotła polodowcowego, położonego między Szpyciami a Munczelem, gdzie widzieliśmy z góry kilka szalałów jeszcze nieobjętych przez Huculów, które

upatrzyłem sobie jako punkt noclegowy. Na zboczach wśród kosówki widziałem pojedyncze limby, które na Czarnohorze są wielką osobliwością, natomiast w Gorganach było ich dawniej bardzo dużo.

Od razu po zejściu do kotliny poleciłem podzielić się na trzy grupy i zabrać się, póki jeszcze było szaro, do przygotowywania pościeli z jedliny lub kosodrzewiny (ale nie z limby) oraz do przygotowania kolacji. Wszyscy rozpakowali swoje manatki, które były zupełnie suche. Kolacja była z herbatą ugotowaną we wszystkich kotlinkach, natomiast nocleg nieświeży, bo w większości szalałów były jeszcze zasy zimowego śniegu, który pod wpływem wiosennych podmuchów zmienił się w brudny, poczerniały lód. Żeby się przed nim uchronić, kładliśmy na wierzch sporo jedliny, a tu i ówdzie deski. Nocleg ten nie był zbyt wytworny, ale po zmęczeniu całodziennym długim marszem przez Pietrosa, Howerłę i Szpyci wydawał się doskonały.

Rano wstaliśmy około 5, przeznaczając 2 godziny na gotowanie i jedzenie śniadania. Pogoda była pochmurna, ale bezdeszczowa, wszystkie szczyty dookoła widoczne. Nic więc szczególnie się nie zapowiadało. Był to drugi dzień Zielonych Świątek, poniedziałek 4 czerwca, okres kiedy zazwyczaj trwają upały poprzedzające nadejście świętojańskich ślot i chłodów, które najczęściej w naszym klimacie – jako stwierdziłem na własnej skórze – zaczynają się na św. Medarda, patrona śloty, którego święto obchodzimy 8 czerwca. Liczyłem więc, że mamy jeszcze 4 dni pogody i dopiero po powrocie do Lwowa, na Medarda – jak prawie corocznie – rozpoczną się deszcze. Ale, niestety, przeliczyłem się.

Coraz więcej kolegów, którzy nie mieli plecaków, ale rozmaitego rodzaju manatki, przychodziło do mnie i żałowało, że nie dało się namówić na nabycie plecaka i peleryny gumowej, zamiast zabierać bardzo niewygodny do transportu koc, noszony na czymś w rodzaju szelek ze szpagatu. Jak bardzo takie pakunki, owinięte w prześcieradła, worki, koce, gruby papier są niepraktyczne, mogli się na własnej skórze przekonać już za kilka godzin. Wieczorem tego dnia byli już aż zanadto doświadczonymi praktykami.

Dolina pod Szpyciami leży na poziomie około 1500 m, szczyt Munczela ma

wysokość 2002 m i zarośnięty jest dużymi drzewami, co powoduje, że jest raczej podobny do szczytów Gorgan niż Czarnohory, które są przeważnie trawiaste. Przyszliśmy na niego mniej więcej w 2 godziny od wycieczki z szalasów noclegowych, tj. około 9 godziny. Gdy weszliśmy na szczyt, była jeszcze widoczność, co prawda nie nadzwyczajna. Oziębilo się znacznie, ręce grabiły z zimna. Po szczytach Gorgan, Czarnohory, Alp Rodniańskich i Karpat Marmaroskich, które stąd normalnie widać bardzo dobrze, snuły się podejrzane mgły. Od północnego zachodu, tj. od strony Worochty i Gorgan, zaczął wiać silny, przenikliwy wicher, który zmusił nas do okrycia się, nie zawsze odpowiedniego dla gór. Byli tacy, którzy zabrali długie płaszcze, jedni gumowe, drudzy letnie, inni zimowe, krępujące swobodę ruchów. Ja miałem serdak. Gdy był zapięty, grzał piersi i plecy, co najważniejsze, a dla ochrony przed wichrem wdziałem na siebie dwie peleryny: lodenową dla ciepła i gumową z batystu Billrotha na wypadek deszczu. Widziałem bowiem, że w dali od strony Gorgan krajobraz się już tak zamglił, że spodziewać się należało stamtąd lada chwila deszczu. Planowałem pójść po dniu grzbietem Czarnohory z Munczela na ostatni od wschodu szczyt Pop Iwan, z którego następnie miałem zamiar zejść ku grzbietowi, gdzieś w dolinę Czeremoszu na nocleg do Żabiego, gdzie w przysiółku Słupecka istniało schronisko Oddziału Czarnohorskiego TT, i po noclegu tamże w 4 dniu wycieczki przejść 35 km po lichej bardzo błotnistej drodze z Żabiego do Worochty, stamtąd zaś wrócić koleją do Lwowa.

Niestety fatalna pogoda całkowicie porzyżowała te plany. Jeszcze gdy bawiliśmy na szczycie Munczela, ok. 10 rano zaczął padać drobny deszcz, który szybko zmienił się w deszcz ze śniegiem, a w jakieś 15 minut później – śnieg pędzony wicherem z północy. Śnieg był o tyle mniej przykry od deszczu, że nie przemoczył zbytnio uczestników wycieczki, którzy nie mieli okryć gumowych, ale wykluczał możliwość pójścia pod wiatr, bo zalepiał oczy. W dodatku teren, spadający dość stromo w dół, stał się śliski, zmuszając do bardzo ostrożnego schodzenia. W rejonie górnym śnieg był jeszcze suchy, ale jakieś 100 m poniżej szczytu zmienił się w nasiąkłą wodą papkę, przemaczając

doszczętnie obuwie, bez względu na jego solidność. Nie było mowy, żebyśmy mogli iść pod wiatr z oczyma zalepionymi śnieżycą. Jedyne kierunki, jakie mogliśmy wybrać, to było schodzenie w kierunku południowym na stronę węgierską Czarnohory, w dorzecze Cisy, która jednym ze źródłowych potoków wypływała właśnie w okolicy Popa Iwana.

Nie mając innego wyboru, zarządziłem marsz w kierunku południowym, orientując się według kompasu. Gdyby nie śnieżycy i mgła, które odległość naszego widzenia ograniczały do 5 m (tak że zarządziłem, abyśmy trzymali się jeden drugiego w obawie przed zgubieniem się), byłbym wybrał drogę grzbietową, schodząc do klauzy Balzatul. Bylibyśmy zeszli względnie wygodnie. Niestety we mgle zniknęły w ciągu 15 minut, z powodu śnieżycy, wszelkie ślady ścieżki. Szliśmy – aby w dół! Po zejściu ok. 300 m, czyli na poziomie jakiś 1700 m, gdzie była już kosówka, znaleźliśmy się w dolinie rwącego potoku, przy którym co prawda ścieżki nie było, ale wskazywał on kierunek drogi.

Wiedziałem z mapy, bo sam tam jeszcze nigdy nie byłem, że najbliższym osiedlem ludzkim w tej dolinie, na południe od Munczela, jest klauza Balzatul, na poziomie ok. 1250 m, w dolinie Czarnej Cisy, poniżej szczytu Popa Iwana, drugiego co do wysokości na Czarnohorze, który ma 2026 m, a do którego już wskutek śnieżycy nie mogliśmy dojść. Sytuacja była nieprzyjemna. O ile na 2000 m, tj. na szczycie Munczela, na 1900 m, gdzie kończyły się połoniny szczytowe, a zaczynała kosodrzewina, na 1800 m, gdzie kosodrzewina stawała się coraz gęstsza – padał suchy śnieg, pędzony wiatrem, o tyle poniżej śnieg był mokry, lepki, przy temperaturze +1 do +2 stopnie, a wreszcie na wysokości 1700 m stał się obrzydliwą mokrą papką. Tutaj zarządziłem marsz w tempie zwolnionym, bez względu na to, że przedłużało to drogę w tych bardzo nieprzyjemnych warunkach. Liczyliśmy w każdym razie na to, że wkrótce wejdziemy do lasu, który na Czarnohorze sięga ok. 1600 m, i ten da nam pewną ochronę przed wichrem.

I rzeczywiście, mniej więcej na poziomie 1600 m pojawiły się małe, ale gęste krzaki, poniżej większe drzewa, a jeszcze niżej olbrzymie świerki. Cały teren nabrał charakteru puszczy wschodniokarpackiej,

z olbrzymimi świerkami białymi od śniegu, który zresztą mokry zsuwał się od czasu do czasu z obwisłych gałęzi na naszą gromadkę, posuwającą się powoli. O ile możliwości trzymaliśmy się jak najbliżej potoku, nie wiedząc zresztą, czy to jest Czarnocica czy jakiś jej dopływ. Potok wpadał nieustannie w wodospady, niebyt wysokie, 1–2 m, ale w tych warunkach utrzymanie jakiejś ścieżki dla bydła nie było możliwe. W dodatku równoległe do potoku leżały powalone grube pnie świerków i sterzące z nich gałęzie utrudniały marsz, zmuszając często do przechodzenia z brzegu na brzeg.

Zeszliśmy tak na poziom ok. 1500 m i śnieg ustał już całkowicie, padał tylko deszcz, ale deszcz rześisty, tzw. majowy. Byliśmy tak mokrzy, że niewiele ryzykowaliśmy idąc po tym deszczu, bo już więcej zmoknąć nie mogliśmy. Ruch, mimo bardzo zimnej temperatury, utrzymywał w naszym organizmie ciepło, tak że niektórzy narzekali nawet, idąc w pelerynach i kapiszonach na głowie, że są spoceni z gorąca i wolą moknąć, niż się pocić. Byli w towarzystwie turyści doświadczeni. Ci uważali to zejście za jedną przygodę górską więcej i nie spodziewali się żadnych ujemnych z niej skutków dla zdrowia. Inni, nowicjusze, którzy okryli się kocami, niedającymi zresztą ochrony przed deszczem, wyrzucili prowiant opakowany tymi kocami jeszcze na Munczelu, pozbawiając się prowiantu na dwa końcowe dni wycieczki.

Od tego mniej więcej miejsca dolina stawała się coraz szersza, drzewa coraz większe i grubsze, a wreszcie na jednym brzegu pojawiło się coś w rodzaju drogi jezdnej i nie było już powalonych pni z mokrymi gałęziami, przez które musieliśmy z wielkim trudem przeciskać się wśród ulewy. Zapewniłem więc towarzyszy wycieczki, iż niedługo zobaczymy jakąś gajówkę albo samą klawę Balzatuł. Dla objaśnienia dodam, że klawy były urządzeniem archaicznym, które po galicyjskiej stronie zarządzali Austriacy, a po węgierskiej Węgrzy – dla ułatwienia spławiania drzewa. Polegały one na tym, że w poprzek głównych dolin górskich potoków robiono wysokie zapory drewniane, zbudowane przez uzdolnionych w tej dziedzinie cieśli, które spiętrzały i zatrzymywały wodę z tych potoków na głębokość do 30 m i na długość do 0,5 km. Mniej więcej

dwa razy na tydzień podnoszono zapórę klawy i puszczano wodę, która z szumem spływała w dół, porywając za sobą tratwy zbite w poprzednich dniach przez Hucutów bądź Rumunów. W ciągu 3 do 4 godzin woda w całości wypływała z klawy. Jeżeli jednak – co się często zdarzało na Białym Czeremoszu – tratwy nie zdążyły przez ten czas spłynąć do miejsca, gdzie kończył się spływ wody, a zaczynał transport kolejowy, mówiono wtedy, że „woda uciekła” i trzeba było czekać kilka dni na ponowne puszczenie wody z klawy.

Na niektórych rzekach, zwłaszcza na Czeremoszu i Cisie, korzystano przez długie lata z jazdy tratwami jako atrakcji turystycznej, która dawała o wiele więcej emocji niż jazda łodziami przez Pieniny, chociaż nie wśród tak pięknej okolicy. Przy takiej klawie stał zawsze dom dla dozorczy, gdzie zatrzymywali się także Huculi zatrudniani przy spławie tratwy oraz często przebywali leśniczowie, właściciele albo dyrektorzy tartaków i różni dygnitarze na polowania, dla których zazwyczaj w klawie istniały pokoje gościnne, a przynajmniej łóżka. Dla reszty były drewniane tapczany z jedliną jako pościelą. W każdym razie w klawie nocowało się wygodnie i można było zjeść wegetariańską kolację lub obiad złożony najczęściej z gotowanej kaszy kukurydzianej, tzw. kułeszy, i kwaśnego mleka po huculsku.

Niezmiernie się ucieszyłem, gdy po jakichś 5 godzinach marszu w ulewie i w bardzo nieprzyjemnych warunkach wreszcie, wśród świerków w dolinie, pojawiło się duże jezioro i domyśliłem się, że to klawu Balzatuł, bo innej w tej okolicy nie było. Buty miałem mokre jak flaki, spodnie do kolan również, ale górna część korpusu była sucha, co najwyżej przepona, bo szedłem z plecakiem w dwu pelerynach. Moim butom, roboty Guziaka z Zakopanego, ta piekielna droga nic nie zaszkodziła, ale koledzy, którzy zabrali słabe buty, przyszli już prawie na bosaka, o ile nie mieli w plecaku jakiegoś obuwia rezerwowego.

Zaraz u wejścia do klawy zapytałem:

– *Mołoko majte?*

– *Bude!*

– *Fajno!* – odpowiedziałem. – *A kułesza bude?*

– *Bude!* – odpowiedział Hucut

– *Fajno!* – wyraziłem naszą radość.



Jednym słowem powitano nas gościnnie. A ja z miejsca zapewniłem: *Budemo wsio płatyty!* – aby zarządca kłauzy nie myślał, że w 25 osób chcemy bezpłatnej gościny i pożywienia. Twarz mu się zaraz rozjaśniła tym bardziej, że idąc za radą doświadczeńszych ode mnie bywalców Karpat Wschodnich zabrałem kilka paczek najtańszego galicyjskiego tytoniu do fajki i po zdjęciu plecaka począstowałem nim i zarządcę kłauzy, i Huculkę posługującą (bo tam kobiety także z zapalem paliły fajki). Oczy im się zaświeciły z radości, tym bardziej, że po stronie węgierskiej tytoń galicyjski uchodził za specjal. Zaraz też zaczęli się krzątać z przygotowaniem obiadu, gotując ogromny garnek kuleszy i wnosząc sagany z zimnym kwaśnym mlekiem. Masła też nie pożałowali i wkrótce wszyscy pokrzepiliśmy się znakomitym obiadem, pościągawszy mokre ubrania, które suszono dookoła wielkiego pieca, w którym pieczono chleb, a raczej placki owsiane. O dalszym marszu nie było mowy. Zostaliśmy tu na noc, aby się ogrzać, najeść i wysuszyć.

Byłem ostrożny i gdy spostrzegłem, że Huculka ma zamiar suszyć buty w piecu po wyjęciu chleba, własne przezornie schowałem, chociaż były mokre, pod jedlinę, na której trzymałem głowę.

Odsunąłem blaszkę zakrywającą wnętrze pieca i w świetle pełnego dnia, który zawitał tymczasem jako dzień mglisty i deszczowy, omal nie parsnąłem śmiechem. Z pieca bowiem wyjrzało ku mnie 12 krokodylich paszcz, rozdziawionych szeroko i nabitych w szwach drobnymi zębami. To były buty uczestników wycieczki, którzy byli tak nieostrożni, że pozwolili Huculce wsta-

wić je do pieca. Zeschły się one tak dokumentnie, że nie mogło być mowy o ich włożeniu na nogi, gdyż wprawdzie pozwoliły się wdziać, ale cała stopa wyglądała przez nie a podeszwa była zwinięta w rulon ku dołowi.

Było nas wtedy ze 25 osób, z tego buty ocalało tylko 5, chowając je przed wsadzeniem do pieca. Mieliśmy buty co prawda

zupełnie mokre, ale dające się włożyć na nogi. Nie było i tak szans na ich wysuszenie, bo deszcz padał w dalszym ciągu, a droga górską – jak pamiętają wszyscy, którzy tamtędy jeździli tzw. szosą z Worochty do Żabiego – to była po prostu topiel błotna. Ten marsz po błocie i w deszczu zabrał nam około 11 godzin.

Kol. Mejer, obchodząc kłauzę dookoła, zauważył w pewnym miejscu skład gontów do naprawy dachu. Wpadł zatem na genialny pomysł, żeby ci, którzy stracili buty, wdziali na nogi skarpetki pościągane od wszystkich, którzy mieli je w rezerwie, a jako podeszew użyli gontów o ściętych owalnie rogach. Idea ta przypadła wszystkim do gustu, ale praktyka stwierdziła, że chodzenie na gontach po błocie nie jest praktyczne. Podeszwa, przywiązana szpagatem do podbicia nogi, była sztywna, nie zginała się, co powodowało obcieranie nóg. Poza tym gonty nie chroniły nóg od wilgoci i błota. Jednak uczestnicy wycieczki, w miarę posiadania miejsc w plecakach, zabrali z kłauzy tyle gontów, ile się zmieściło. Również po drodze, nie krępując się zbytnio, zabierali gonty z wiossek huculskich, które mijaliśmy, a szczególnie z ogromnej wsi Bogdan, położonej już w dolnej części kłauzy.

Z Bogdanu do przystanku Tisza-Kocs (!) było już tylko 10 km. Około godz. 5 po południu doszliśmy do stacji kolejowej, rozpoczynając marsz o godz. 7 rano, czyli marszerowaliśmy przez 10 godzin, robiąc przeciętnie po 4 km na godzinę. Deszcz padał jeszcze, gdy doszliśmy do stacji kolejowej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wkrótce nadszedł przed wieczorem pociąg do granicy

galicyjskiej w Woronience, na który przesiedliśmy się na stacji granicznej Korosmezo (!).

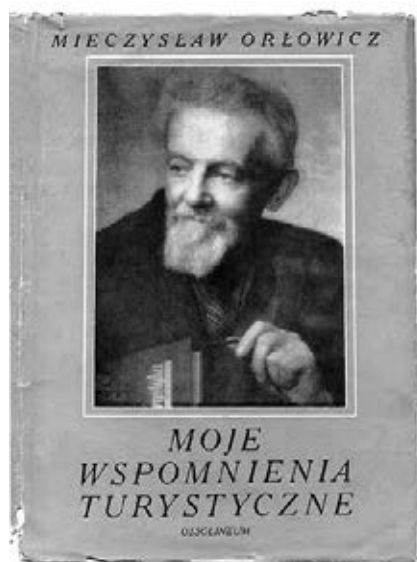
Gdy pociąg nadjechał i zobaczono naszą gromadkę z plecakami, kociołkami do herbaty, kosturami w rękę, w podartych butach, obwiązanych szpagatem albo zgoła na gontach, nogami odzianymi w zabłocone skarpety, konduktorzy uznali, że jesteśmy gromadką jakichś obszarpańców, którzy chcą użyć jazdy koleją bez biletów. Chociaż wtedy konduktorzy węgierscy nigdy po ukraińsku nie mówili, udając, że tego języka nie rozumieją, tym razem konduktor zanim wpuścił nas do pociągu, rzucił nam gromkie pytanie: *A byłety majte?* (Czy macie bilety?) – *Oczewidno* (Naturalnie) – odpowiedziałem i pokazaliśmy bilety kupione przed chwilą w kasie. Kolejarze w restauracji kolejowej, którzy nas pamiętali sprzed 4 dni, gdyż jedliśmy tam obiad w drodze na Czarnohorę, także dziwili się naszemu katastrofalnemu stanowi i kompletnemu zniszczeniu obuwia, ale w końcu podano nam obiad, tylko nie w restauracji klasy I albo II, lecz III, bojąc się o zabłocone posadzek. Konduktorzy w pociągu galicyjskim wiedzieli, że jesteśmy turystami i ryczeli ze śmiechu, patrząc na skarpetki na gontach jako surogaty obuwia. Pasażerów wsiadających do pociągu uderzał nasz nędzny wygląd, a na pytania, dlaczego się nie oczyścimy, odpowiadaliśmy gromko, że nie wystarczy na to szczołki. Trzeba by zdjąć dolne części garderoby i wyprać je, aby to jako tako wyglądało. Zresztą wszyscy uznali, że nie ma sposobu, aby ze skarpetek i z gontów zrobić eleganckie obuwie.

W Stanisławowie czekaliśmy na pociąg do Lwowa od 11 wieczór do 3 rano. Nie chciano nas wpuścić do poczekalni I ani II klasy, żebyśmy nie pobrudzili aksamitnych siedzeń, tylko pozwolono nam wejść do poczekalni klasy III z drewnianymi ławkami. O 9 rano przyjechaliśmy do Lwowa i tramwajem pojechaliśmy do oddalonego kilka km miasta. Porozumieliśmy się poprzednio, że razem pojedziemy do centrum Lwowa na tzw. Wały Hetmańskie, aby w Kawiarni Wiedeńskiej zjeść wspólne pożegnalne śniadanie, a następnie jeszcze na pamiątkę sfotografować się w tych bandyckich kostiumach, w jakich wróciliśmy z Czarnohory. Nie chcieliśmy daleko szukać fotografa ani zachodzić do mających tutaj swoje salony przyjęć najlepszych fotografów lwowskich,

jak Trzeciecki przy ul. 3 Maja i inni, udaliśmy się więc do skromnego atelier fotograficznego pewnego fotografa przy ul. Jagiellońskiej. Gdy weszliśmy już wszyscy, fotograf zaczął nas błagać o życie, bo był pewny, że to napad bandytów-dezerterów z armii rosyjskiej. Oświadczyłem mu zatem uroczyście, że darujemy mu życie i jeszcze dopłacimy, jeżeli zrobi nam fotografie w tych uniformach. I rzeczywiście zrobił nam zdjęcie bardzo charakterystyczne. Toteż uważam je za dowód rzeczowy wyglądu i wyekwipowania turystów z roku 1906, kiedy zaczynaliśmy naszą karierę turystyczną w AKT.

Mniej łatwowieczne były eleganckie lwowianki, z którymi zetknęliśmy się w tramwaju, wracając od fotografa. Gdy wszedłem do niego jako pierwszy, usunęły się z obrzydzeniem, widząc moje zabłocone buty i spodnie. Gdy wszedł drugi, wstały, ale gdy weszli następni, krzyknęły: *Uciekajmy, bo to dezerterzy z armii rosyjskiej. Jeszcze nas wszy obleżą!* – i uciekły czym prędzej. Nie żałowaliśmy tego incydentu, bo tramwaj zrobił się pusty i mieliśmy go tylko dla siebie.

Mieczysław Orłowicz (1881–1959), ur. w Komarnie k. Lwowa, zam. w Warszawie. Studia prawnicze na Uniwersytecie Lwowskim, działacz na polu turystyki i krajoznawstwa. Współtwórca turystyki zespołowej i propagator sportu w Polsce. Stworzył serię monografii regionów i przewodników.



ORMIANIE, KLASZTORY I KOSZARY

Przed 800 laty poczęły napływać jako przybysze na obszary pierwotnych i późniejszych ziem polskich, dwa szczepy mieszkańców zachodniej Azji: Żydzi i Ormianie. Tu mowa o Ormianach.

Piękny i zdolny lud ormiański, przez którego ojczyznę wiodły od niepamiętnych czasów drogi handlowe, począł także i w Polsce trudnić się kupiectwem. Cichy, spokojny, staranny, został też chętnie przyjęty do polskiego społeczeństwa, przylgnął do niego, złączył, spoił się z nim rychło pod względem zwyczajów i mowy, znalazł w Polsce drugą dla siebie ojczyznę. Toteż nie dziw, iż Ormianie nie twierdzili i nie twierdzą nigdy, by w Polsce działa im się krzywda, żeby ich prześladowano lub gnębiono, przeciwnie – wrastali oni w dobrobyt i znaczenie, zaliczali się od dawna do najlepszych synów Polski.

Rychło powstały większe kolonie ormiańskie w Zamościu, Śniatynie, Kamieńcu Podolskim i we Lwowie, u wschodnich granic Polski, gdzie dzierżyli Ormianie w swych rękach ster handlu ze wschodem, gdzie zdobyli obszernie przywileje i autonomię. Byli od dawna chrześcijanami, wyznawali jednak pierwotnie własną religię ormiańską, czyli gregoriańską, nazwaną tak od św. Grzegorza Oświeciciela, pierwszego ich patriarchy. Każdorazowy patriarcha, jaki stał na czele ormiańskiego wyznania, rezydował w Edzmiadżynie w Armenii.

Porastając w zasoby i bogactwa, w życzliwość ludności Lwowa mogli Ormianie budować tutaj i wyposażać bez trudności własne świątynie, jakkolwiek świątynie te nie były jeszcze katolickie. Z czasem powstały we Lwowie trzy kościoły ormiańskie: jeden biskupi kościół katedralny, istniejący do dzisiejszego dnia przy ul. Ormiańskiej, piękna staroświecka budowla z końca XIV wieku, a więc licząca lat pół tysiąca, drugi

pod wezwaniem św. Anny na przedmieściu Żółkiewskim (już nieistniejący) i kościół św. Krzyża wraz z pięknymi ogrodami i murywanym domem. Na miejscu tego kościoła i dawnej posiadłości ormiańskiej mieszczą się teraz koszary i budynki przy ul. Zamarystynowskiej. Jak nadmieniałem, wyznawali Ormianie od dawna religię chrześcijańską, lecz nie należeli do kościoła katolickiego.

Dopiero w drugiej połowie XVII stulecia przystąpił do unii religijnej i poddał się pod władzę Stolicy Apostolskiej w Rzymie ormiański biskup Lwowa Mikołaj Torosiewicz, poprzednio sekretarz króla Władysława IV (umarł w r. 1681).

Ażebym umocnić w wierze katolickiej nowo przyjętych do rzymskiego kościoła Ormian, przybyli do Polski, specjalnie zaś do Lwowa, oo. teatyni, zakon reguły św. Kajetana Taine, istniejący od roku 1524, utrzymujący się z jałmużny, a mający za zadanie umiejętne wychowanie duchowieństwa i pielęgnowanie chorych. Tym przybyszom oddali Ormianie w 1671 r. mieszkankie przy kościele św. Krzyża, a to na skutek interwencji nuncjusza apostolskiego w Polsce i za zezwoleniem króla Michała Korybuta oraz lwowskiego arcybiskupa Wojciecha Korycińskiego i wojewody ruskiego Jabłonowskiego.

W chwili oddania budynku i gruntu nowemu właścicielowi, tj. oo. teatynom, posiadłość była zniszczona i zaniedbana z powodu oblężenia Lwowa przez zernie Bohdana Chmielnickiego oraz najazdów uprzednio tatarskich i kozackich.

Zakonnicy zabrali się gorliwie do pracy i przebudowali nowy nabytek w nader wygodny klasztor z obszerną salą i ogrodem o wysokich murach z ciosanego kamienia. Oddając swą posiadłość nowym właścicielom, tj. św. kongregacji, zastrzegł sobie ormiański biskup prawo własności cmentarza oraz kościoła wzniesionego z kamienia. Wobec tego musieli teatyni wybudować dla siebie własną kaplicę.

Przy objęciu posiadłości (1671) umieścili nowi właściciele na drzwiach głównego wchodu herby Ojca św. i króla, tudzież łaćniński napis „kolegium papieskie”. Tutaj to zakonnicy założyli i prowadzili przez szereg lat alumnat ormiański, tutaj udzielili też chętnie pierwszej gościny nowo przybyłym do Polski trzem zakonnikom z Hiszpanii reguły oo. trynitarzy.

Trynitarze, założeni w roku 1198 przez św. Jana de Matha i św. Feliksa de Valais w celu wykupywania brańców z niewoli niewiernych, czyli mahometan, zostali sprowadzeni do Polski zabiegami króla Jana III Sobieskiego i przybyli do Lwowa 13 lipca 1685 r., gdzie stworzyli niebawem własną rezydencję. Przez cały rok korzystali z uprzejmości pobratymczych mnichów, zanim zdołali przy pomocy starań samego króla nabyć posiadłość przy ul. Krakowskiej i wznieść tam później klasztor i kościół przerobiony dziś na cerkiew ruską i na ruski Dom Narodny.

Gdy w 60 lat później ukończyli teatyni budowę nowego klasztoru w pobliżu Wysokiego Zamku, zwanego „czerwonym klasztor-em”, a stanowiącego dziś koszary artylerii przy ul. Teatynińskiej, przenieśli tam swoją rezydencję, a dawniejszy klasztor przy obecnej u. Zamarstynowskiej sprzedali (1746) xx. misjonarzom, którzy stali się w ten sposób trzecimi z kolei właścicielami gruntów i gmachu służącego obecnie dla celów wojskowych. Misjonarze są to kapłani obowiązani do oświecania ludu, utwierdzania go w wierze katolickiej i odprawiania misji po różnych krajach. Założycielem tego zakonu był św. Wincenty a Paulo (1615), który uzyskawszy potrzebne fundusze u Franciszki Małgorzaty de Selgii, żony znakomitego generała galer francuskiego Emanuela de Condi, a siostry wówczas arcybiskupa Paryża, rozpoczął pracę z kilku dobranymi towarzyszami. Papież Urban VIII zatwierdził to zgromadzenie. Niebawem powstały misje w różnych częściach świata.

Do Polski sprowadziła misjonarzy królowa Maria Ludwika, żona Władysława IV i Jana Kazimierza, w roku 1664. Otrzymali w Warszawie dawną kaplicę pod tytułem św. Krzyża wraz z domem misyjnym. Do Krakowa sprowadzili się w roku 1686, a do Lwowa w 1746. Niedługo było przeznaczone xx. misjonarzom mieszkać we Lwowie.

W roku 1772 nastąpił I rozbiór Polski, zmiana ta zdecydowała o losach klasztoru. Cesarz Józef II począł, po objęciu samodzielnego rządu, wydawać różne, nie zawsze jednak pożyteczne i roztropne zarządzenia. Przystąpił też do kasowania licznych zakonów i klasztorów. Wtedy to padły ofiarą klasztory: augustianów, karmelitów, paulinów, trynitarzy, teatynów, etc. A także misjonarze.

Klasztor ten przeszedł w roku 1782 w czwarte ręce, tj. na rzecz austriackiego skarbu państwa. Zrazu urządzono w jego murach szpital, następnie był on więziennym przybytkiem udręczeń dziadów i ojców naszych, ściganych za miłość Ojczyzny, potem był koszarami i więzieniem wojskowym.

Smutną tradycją zapisały się w pamięci polskiego narodu, zwłaszcza zaś w pamięci lwowian, czasy po roku 1833, po nieudanej wyprawie płk Józefa Zaliwskiego do Królestwa Polskiego, który pragnął tam poruszyć masy ludowe do walki z caratem, kiedy wzrastał niestety z każdym dniem ucisk polskiego społeczeństwa ze strony rządu austriackiego. W urzędzie i w szkole, w prasie publicznej i literaturze nakładano na mowę polską, na myśl swobodną twarde okowy, wydawano liczne administracyjne zarządzenia mające na celu powolną sromotną zagładę polskości pod austriackim zaborem. Wtedy to, w jesieni 1833 r., poczęły się zapełniać więzienia obwinionymi o udział w spisku Zaliwskiego i otąd przez 30 lat znosili tam winni i niewinni, jako podejrzeni, politycznie udręczeni i mitręgę. Zaraz po wyprawie Zaliwskiego nazwożono z całego kraju do Lwowa mnóstwo obywateli i tułaczy wyłapywanych przez wojsko przy pomocy chłopów po domach, dworach i lasach, aż nastąpiło przepelnienie więzień, brak niezbędnych warunków zdrowotnych. Kazano więc przygotować dla więźniów budynki pomisjonarskie, po czym przystąpiono w dniu 2 lipca 1834 r. do przewożenia tamże inkwizytów z właściwego więzienia, tj. z gmachu karmelickiego przy ul. Batorego.

Nie zakończyła się jeszcze udręka więźniów z tytułu partyzantki Zaliwskiego, gdy oto nowe napłynęły do cel więziennych ofiary, zwłaszcza w roku 1841 i następnych. Należeli do nich ludzie najrozumniejsi i najroztropniejsi, którzy zajęli później w społeczeństwie wybitne stanowiska.

Wielkiego transportu więźniów dostarczyły budynkom pomisjonarskim wypadki lutowe 1846 r. i nieudany spisek i wyprawa Teofila Wiśniowskiego i towarzyszy, w końcu Powstanie Styczniowe z roku 1863/64. Ileż to westchnień, ile objawów smutku, bólu i cierpień, ileż to złorzeczeń z powodu doznanych krzywd i brutalności rządowych figur odbiło się wówczas o strop cel więziennych gmachu pomisjonarskiego, zwa-

nego małymi koszarami, dla odróżnienia od wielkich koszar. Te ostatnie wybudowano w roku 1824 na miejscu kościoła św. Krzyża. Wtedy to przeniesiono grobowce i grobowe płyty na podwórze ormiańskokatolickiego kościoła katedralnego, gdzie można je obecnie oglądać.

Wielkie koszary poszerzono w roku 1845.

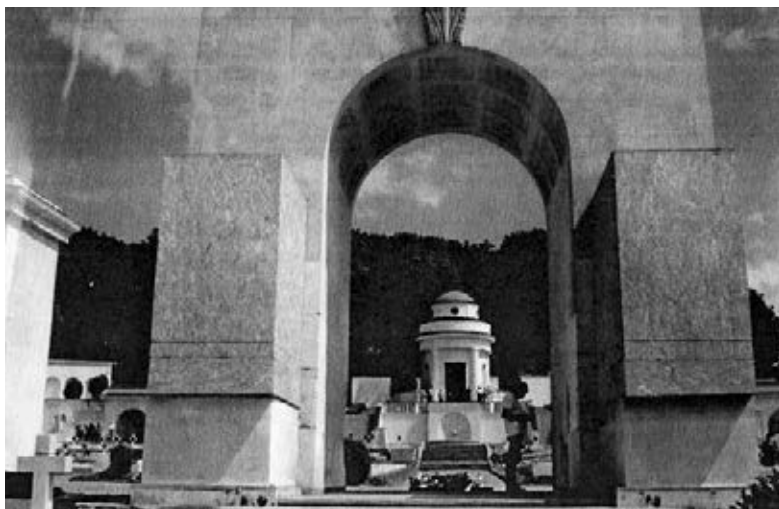
Nie byłaby moja opowieść kompletna, gdybyśmy nie uzupełnili jej wzmianką o smutnych, ciężkich, groźnych przejściach, jakie przypadły w udziale rodakom w naszych murach „małych koszar” w czasie I wojny, zwłaszcza w latach 1915–1916. Po ustąpieniu wojsk rosyjskich i po powrocie wojsk austro-węgierskich nastąpiły nieuzasadnione represje, masowe aresztowania na podstawie fałszywych, zmyślonych donosów

lub przypuszczeń tylko, nastąpiły doraźne sądy, surowe wyroki, krwawe egzekucje, maltretowanie niewinnych obywateli i zazszczepianie w ich sercach goryczy i oburzenia na rząd austriacki i jego wykonawcze organa. Nadszedł pamiętny w dziejach Lwowa miesiąc listopad 1918 r., a wtedy zagrzała i w tych stronach miasta żwawa palba dzielnej młodzieży i działwy lwowskiej, której uległy silniejsze liczebnie i fizycznie oddziały ruskiego żołdactwa.

Miłość Ojczyzny, zapał i inteligencja wzięły górę wtedy ponad brutalną siłą nieokrzesanego przeciwnika.

Autorski tytuł tekstu brzmi: *Z przeszłości gmachów wojskowych we Lwowie. Wielkie i małe koszary, tudzież gmach sądu wojskowego.*

Cmentarz Obrońców Lwowa Wielka radość nie na długo



Ostatnio zaszła – czy miała zajść – istotna zmiana na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Oto pod Pomnik Chwały wróciły usunięte stamtąd przez sowietów dwie rzeźby lwów, zdobiące centralny łuk tego pomnika. Ogarnęła nas wszystkich wielka radość, jednak na niedługo. Oto rzeźby te zostały szczerze obstawione drewnianymi skrzyniami z desek... Otrzymaliśmy niedawno zdjęcia tych kompromitujących obudów.

O co tu chodzi? Zależy to zapewne od lokalnych dygnitarzy ukraińskich, którzy zmieniają się co pewien czas, a ich poglądy są – rozmaite, zależnie od chwilowej polityki. Najważniejsze jednak to, że między Polską a Ukrainą ma jakoby następować poprawa stosunków politycznych, i ot widzimy!

Nic dodać, nic ująć.

Polacy na Bukowinie Rumuńskiej

Bukowina to kraina położona na Zakarpaciu Wschodnim na terenie Rumunii, w dorzeczu rzek Seret, Suczawa, Mołdowa. Od zachodu i północy ogranicza ten region od Pokucia Dniestr, Prut i Czeremosz od Podola. Dalej rozciągają się obronne bastiony Rzeczypospolitej – Kamieniec Podolski, Chocim, Buczacz, Brzeżany, Trembowla, Złoczów.

Bukowina Zakarpacka to kraina łagodnych połonin i lasów bukowych, gdzie wypasa się owce i bydło. Historyczne miasta Bukowiny to Czerniowce, Jassy i Suczawa. Północna część Bukowiny z Czerniowcami po 1945 r. dostała się sowieckiej wówczas Ukrainie. Od wschodu Bukowina graniczy z Mołdawią, zwaną dawniej Besarabią. Bukowina od południa graniczy z Wołoszczyzną (zwaną dawniej Wołoszą lub Multanami).

Zakarpacie Wschodnie od prawieków stanowiło naturalny korytarz, którą prze-mieszczały się koczownicze ludy stepowe na Bałkany i dalej do Europy. W kierunku odwrotnym wybrzeżem Mołdawii i na Podole wyprawiali się Turcy i Tatarzy dobrucy (osiedli w Dobrudży na pograniczu z Bułgarią).

O Bukowinę zabiegali także Jagiellonowie, których Mołdavia z Bukowiną od czasów Jagiełły była lennem (1387). Król Jan Olbracht planował wielką wyprawę zbrojną do Mołdawii w celu odbicia od Turków ważnych czarnomorskich portów: Kilii i Białogrodu. W 1497 roku 40 tys. pospolitego ruszenia ruszyło na południowy wschód. Gospodar mołdawski Stefan III Wielki opowiedział się po stronie Turcji. Oblężenie Suczawy nie powiodło się i wyprawa zakończyła się wielkimi stratami polskich wojsk w bitwie pod Koźminem. Klęskę na wieki utrwaliło powiedzenie: *Za króla Olbrachta wyginęła szlachta.*

Osadnictwo żywiołu polskiego na Multanach rozpoczęło się już za Kazimierza Wielkiego, a następnie drogą nadań ziemskich przez Jadwigę i Jagiełłę. Do Kiszyniowa i Czerniowiec przybywa duchowieństwo polskie, a wraz z nim ludność polska. Po

klęsce Powstania Listopadowego i Styczniowego chronili się tu powstańcy polscy.

Z kolei na przełomie XVI–XVII wieku nastąpił wielki exodus pasterskiej ludności wołoskiej, wraz ze stadami rozpoczęła ona wędrówkę wzdłuż łuku Karpat zarówno po stronie słowackiej, jak i polskiej w poszukiwaniu pastwisk dla owiec i bydła, a także być może uciekała przed Turkami. Ludność ta, chrystianizowana w obrządku wschodnim w języku rumuńskim i ukraińskim, dała początek wielu ugrupowań góralskich w Karpatach, jak Huculi, Bojkowie, Łemkowie, zwani na Słowacji Rusnakami. Z nich wywodzą się po części górale polscy na Spiszu, Podhalu, Orawie i Żywiecczyźnie. Wieloetniczna kolonizacja wołoska dotarła aż do Beskidu Śląskiego i na północne Morawy. Językowym dziedzictwem rumuńskiego jest karpacka terminologia pasterska, m.in. wyrazy bryndza, bundz, cap, gunia, magura, watra. Z czasem grupy te polonizują się i przyjmują wiarę katolicką, rzadziej protestancką.

Pod koniec XVIII wieku nastąpił trzeci rozbiór Polski. Małopolska Wschodnia, Podole i Bukowina znalazły się w zaborze austriackim. W granicach zaboru następuje dość swobodne przemieszczanie się wielu narodowości, toteż z centralnej Polski przybywa na Bukowinę ludność różnych zawodów i specjalności osiedlająca się głównie w miastach: w Czerniowcach, w Suczawie, w Jassach. Górnicy soli z Wieliczki i Bochni znajdują pokłady soli w Kaczyce i Sołóncu. Kopalnia w Kaczyce pracuje do dziś wydobywając sól metodą wyflukiwania.

Poloniny na Bukowinie Rumuńskiej.
fot. A. Bednarczuk





W roku 1904 górnicy solni budują w Kaczyce wielki neogotycki kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej. Jest to najważniejsze dla wielu narodowości miejsce pielgrzymkowe na Bukowinie. Papież Jan Paweł II podniósł kościół do rangi bazyliki. W ostatnich latach katolicy polscy i niemieccy wybudowali w miejscowości Pojana Mikuli kościół pw. św. Jana Pawła II. W miejscowości tej rząd Polski w 2014 r. wybudował także szkołę z nauczaniem języka polskiego im. Krystyny Bochenek.

Ośrodkiem oświaty i kultury polskiej na Bukowinie aż do II wojny światowej były Czerniowce. Działały tu: Dom Polski z Czytelnią, Kasa Zaliczkowo-Oszczędnościowa, szkolnictwo podstawowe i średnie, Towarzystwo Akademików Polskich „Ognisko”, Bursa Polska, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, Stowarzyszenie Rękodzielników Polskich i inne instytucje, wychodziło czasopismo „Gazeta Polska”.

Po 1870 roku w Czerniowcach powstał Cesarski Uniwersytet wyłoniony z Uniwersytetu Lwowskiego przez profesorów pochodzenia niemieckiego, austriackiego z językiem wykładowym niemieckim. Istniał on na terenie Rumunii do II wojny światowej.

Po zakończeniu I wojny światowej i ustaleniu nowych granic Czerniowce nad Prutem pozostały w Rumunii i nadal pozostały ośrodkiem kultury polskiej, podobnie jak Suczawa. Ostatnio Czytelnia Polska w Czerniowcach obchodziła 120-lecie, a Dom Polski z Czytelnią w Suczawie 110-lecie.

W XIX wieku na Bukowinie są osiedlani górale z Karpat Zachodnich, z Ziemi Czadeckiej, Beskidu Cieszyńskiego, Żywiecczy-

zny, a wraz z nimi uboga ludność Pogórza Karpackiego w poszukiwaniu lepszych warunków życia na Bukowinie.

Ostatnia wojna przyniosła olbrzymie spustoszenie wśród ludności nie tylko polskiej, szczególnie na Bukowinie ukraińskiej z Czerniowcami. Nastąpiły masowe wywózki na Sybir i przesiedlenia przez władze sowieckie. Po 1945 roku rodziny polskie wyjeżdżają do Polski centralnej w ramach tzw. „repatriacji”, ale z Bukowiny rumuńskiej wyjechało mniej rodzin polskich. W obecnej chwili na Bukowinie rumuńskiej około 4 000 osób, w tym starcy i dzieci, deklaruje się za polskością, jako znający język polski z domu. W większości zachowują oni wiarę katolicką i rodzinne obyczaje.

Po roku 1900 na Bukowinie działało Towarzystwo Szkoły Ludowej upowszechniając nauczanie polskiego w zakresie podstawowym. Języka polskiego uczono także przy kościołach i ochronkach. Obecnie nauczanie języka polskiego wraz z elementami historii i literatury odbywa się w kilkunastu szkołach rumuńskich. Na uczelniach wyższych w Suczawie, Jassach, Klużu jest prowadzony fakultatywnie lektorat języka polskiego, a filologia polska jako kierunek studiów istnieje na Uniwersytecie w Bukareszcie. Natomiast w Jassach istnieje rzymskokatolickie seminarium duchowne.

W szkołach powszechnych na Bukowinie uczą także nauczyciele z Polski, którzy niekiedy zawierają tam małżeństwa i pozostają na stałe. Rząd polski od 1990 roku pomaga czynnie Polakom na Bukowinie, zrefundował budowę kilku Domów Polskich, które służą nie tylko ludności polskiej, ale też innym grupom tam mieszkającym. Według liczebności na Bukowinie Rumuńskiej żyją obok siebie Rumuni, Ukraińcy, Polacy, Węgrzy, Niemcy, Żydzi, Cyganie – we wza-



Młodzi bukowianie przed kościołem w Sotuliu (2013)



jemnej zgodzie i tolerancji. Śladem dawnych różnic osadniczych między „panami” a „góralami” są pewne różnice w folklorze i odświętnym ubiorze.

W Suczawie działa Związek Polaków w Rumunii, patronują mu pan Gerwazy Longier (poseł do parlamentu rumuńskiego) oraz jego krewny Kazimierz Longier. Związek ten przejawia wielostronną działalność społeczną, oświatową i kulturalną. Od wielu lat corocznie organizuje w Suczawie zjazd polonijny, zapraszając z Polski i krajów ościennych przedstawicieli nauki i działaczy kultury.

Bukowina żyje śpiewem i tańcem. Co roku urządzane są tu festiwale regionalnych zespołów pieśni i tańca. Przyjeżdżają zespoły regionalne z Mołdawii, Ukrainy, Węgier, Słowacji i oczywiście potomkowie Bukowińczyków z Polski, którzy po wojnie opuścili swoją bukowińską ojcowiznę.

Związek Polaków w Rumunii wydaje pismo „Polonus”, redagowane w sposób atrakcyjny na dobrym poziomie w języku rumuńskim i polskim. Związek utrzymuje wymienne kontakty ze Lwowem, Wilnem i Rzeszowem. W Polsce organizowane są kolonie dla dzieci i młodzieży z Bukowiny.

dokończenie ze s. 39

wspólnego: Borys, Rusłan, Swietłana? Rozumiemy niegdysiejszy nacisk na rusyfikację, dobrze rozumiemy problemy mieszanych rodzin, co więcej, zdajemy sobie sprawę, że stosowanie czysto polskich imion może być z takich czy innych powodów niezręczne. Ale są przecież imiona uniwersalne, znane i stosowane w kulturze zachodu i wschodu: Jan, Andrzej, Antoni Tadeusz, Anna, Barbara, Zofia, Marta, Stefan – do wyboru, do koloru. To jest przecież także nasza mowa ojczysta.

Zmarł Eugeniusz Tuzow-Lubański

19 października 2016 r. w Kijowie zmarł Eugeniusz Tuzow-Lubański (ur. w 1945 r.), dziennikarz i publicysta związany przez lata z „Dziennikiem Kijowskim” ukazującym się w języku polskim w Kijowie. Poznaliśmy się w latach 90. XX w., kiedy corocznie odwiedzał Polskę. Był współpracownikiem wielu pism polskich, w których ukazywał problemy kształtującej się Ukrainy. Przedstawiał też problemy życiowe Polaków na dawnych Kresach. W swych tekstach od dawna sygnalizował zjawiska wskazujące na odradzający się nacjonalizm ukraiński. Nie ukrywał też zdziwienia wobec sympatii politycznych środowisk w Polsce dla neobanderowskich ruchów politycznych powstających i odgrywających coraz ważniejszą rolę w państwie ukraińskim. Zaskakiwał go też brak zainteresowania zmieniających się na przestrzeni lat władz Rzeczypospolitej Polakami żyjącymi na Kresach. Dlatego też nie szczędził ostrych słów krytyki pod adresem władz w Warszawie. Nie szczędził też słów krytyki wobec władz kijowskich. Czuł się Polakiem. Szacował, że w samym tylko Kijowie żyje ponad 20 tysięcy osób o polskich korzeniach. Posiadał Kartę Polaka. W Polsce czuł się jak w domu. Marzył, by zamieszkać w swej Ojczyźnie, najchętniej w Krakowie czy w Bieszczadach, gdzie w ostatnich latach spędził wiele miłych chwil. Nie udało się... Na zawsze pozostanie w naszej pamięci jako prawy Polak.

Janusz Paluch



XXX ZJAZD TARNOPOLAN

XXX Zjazd Byłych Mieszkańców Ziemi Tarnopolskiej odbył się w dniach 13–16 czerwca w Nysie, a właściwie nad jeziorem Nyskim w Głębinowie, w diecezjalnym Ośrodku Formacyjno-Wypoczynkowym „Rybak”, w którym i pokoje, i wyżywienie były doskonałe, a obsługa bardzo miła i uczynna.

Dawni mieszkańcy Ziemi Tarnopolskiej zjechali z całej Polski, z Tarnopola jak zwykle przyjechał ks. Andrzej Malig oraz prezes Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego – Piotr Fryz, była też nauczycielka, która od roku uczy polskiego w szkole sobotnio-niedzielnej przy Towarzystwie – pani Marianna Seroka (rodem z Gdańskiego). Bardzo „egzotycznym” gościem była pani Beata Mirecka-Jakubowska, która od 27 lat mieszka w Dżakarcie i działa w tamtejszym środowisku polonijnym, a na zjazd przyjechała z mężem i synem przy okazji odwiedzin swojej mamy Joanny Mireckiej z Opolą, wielokrotnej organizatorki naszych zjazdów w Ustroniu i prezesa Klubu Tarnopolan w Opolu. W sumie w ośrodku „Rybak” zakwaterowanych było 58 osób, a z okolic Nysy dojeżdżało jeszcze ok. 20 tarnopolan.

Wszystkie wydarzenia dla zjazdowiczów odbywały się w ośrodku „Rybak”, ale tak zwany „główny dzień”, czyli wtorek, był dniem otwartym również dla mieszkańców Nysy. Przyjezdni zwiedzili bardzo ciekawe Muzeum Powiatowe w Nysie, a w nim wystawy: archeologiczną z eksponatami pochodzącymi z wykopalisk w Nysie i okolicach (od paleolitu do wczesnego średniowiecza), historyczną (podzieloną na działy: *Kultura materialna ziemi nyskiej XIII do XVI wieku*, *Sztuka i rzemiosło artystyczne od XVI do XIX wieku*, *Nyskie rzemiosło artystyczne i pamiątki miejskie*, *Militaria – kolekcja broni białej, palnej i uzbrojenia z okresu od końca XV do początków XX wieku*, *Procesy czarownic na pograniczu nysko-jesenickim*, ukazująca historię tego procederu począwszy od XV po XVII wiek, *Za progiem mieszczańskiego domu w Nysie 1860–1960*), a także sztuki, obejmującą malarstwo obce z okresu od XV do XIX wieku. Wyżej wymienione to wystawy

stałe, natomiast dla zjazdowiczów niezwykle ciekawą okazała się wystawa czasowa, tzw. kresowa, poświęcona ekspatriacji i Kresowiakom. Właściwie to jako rezultat naszych wspólnych przemyśleń podczas poprzedniego zjazdu – za podszepem Janiny Stadnik z Klubu Tarnopolan w Nysie i organizatorki naszych nyskich zjazdów – starosta nyski i dyrektor Muzeum Powiatowego postanowili taką kresową wystawę zorganizować. Apel do kresowych mieszkańców Nysy przyniósł spodziewany skutek. Zebrane kresowe pamiątki, zamiast wyrzucenia czy zapomnienia, znalazły swoje miejsce na wystawie, a Edward Hałajko, dyrektor Muzeum, uważa, że może być ona przyczynkiem do utworzenia tutaj stałej i stale rosnącej wystawy kresowej.

Po zwiedzeniu muzeum była przerwa na kawę i ciastko, a potem ci, którzy nie zrobili tego dwa lata temu, mogli zwiedzić skarbiec nyski, mieszczący się w dzwonnicy przy kościele św. Jakuba. Nysa w historii zasłynęła wyrobami swoich złotników (do XIX wieku przewinęło się ich tam 176). Gdy w 1945 r. zbliżała się do Nysy Armia Czerwona, ówczesny niemiecki proboszcz wraz z dwoma współpracownikami zamurował skarb w specjalnej skrytce pod prezbiterium kościoła św. Jakuba. W latach 50. ktoś zaufany wyjawiał tę tajemnicę ówczesnemu proboszczowi, a w 2003 r. przyjechała do nyskiej plebanii dwa starsze małżeństwa niemieckie i wyjawili jeszcze jedną tajemnicę. Otóż panowie mieszkający w czasie wojny w budynku plebanii byli świadkami zamurowania w piwnicy jeszcze innych cenności. I ta skrytka była nienaruszona. Te rewelacje sprawiły, że zaczęto się zastanawiać, gdzie i jak udostępnić skarby św. Jakuba mieszkańcom i turystom. Doskonałym do tego miejscem okazała się 15-wieczna dzwonnica przykościelna. Nyski architekt Alojzy Tomiczek opracował stalowo-szklaną koncepcję galerii i po znalezieniu sponsorów (głównie prywatne osoby i fundacje z Niemiec) przystąpiono do prac. W 2005 r. galerię oddano do użytku. Zebrane tam wspaniałe dzieła sztuki sakralnej warte są zobaczenia.

Po obiedzie w Domu Formacyjnym, gdzie w 2014 r. odbył się nasz XXVIII Zjazd, przeszliśmy do bazyliki św. Jakuba i św. Agnieszki, gdzie uczestniczyliśmy w tradycyjnej mszy św. zjazdowej, podczas której



modliliśmy się za zmarłych i żyjących Tarnopolan. Mszę uświetniła swoim graniem orkiestra dęta z Nysy (trębaczce ze zlikwidowanej orkiestry wojskowej w dalszym ciągu jeszcze grają mimo braku lokum), ich muzyka we wnętrzu olbrzymiej (drugi pod względem kubatury – po gdańskiej Bazylice Mariackiej – zabytkowy kościół w Polsce, o najbardziej spadzistym dachu w Europie i niebagatelnej powierzchni 4 tysięcy metrów kwadratowych) gotyckiej świątyni brzmiała niesamowicie. Po mszy ta sama orkiestra przeprowadziła nas ciągle grając do Nyskiego Domu Kultury, gdzie odbyła się część oficjalna i artystyczna. Byli przedstawiciele zaproszonych władz lokalnych i sporo (ok. 250) nysan. W części oficjalnej niektórzy Tarnopolanie otrzymali dyplomy gratulacyjne za swoją działalność na rzecz Tarnopola i Ziemi Tarnopolskiej. W części artystycznej wystąpili uczniowie ze szkoły muzycznej w Nysie oraz Zespół Pieśni i Tańca Nysa. W NDK była też wystawa zamków i pałaców kresowych z czasów I Rzeczypospolitej, namalowanych przez uczniów Zespołu Szkół i Placówek Artystycznych w Nysie.

Po części artystycznej zebrani mieli okazję do jeszcze jednej uczty duchowej. Wysłuchali mianowicie prelekcji Tomasza Kuby Kozłowskiego z Domu Spotkań z Historią w Warszawie na temat Zaleszczyk, obficie ilustrowanej archiwaliami ze zbiorów autora. Notabene ten sam prelegent poprzedniego dnia w Głębinowie opowiadał podobnie o Buczaczu, a kresowianie wiedzą, że pan Tomasz mówi niezwykle ciekawie i przepiękną polszczyzną. Na jego regularne prelekcje w DSH w Warszawie trzeba przyjąć odpowiednio wcześniej, żeby znaleźć miejsce. Ten dzień zakończył się poczęstunkiem w NDK z pierogami na czele. Po powrocie do Głębinowa nie od razu poszliśmy spać, do późna w noc trwały serdeczne rodaków

rozmowy. Te nieformalne rozmowy przeciągnęły się na cały następny dzień i uwieńczone zostały „ogniskiem” – niestety ze względu na deszczową pogodę w pomieszczeniu ośrodka, ale śpiwory kresowe, a nawet tańce wszystkich wprawiły w dobry humor.

W ostatnim dniu odbyło się spotkanie podsumowujące zjazd. Goście z Tarnopola przedstawili uczestnikom prezentację na temat dokonań Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego za ostatni rok. Szczególnie ciekawa była relacja z obchodów 30-lecia Towarzystwa (bo nieformalnie Polacy w Tarnopolu zaczęli się spotykać już 30 lat temu, wprawdzie w prywatnych mieszkaniach, potem w kaplicy cmentarnej funkcjonującej jako kościół, a w kilka lat po rejestracji w 1989 r. dostali obecną siedzibę). Co ciekawe, trochę się zmieniła interpretacja historii Tarnopola przez Ukraińców. Jeszcze kilka lat temu twierdzono, że nazwa Tarnopol wywodzi się od „tarninowego pola”, teraz piszą już prawdę, że to hetman Jan Tarnowski założył to miasto w 1540 r. Poczta Ukraińska nawet wydała kopertę z podobizną hetmana, a mennica wybiła pięciohrynową monetę z Janem Tarnowskim po jednej stronie i zamkiem Tarnowskich po drugiej.

Uczestnicy zjazdu postanowili również wysłać listy do Marszałka Sejmu i Marszałka Senatu domagające się ustanowienia 11 lipca Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na mieszkańcach II Rzeczypospolitej Polskiej oraz list do Beaty Szydło, Prezesa Rady Ministrów, o treści:

W dniach 13–18 czerwca 2016 roku odbył się w Nysie XXX Zjazd Tarnopolan, w którym wzięli udział członkowie Rodzin Kresowych mający korzenie na ziemi tarnopolskiej. Uczestnicy zjazdu jednogłośnie zdecydowanie potępią postawę i wypowiedzi nowo mianowanego Ambasadora RP na

Ukrainie Jana Piekły, prezentowane w wielu wypowiedziach i licznych wywiadach, w których tendencyjnie i niesprawiedliwie atakuje Rodzinę Kresowe upominające się od wielu lat o prawdę o ludobójstwie dokonanym przez nacjonalistów ukraińskich. Pan Ambasador nazywa ludobójstwo ponad 150 tysięcy naszych rodaków epizodem. Niegodne Ambasadora RP jest jego poparcie dla gloryfikacji zbrodniarzy z ludobójczych organizacji OUN i UPA. Taka postawa i podobne wypowiedzi dyskwalifikują Jana Piekłę jako przedstawiciela Rzeczypospolitej Polskiej.

Przyszedł też czas na wybranie organizatorów przyszłorocznego zjazdu. Po trzech latach przerwy będzie to znowu Kraków. Z pewnością trudno będzie powtórzyć sukces Nysy, gdzie środowisko kresowe jest zwarte i ma poparcie we władzach lokalnych. Miejmy jednak nadzieję, że i ten następny zjazd będzie miłym spotkaniem tych, którzy szczerą się tym, że ich małą ojczyzną jest Ziemia Tarnopolska.

Na zakończenie należą się słowa uznania i podziękowania dla pani Janiny Stadnik i jej męża Antoniego, bo to oni wychodzili i pozalataliwali wszystko to, co sprawiło, że ten zjazd był tak udany.

PS Poniższy apel też ma związek z Tarnopolem. Otóż Społeczny Komitet Budowy Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w Nysie ma zamiar godnie upamiętnić wyjątkowe zasługi Marszałka Józefa Piłsudskiego dla odrodzenia niepodległego bytu Rzeczypospolitej Polskiej, a także uczcić 100. rocznicę odzyskania przez Polskę Niepodległości – poprzez wybudowanie pomnika Marszałka nawiązującego swoją wymową do pomnika Marszałka, który w 1935 r. został postawiony w Tarnopolu... Wracając do pomnika z Tarnopola, chcemy nawiązać sentymentalną nić sięgającą Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. To stamtąd wywodzi swoje korzenie wielu mieszkańców Ziemi Nyskiej, przymusowo wysiedlonych ze swoich rodzinnych stron, w tym legionistów, POW-iaków i obrońców Lwowa. Dla tych z Państwa, którzyby chcieli wesprzeć powstanie tego pomnika, podaję nr konta: Społeczny Komitet Budowy Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego, 48-300 Nysa, ul. Piastowska 34/3, 14887210260030078620000010 z dopiskiem „Na budowę pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego”.

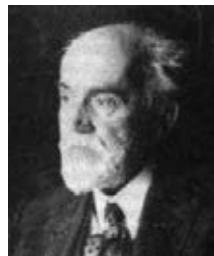
**Jerzy Hickiewicz,
Przemysław Sadłowski**

Stanisławowska krew

Prof. Stanisław S. Niciejka i red. Tadeusz Olszański w swoich opracowaniach piszą o wielu wybitnych ludziach urodzonych w Stanisławowie. Można podać jeszcze inne przykłady ograniczając się do wyróżniających się przedstawicieli świata techniki i nauk ścisłych pochodzących ze Stanisławowa.

Tadeusz Wiśniowski (1865–1933)

w Stanisławowie ukończył szkołę średnią. Studiował na Wydziale Medycyny i Filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1886–1893 był asystentem Katedry Mineralogii UJ. Od 1893 r. nauczyciel, następnie prof. VI Gimnazjum we Lwowie. Doktor filozofii, w 1908 r. mianowany profesorem zwyczajnym mineralogii i geologii, od 1919 r. geologii i paleontologii Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Był trzykrotnie dziekanem Wydziału Chemii Technicznej: 1912/1913; 1913/1914 i 1919/1920. W 1924 r. przeniesiony w stan spoczynku, w 1926 r. mianowany prof. honorowym PL. Był przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika, członkiem czynnym Polskiego Towarzystwa Naukowego we Lwowie, członkiem Komisji Fizjograficznej PAU w Krakowie, członkiem honorowym Państwowego Instytutu Geologicznego w Warszawie. Autor 40 prac. Zmarł 11 XI 1933 w Warszawie.



Roman Witkiewicz

(1886–1941), syn inż. mechanika Jana. Ukończył w 1908 r. Wydział Mechaniczny Szkoły Politechnicznej z odznaczeniem. Później pracował w fabrykach przemysłu maszy-



nowego. W 1915 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych. Od 1921 r. rozpoczął organizację Katedry Pomiarów Maszynowych i laboratoriów pomiarowych. W 1930 r. został profesorem zwyczajnym, współpracował z przemysłem w zagadnieniach dotyczących energetyki cieplnej. Skupiał wokół siebie grono młodych inżynierów, stworzył swoją szkołę naukową. Od 1923 r. członek korespondent Akademii Nauk Technicznych w Warszawie, a od 1938 r. członek czynny. Zamordowany wraz z innymi profesorami lwowskimi w 1941 r. przez gestapo na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie.

Tadeusz Franciszek Kuczyński (1890–1945), syn Mariana, powstańca z 1863 r. Studiował we Lwowie chemię techniczną w latach 1909–1913. Od 1927 r. kierownik Katedry Technologii Chemicznej Pol. Lwowskiej, przejął ją



po prof. Ignacym Mościckim po jego wyborze na prezydenta RP. Był twórcą i naczelnym redaktorem „Przeglądu Chemicznego”, współzałożycielem Związku Inżynierów Chemików RP. Twórca nowego kierunku – inżynierii chemicznej. Aresztowany po drugim wkroczeniu Sowietów do Lwowa wraz z grupą profesorów PL (m.in. z prof. S. Fryzem) przez NKWD 3 I 1945 r. Był więźniem łagru Krasny Don koło Ługańska; co prawda zwolniony pod koniec maja 1945 roku, zmarł jednak na skutek pobytu w łagrze 25 VI 1945 r. w Ługańsku.

Bogusława Jeżowska-Trzebiatowska (1908–91) w latach 1926–32 studiowała chemię na PL. Obroniła doktorat w 1935 r. pracując u prof. Wiktora Jakóba w Kat. Chemii Nieorganicznej PL. Była pierwszą kobietą, która uzyskała stopień naukowy doktora na PL. W latach 1942–44 działała w AK we Lwowie, zajmując się produkcją materiałów wybuchowych.



W grudniu 1945 r. przyjechała do Wrocławia. Została profesorem na Politechnice i Uniwersytecie Wrocławskim. W 1960 r. wstąpiła do PZPR. Prowadziła badania z dziedziny chemii nieorganicznej i jej pogranicza z fizyką chemiczną. Była najwybitniejszą badaczką pierwiastka ren. Autorka lub współautorka ponad 500 publikacji. Od 1967 r. członek korespondent, a od 1973 r. członek rzeczywisty PAN. Była promotorem aż 63 doktorów, kilkunastu z nich zostało profesorami. Wykładała na uniwersytetach w Berkeley, Urbana i Paryżu. Była doktorem honoris causa uniwersytetów we Wrocławiu, Bratysławie i Moskwie.

Bronisław Sochor (1909–89), współtwórca polskiej elektrotermii, absolwent PL. Po studiach na Oddziale Elektrotechnicznym zakończonych w 1933 r. krótko pracował w Miejskiej Elektrowni w Stanisławowie, potem w Fabryce Urządzeń Termotechnicznych w Warszawie.



Od 1945 r. pracował w przemyśle termotechnicznym w Łodzi, od 1947 łączył pracę w przemyśle z pracą na Politechnice Łódzkiej. Zorganizował i był kierownikiem Katedry Elektrotermii. W 1955 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1968 r. prof. zwyczajnego. W latach 1959–62 pełnił funkcję dziekana Wydziału Elektrycznego. Prowadził badania naukowe z zakresu elektrotermii przemysłowej i bytowej dotyczące pomiaru i regulacji temperatury w urządzeniach elektrotermicznych. Był autorem siedmiu książek i skryptów, promotorem dziewięciu prac doktorskich.

Pracował społecznie w Stowarzyszeniu Elektryków Polskich. Był współorganizatorem i kilkakrotnie pełnił funkcję przewodniczącego Komitetu Elektrotermii SEP. W 1968 r. został wybrany na okres czterech lat wiceprezydentem, a następnie do 1974 r. prez. Międzynarodowej Unii Elektrotermii (UIE) z siedzibą w Paryżu. W setną rocznicę urodzin prof. Sochora odbyło się na Politechnice Łódzkiej ogólnokrajowe seminarium poświęcone jego pamięci, a rok 2009 polscy elektrycy ogłosili Rokiem Sochora.

Jan Mikusiński

(1913–87), jego ojcem był Kazimierz, nauczyciel gimnazjalny, matką Anna z Beldowskich. Urodził się co prawda w Stanisławowie, ale od zakończenia I wojny światowej mieszkał już w Poznaniu. Studiował matematykę na Uniwersytecie Poznańskim (1932–37). Później pracował jako starszy asystent na Uniwersytecie Poznańskim. W trakcie okupacji przebywał w Zakopanem i Krakowie. Uczestniczył w tajnych seminariach, brał udział w tajnym nauczaniu (dwukrotnie aresztowany).



W 1945 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie uzyskał stopień doktora filozofii. Habilitował się w 1946 r. na Uniwersytecie Marii Skłodowskiej-Curie w Lublinie, w 1947 r. otrzymał tam nominację na prof. nadzwyczajnego. Od 1948 r. pracował na Uniwersytecie Wrocławskim, a następnie od 1955 r. na Uniwersytecie Warszawskim. Stopień doktora nauk matematycznych uzyskał w 1955 r. Najdłużej, bo od 1948 r. do 1985 r. pracował w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk pełniąc funkcję kierownika zakładu, a od 1978 r. kierownika Oddziału Katowickiego. Tytuł prof. zwyczajnego otrzymał w 1958 r. Od 1960 r. mieszkał w Katowicach. W 1966 r. został członkiem korespondentem, a w 1971 r. rzeczywistym PAN.

Profesor Jan Mikusiński od 1953 r. pełnił rozliczne funkcje w PAN. Od 1954 r. aż śmierci – członek Rady Naukowej IM PAN. Od 1966 do 1985 r. członek Rady Naukowej na Uniwersytecie Śląskim. Był też członkiem komitetów redakcyjnych: *Studia Mathematica* i *International Journal of Mathematics and Mathematical Sciences*. W latach 1966–1985 prowadził w Katowicach międzynarodowe seminarium funkcji uogólnionych. Wypromował 8 doktorantów.

Jego zainteresowania badawcze obejmowały wiele dziedzin matematyki. Do najbardziej znanych dokonań można zaliczyć algebraiczne ujęcie rachunku operatorowego. Jego nazwiskiem zostało nazwane matematyczne pojęcie operatora Mikusińskiego, którego był twórcą. Interesował się

również mechaniką, elektrotechniką, akustyką, optyką, fotografią, chromatografią oraz muzyką. Opublikował około 150 prac naukowych w różnych czasopismach matematycznych krajowych i zagranicznych. Był autorem 11 książek.

Prof. Mikusiński był zapraszany jako profesor wizytujący do zagranicznych ośrodków naukowych. Uczestniczył w międzynarodowych sympozjach w wielu krajach. Prof. Mikusiński w 1983 r. został członkiem honorowym Polskiego Towarzystwa Matematycznego im. S. Banacha. Otrzymał wiele wyróżnień i odznaczeń, m.in. Krzyż Komandorski z Gwiazdą OOP (1983).

Zmarł 27 VII 1987 w Katowicach. Jego imieniem została nazwana ulica w Katowicach.

Jan Beffinger (1902–1977), urodził się w Stanisławowie. Studiował na Politechnice Lwowskiej uzyskując tytuł inżyniera. W latach 1923–1926 był asystentem w Katedrze Technologii Rolniczej na Wydziale Lasowym PL, później pozostawał w stałym kontakcie z prof. A. Jozstem, kierownikiem Katedry Technologii Chemicznej Przemysłu Rolniczego na Wydziale Chemicznym. Doktorat uzyskał na podstawie pracy o fermentacji tytoniu. Wiedzę w tej dziedzinie uzupełniał studiami za granicą. Ukończył paryskie *Ecole d'Application des Manufactures de l'Etat*, gdzie zaznajomił się z uprawą i fermentacją tytoniu. Poglębiał też swoją wiedzę biochemiczną i technologiczną w Bergerac (Francja), Forchheim (Niemcy) i Scafati (Włochy).

W latach 1926–1939 pracował w Polskim Monopolu Tytoniowym. Pod koniec zatrudnienia pełnił funkcję dyrektora uprawy tytoniu w Lublinie. W imieniu PMT organizował różne plantacje tytoniu, w szczególności odmian Oriental i Virginia. eksperymentalne stacje tytoniowe i laboratoria chemiczne. Pracował również w przemyśle przetwórstwa tytoniu. Zajmował się fermentacją liści tytoniowych, zakładał magazyny fermentacji tytoniu. Interesował się również przemysłem tytoniowym we Francji, Algierii, Włoszech i Niemczech. W latach 1932/33 wynalazł i wprowadził w Polsce nową metodę wymuszonej fermentacji tytoniu w komorach, która skracała czas fermentacji i zastąpiła poprzednią metodę. Na swoją metodę uży-

skął patent polski w 1936 r. Nowa metoda została zaadaptowana przez przemysł tytoniowy ZSSR, a w latach późniejszych również przez inne kraje.

W 1939 r. po ucieczce z Polski udał się na Cypr. Tam w latach 1940–1941 współpracował z brytyjskim ekspertem tytoniowym G. Millsem przy lokalnym tytoniu orientalnym. Prawdopodobnie współpracował wówczas z wywiadem brytyjskim. Następnie, w 1942 r., służył w wojsku w Brygadzie Karpackiej na Bliskim Wschodzie, był kilkakrotnie ranny. W 1943 r. nadzorował pozostającą pod zarządem brytyjskiej administracji wojskowej produkcję liści tytoniu i papierosów w Erytrei. W tym samym roku został powołany do wojskowego nadzoru angielskiego w przemyśle tytoniowym Egiptu i Sudanu, a w latach 1944–1947 był doradcą tytoniowym w Abisynii (Etiopia). Po II wojnie światowej uzyskał obywatelstwo brytyjskie. W latach 1948–1965 prowadził studia nad produkcją tytoniu w Kenii, Ugandzie, Tanganicy (dzisiejsza Tanzania), Niasa (dzisiejsze Malawi), Północnej i Południowej Rodezji, Mozambiku, Angoli i Republice Południowej Afryki.

W latach 1953–1966 prowadził studia nad zależnością pomiędzy paleniem tytoniu a zdrowiem palących, kontynuując je podczas podróży po krajach Dalekiego i Środkowego Wschodu oraz Europy. W czasie swojej pracy laboratoryjnej odkrył, że dym z tytoniu, który był suszony naturalnie, miał bazę zasadową, tytoń suszony w fabrykach, produkowany przez koncerny tytoniowe, miał zaś bazę kwaśną. Dodatkowo naturalna fermentacja liścia usuwała większość szkodliwych składników z tytoniu. W Polsce od wielu lat stosowano tradycyjną metodę suszenia tytoniu. W USA opracowano „pasteryzacyjną” metodę podsuszania tytoniu, w trakcie której masa tytoniu zmniejszała się zaledwie o 2%, podczas gdy naturalna fermentacja powodowała jego ubytek o kilkanaście procent. Dawało to wielkie korzyści ekonomiczne, pasteryzacja jednak zabijała enzymy i uniemożliwiała naturalną fermentację.

Było to przyczyną, iż w liściach tytoniu pozostawało wiele szkodliwych składników, a dym papierowy miał odczyn kwaśny i bardziej agresywny dla płuc. Dr Beffinger był pierwszym, który przedstawił teorię naukową wskazującą, że rak płuc jest powodowany kwaśnym odczynem dymu papierosowego. Wytłumaczył w ten sposób, co było przyczyną, iż w owych czasach w Polsce było mniej przypadków raka płuc niż w USA. Swoje odkrycie, poparte badaniami, publikował na własny koszt do końca życia. Firmy tytoniowe przeznaczyły duże środki pieniężne, aby sabotować wyniki jego badań. Określały go mianem „dobrze znany pieniacz”. W lutym 1963 r. na Międzynarodowym Naukowym Kongresie Tytoniowym w Salisbury przedstawił wyniki swoich badań. Wywołały one wielkie poruszenie. Jego raport na temat związków palenia tytoniu ze zdrowiem został jednak odrzucony. W październiku 1964 r. podczas Zgromadzenia Ogólnego Stowarzyszenia CORESTA w Wiedniu był zmuszony do wystąpienia z niego w proteście przeciwko niedopuszczeniu do dyskusji nad wpływem palenia tytoniu na zdrowie palacza (CORESTA to stowarzyszenie, założone w 1956 r., wspierające współpracę międzynarodową w zakresie tytoniu). Będąc członkiem rady International Congress on Smoking and Health w Waszyngtonie (1965) doprowadził do sanitarnej kontroli wyrobów tytoniowych USA i Wielkiej Brytanii. W 1966 r. w Santa Cruz (Wyspy Kanaryjskie) założył międzynarodowy instytut do badań rakotwórczości dymu tytoniowego. We wrześniu 1970 r., zaproszony na Międzynarodowy Naukowy Kongres Tytoniowy w Hamburgu, uczestniczył w nim w celu zwrócenia uwagi na fakt, że moralnym obowiązkiem naukowców związanych z przemysłem tytoniowym jest znalezienie bezstronnego rozwiązania światowego obecnie problemu palenia tytoniu i jego wpływu na zdrowie.

Był autorem wielu prac naukowych, uzyskał wiele patentów dotyczących tytoniu. Zmarł na Teneryfie na Wyspach Kanaryjskich w 1977 r.

Prof. dr inż. IZYDOR STELLA-SAWICKI (1881–1957)

Urodzony we Lwowie. Po ukończeniu szkoły realnej rozpoczął w 1899 r. studia na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Lwowskiej. Ukończył je w 1904 r., uzyskując dyplom inżyniera. W latach 1905–1907 pracował jako asystent na Politechnice Lwowskiej, w latach 1907–1918 w Krajowym Biurze Melioracyjnym we Lwowie. Wykładał również w Szkole Ogrodniczej we Lwowie (1911–1914).

W roku 1914 uzyskał tytuł i prawa autoryzowanego inżyniera budowlanego, a w 1917 r. miernicze-go przysięgłego. Po odzyskaniu niepodległości został powołany do Ministerstwa Robót Publicznych, gdzie pełnił obowiązki naczelnika Oddziału Wodnego w Kielcach.

W 1921 r. rozpoczął pracę w Akademii Górniczej jako docent, w r. 1922 został mianowany profesorem nadzwyczajnym Katedry Budownictwa i Inżynierii. Równocześnie w latach 1921–1926 wykładał statykę i budownictwo na Wydziale Architektury ASP w Krakowie. W 1936 r. został profesorem zwyczajnym budownictwa i inżynierii na Wydziale Hutniczym Akademii Górniczej. W latach 1937–1939 pełnił funkcję dziekana tego wydziału.

Był autorem wielu nowatorskich projektów inżynierskich, m.in. obwałowania Wisły (od Niepołomic do Zawichostu), pierwszego żelbetowego mostu we Lwowie oraz wielu projektów obiektów przemysłowych, komunikacyjnych oraz hydrotechnicznych.



6.11.1939 wraz z wieloma profesorami UJ i AG został aresztowany w ramach Sonderaktion Krakau w Collegium Novum i wywieziony do obozu w Sachsenhausen, z którego wrócił schorowany w lutym 1940 roku. Po powrocie do Krakowa wraz z innymi profesorami zamkniętej przez okupanta Akademii Górniczej oraz UJ rozpoczął pracę w Technicznej Szkole Górniczo-Hutniczo-Mierniczej. Brał równocześnie udział w tajnym nauczaniu.

Po wyzwoleniu powrócił do pracy w AG. Jako pomysłodawca i inicjator zorganizowania w Krakowie uczelni politechnicznej został przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego, a później prorektorem dla Architektury, Inżynierii Lądowej i Wodnej oraz Komunikacji – autonomicznych Wydziałów Politechnicznych przy Akademii Górniczej. Kierował Katedrą Statyki Budowli i Wytrzymałości Materiałów, prowadził wykłady ze statyki i budownictwa żelbetowego. W latach 1948–1950 był prodziekanem Wydziału Inżynierii. Wypromował wielu doktorów. Ogłosił drukiem liczne

prace dotyczące statyki budowli, budownictwa żelbetowego i przemysłowego.

Był rzeczoznawcą i wybitnym ekspertem budownictwa oraz konsultantem biur projektowych. Pracował w organizacjach inżynierskich, m.in. w Polskim Związku Inżynierów i Techników Budownictwa, pełnił funkcje w Zarządzie Oddziału Krakowskiego.

Odnznaczony Medalem 10-lecia Odzyskania Niepodległości (1929), Orderem Odrodzenia Polski, Orderem Sztandaru Pracy II klasy.

Jest uważany za założyciela i pierwszego rektora Politechniki Krakowskiej.

Zmarł w Krakowie 19.12.1957 roku. Spoczywa na cmentarzu Rakowickim w kwadracie SC7 rz. 10, gr. 32.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Wydana przez wydawnictwo Prószyński i S-ka w 2016 r. powieść **Pora westchnień, pora burz** Magdaleny Kawki (rocznik 1971) z Poznania mile może zaskoczyć kresowych czytelników. Autorka jest absolwentką socjologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, nigdy nie pracowała jako socjolog, parała się kwaciarstwem, była urzędniczką, dziennikarką, właścicielką agencji reklamowej, ale w swoich publikacjach papierowych i internetowych często poruszała tematy wychowawcze. W 2010 r. wydała *Przygody Kosmatka kilkulatka. Poradnik odpowiedzialnego rodzica*. Jej pierwszą powieścią była *Sztuka latania*, następnymi *Alicja w krainie konieczności*, *Rzeka zimna* oraz *W zakątku cmentarza, czyli koniec wieczności*.

Krytycy uważają, że jej powieści *należą do mainstreamu kultury popularnej* (co wcale nie musi mieć pejoratywnego zabarwienia) literatury kobiecej. Tematem jej powieści są głównie trudne relacje międzyludzkie. I taką powieścią jest też *Pora westchnień, pora burz*. A dlaczego miałyby zainteresować kresowego, a właściwie lwowskiego czytelnika? A no dlatego, że akcja dzieje się we Lwowie w latach 1938, 1939 i pierwszej połowie 1940, a główna bohaterka Lilka Lindner i jej koleżanki (pochodzące z tego lwowskiego tygla narodów, bo jest wśród nich i Żydówka, i Ormianka, i Rusinka, sama Lilka wywodzi się z rodziny niemieckiej) przygotowują się do matury w słynnej „Magduś”, czyli szkole św. Marii Magdaleny. Data założenia: 16 października 1816 – czy można to uważać za swoisty hołd złożony tej 200-letniej i do dzisiaj działającej szkole? W pewnym sen-

sie tak, choć może tylko pośrednio poprzez fakt, że szkoła jest we Lwowie, a jak mówi autorka: we Lwowie urodzili się moi dziadkowie. Po wojnie przyjechali na Ziemię Odzyskane, ale do końca życia nosili w sercu tamten świat katulających się tramwajów, śpiewnie zaciągających handelesów i burzliwej młodości spędzonej w tym najpiękniejszym z miast. Czyli autorka z całą pewnością doświadczyła Lwowa, wysłała go nie tyle z mlekiem matki, co z niekończących się opowieści wyniesionych z rodzinnego domu. Z całą pewnością korzystała też ze źródeł historycznych (np. Karolina Lanckorońska). Autorka z głęboką miłością opisuje ulice, kawiarnie, kina, ludzi, wydarzenia i ten specyficzny klimat miasta *Semper fidelis*. Język powieści często okraszony jest „kwiatkami” bałaku. Mimo tragicznych czasów (początki pierwszych sowietów) i dramatycznych sytuacji jest tu spora doza humoru. Dobrze się tę powieść czyta. Pora westchnień, czyli pierwszych miłości, oraz pora burz, czyli wojna, szybkie dorastanie i sprawdzian „człowieczeństwa, które nie ma nic wspólnego z narodowością, językiem ani wyznawaną religią”. Dla młodych czytelników jest to dodatkowa lekcja zbeletryzowanej historii, która, miejmy nadzieję, będzie jeszcze jednym przyczynkiem do „ocalenia od zapomnienia” i być może obudzi większe zainteresowanie i zachęci do sięgnięcia po opracowania historyczne dotyczące Lwowa i Kresów. Oczywiście najlepiej by było, gdyby zachęciła do wyprawy do Lwowa i na Kresy i poznania osobiście tych jakże tam jeszcze licznych śladów polskości.

Anna Madej

📖 W ramach serii wydawniczej *Zabytki kultury polskiej poza granicami kraju* pod redakcją prof. Ryszarda Brykowskiego ukazała się w 2003 r. książka napisana przez Margeritę Szulińską, Jana Szulińskiego i Jarosława Zielińskiego pt. **Skala nad Zbruczem** (seria A zeszyt 4). Książka powstała na podstawie materiałów zebranych podczas prac dokumentacyjnych prowadzonych na Podolu przez Koło Naukowe Historyków Sztuki przy Uniwersytecie im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

Prace odbywały się przy współdziałaniu i dzięki środkom Stowarzyszenia Wspólnota Polska oraz Ministerstwa Kultury i Dzie-





dziectwa Narodowego. W ramach badań wykonano szczegółową dokumentację cmentarzy na terenie przedwojennych powiatów RP oraz opisano architekturę i rozwój przestrzenny miast i miasteczek dawnych Kresów Wschodnich. W omawianej książce opisano historię kilkutyśięcennego miasteczka, jakim jest Skała, jej

architekturę z zabytkami oraz współczesne budownictwo, głównie z okresu postsowieckiego. W czasie zawieruchy wojennej ze społeczności małego miasteczka zniknęli Żydzi i Polacy, a w latach budowy komunizmu wymieniona została ludność ukraińska. W związku z tym inwentaryzatorzy mieli trudności ze znalezieniem informatorów pamiętających czasy wcześniejsze.

Oto tytuły głównych rozdziałów książki mówiące o zawartych w niej treściach:

- Historia Skały
- Zamek starostów skalskich i pałac Adama Tarły
- Zespół pałacowo-parkowy rodziny Gołuchowskich
- Zasoby oraz stan zachowania architektury, budownictwa i infrastruktury wiejskiej
- Charakterystyka świątyń oraz świeckich obiektów użyteczności publicznej
- Typologia domu mieszkalnego
- Charakterystyka stylów oraz elementów i detali architektonicznych
- Cmentarze.

Skała nad Zbruczem (obecnie Skała Podolska) należy do najbardziej typowych niewielkich miasteczek, jakie ukształtowały się w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Wydawnictwo zawiera 150 stron, 62 zdjęcia, plan miasta i szkice niektórych obiektów. (DTS)

Praca **Kilar. Geniusz o dwóch twarzach** Marii Wilczek-Krupy to kolejna Krakowska Książka Miesiąca. W Śródmiejskim Ośrodku Kultury autorka opowiadała o swych rozmowach z wybitnym twórcą.

Książka to efekt pracy nad dysertacją doktorską poświęconą muzyce filmowej Ki-

lara. Godziny rozmów z kompozytorem zblżyły tych dwoje – zwłaszcza, gdy okazało się, że mają podobną pasję: kryminały Agaty Christie (najbardziej ulubiony: *Zabójstwo Rogera Ackroyda*) oraz horrory Stephena Kinga (*Misery*).

Powstała wspaniała biografia, którą czyta się świetnie. Pokazuje bowiem Kilara jako pełnokrwistego, pełnego sprzeczności człowieka, niekryjącego, że tkwią w nim Dr Jekyll i Mr Hyde, a do tego odslania kulisy jego pracy twórczej.

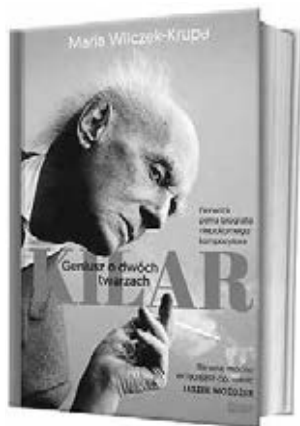
Powstanie tej biografii zasugerował sam kompozytor, który nie chcąc zgodzić się na udział w planowanym filmie dokumentalnym o sobie, rzucił pewnego razu: *Gdy umrę, napisze pani o mnie książkę.*

I faktycznie, po śmierci Kilara, w grudniu 2013 roku, zaczęłam gromadzić materiały do tej biografii.

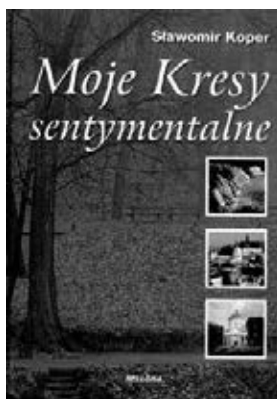
Trwało to rok, kolejne pół zajęło mi pisanie. Oczywiście miałam już kilkadziesiąt godzin nagranych rozmów – mówi Maria Wilczek-Krupa. Jak dodaje, te rozmowy były doświadczeniem wręcz mistycznym: – Kilar miał wiele do powiedzenia na różne tematy, a fakt, że przeżył wojnę, że tyle doświadczył, że spotkał jako kompozytor innych wspaniałych twórców, sprawiał, że te rozmowy były dla mnie ogromnym przeżyciem.

I my też dowiadujemy się wiele tak o Kilarze – a autorka umiała skłonić go do zwierzeń, jak i m.in. o Kutzu, Zanussim, Wajdzie, Polańskim, Coppoli. Kto ciekaw, niech sięgnie po tę książkę.

Wacław Krupiński



Stawomir Koper – autor poczytnych przewodników historyczno-krajoznawczych, opisujący pozostałości polskiej kultury na Ziemiach Utraconych, stwierdził, że odczuwa *lekki niedosyt*, bo zawarty w dotychczasowych jego książkach materiał ilustracyjny nie oddawał w pełni urody omawianych obiektów i prawdy o nich. W wyniku tych przemyśleń wydał album *Moje kresy sentymentalne* (Bellona, Warszawa 2015), gdzie



słowa odgrywają, rolę równorzędną z obrazem. Czytelnik oglądając kolorowe zdjęcia w albumie-przewodniku otrzymuje równocześnie lekcję historii w tekstach. W 5 głównych rozdziałach – grupujących po kilka podrozdziałów – poznajemy historię zarówno zamków i magnackich siedzib takich jak Żółkiew, Podhorce, Brody,

Olesko, Zbaraż, Ołyka, Kamieniec Podolski... jak i dzieje ludności zamieszkującej tę ziemię i broniącej jej przed wrogimi napadami. Opisanie zostały miasta takie jak Krzemieniec – z jego piękną architekturą i sławnym Liceum, Drohobycz, Ostróg, Łuck, Borysław...

Autor rozpoczynając albumową serię o Ziemiach Utraconych zapowiada następną pozycję poświęconą wyłącznie miastu nad Pełtwią, ponieważ Lwów zasługuje na osobne potraktowanie. Później ukazać się powinny albumy dotyczące obszarów w Wielkim Księstwie Litewskim oraz Wilna i Grodna.

(DTS)

Wertując wydawnictwa

➔ Już wcześniej powiadomiliśmy Czytelników (w CL 4/15) o nieznanym nam dotąd (i trudnym u nas do dostania) comiesięcznym dodatku do tygodnika „Polska Niepodległa” pt. „**Polskie Kresy**”. Ostatnio dotarły do naszych rąk numery z ubiegłego i tego roku. Numery mają po 16 stron i odnoszą się głównie do naszych utraconych Ziemi Wschodnich – przede wszystkim Lwowa i Małopolski Wschodniej. Najwięcej miejsca poświęcono ludziom, co nam odpowiada, bo w innych pismach *kresowych* odczuwamy pewien niedostatek w tych tematach.

W numerze 2–8 IX '15 czytamy na początku kilka artykułów o znaczeniu ogólnym. Najpierw ideowe znaczenia Dnia Jedności Kresowian przedstawiła E. Szakalicka, dodając jego program oraz Komitet Organiza-

cyjny. Tu dygresja: wśród ponad 30 zgłoszonych towarzystw kresowych znajdujemy jedynie Oddział Poznański TMLiKPW, a innych oraz Zarządu Głównego brak. W swoim krótkim tekście red. Marcin Hałas zauważa, że *środowisko kresowe w Polsce wciąż wydaje się zbyt zatamizowane*, oraz postuluje powołanie do życia – czy raczej przywrócenie – konfederacji organizacji kresowych, których jest sporo. Przypomnijmy, że paręnaście lat temu istniała taka Federacja, a jej prezesem był niezapomniany Stanisław Mitraszewski. Niestety FOK upadła jeszcze za życia Prezesa (co nie było jego winą!). Czy teraz udałby się powrót do tej idei?

M. Borzęcka zwraca uwagę, że polskie władze hojnie sponsorują u nas stypendia młodym Ukraińcom, a Polacy z Rosji i dawnych republik sowieckich oczekują sporo lat na umożliwienie powrotu do Polski.

Po tej serii artykułów dwa ciekawe tematy: Stryj, jego historia na tle wydanego VI tomu *Kresowej Atlantydy* S.S. Niciei, oraz profesor PL Roman Dzieślewski, „ojciec” lwowskiego tramwaju elektrycznego, w ujęciu A. Wilgusiewicza.

Mniej obfity w leopolitana (tu rozumiemy nie tylko Lwów, ale całą Małopolskę Wschodnią) jest nr 7–13 X '15, poświęcony głównie Wileńszczyźnie wraz z Braśławszczyzną*. Tematykę lwowską akcentuje artykuł M. Hałasia *Kresowe fotografie, czyli cząstki duszy*. Głównym wątkiem tego tekstu jest fotografia *l w o w s k a*, o której autor pisze, iż jest szczególna, albowiem *Lwów to miasto dotknięte zagładą, apokalipsą...* Metafora zatopionego okrętu wydaje się jak najbardziej uprawniona...

Drugi artykuł (H. Szczepańskiego), jaki nas tu zainteresował, to *Karta z dziejów lwowskiej edukacji*. Tekst dotyczy głównie sławnej szkoły Zofii Strzałkowskiej. Szkoła (przy ul. Zielonej) była uważana za najlepszą we Lwowie (obok *Sacré Coeur*).

Bogate leopolitana zawiera nr 4–17 XI '15 (ale w równowadze z *wilnianami*). Oba nierozzerwalnie związane z Polską, ale pada pytanie: które piękniejsze, w którym głębiej wyraża się polskość? Numer otwiera artykuł J. Szkułatowicza *Wilno i Lwów: dwa miasta* – porównania wypadają jednak na korzyść Lwowa. Wilno jest mniejsze, bardziej kameralne. Lwów to wielki rynek, naznaczony

rozmachem. To samo dotyczy cmentarzy: Łyczakowski, czterokrotnie większy od Rossy, jednak oba mają swoją bogatą historię i oba są żywym świadectwem polskich dziejów.

Kolejny tekst to *Oddajcie nam Lwów* (M. Ambrozik), który nawiązuje do wydarzeń polsko-ukraińskich 1918–19. Autorka przypomina, że minęło kilkadziesiąt lat, a Ukraińcy chcą, byśmy zapomnieli, że Lwów był od wieków miastem polskim, gdzie powstawała polska kultura, zapomnieli o rzezi wołyńskiej.

Potem artykuł o Kosowie Huculskim, niezwykłym uzdrowisku, gdzie bywały polskie elity, gdzie działał słynny dr Apolinary Tarnawski. A. Wilgusiewicz pisze o *Panoramie* dawnego Lwowa – w istocie modelu stworzonym przez arch. Janusza Witwiciego, a dziś wystawionym we Wrocławiu.

Numer zamyka na ostatniej stronie wielkie zdjęcie Jurka Bitschana oraz przypomnienie najmłodszych Orłąt.

Pierwsze strony ostatniego numeru z 2015 r. (2–8 XII) dotyczą głównie Polaków zza Zbrucza (i odpowiednio z regionów płn.-wsch.). Dalej tematy związane z Małopolską Wschodnią: najpierw zwraca uwagę artykuł geograficzno-historyczny *Jaremcze i Worochta* (autor MH). Tekst przynosi ważne informacje, dziś ogółowi nieznanne: pierwsza skocznia w Polsce powstała w Worochcie w r. 1922 (zakopiańska na Wielkiej Krokwi o 3 lata później). W latach 1890. zbudowano w Jaremczu wiadukt o rozpiętości głównego przęsła 65 m, który nie miał wtedy równego w Europie – twórcami byli inżynierowie z Politechniki Lwowskiej. W 1938 r. otwarto na Pop Iwanie obserwatorium astronomiczno-meteorologiczne, uważane wtedy za najnowocześniejsze w Europie.

Następny temat to wspomnienie (napisane przez red. M. Hałasia) o naszym wielkim poecie Zbigniewie Herbercie, którego z powodów politycznych ominęła literacka Nagroda Nobla. Istnieje ogólne przekonanie, że nagroda ta, przyznana wtedy Wisławie Szymborskiej, była nie tyle nagrodą dla niej, co przeciw Herbertowi.

Kolejne leopoltanum to artykuł A. Wilgusiewicza o ks. Michale Rękasie, który we Lwowie po I wojnie światowej stworzył *Radiowe Apostolstwo Chorych* – w tym coniedzielną i świąteczną audycję w Radiu Lwów *Radio chorym* i inne jeszcze audycje. Po II wojnie przeniesiono je do Katowic.

Na ostatniej stronie Redakcja zaprezentowała duże zdjęcie Tońcia – Henryka Vogelfangera (1904–1990) z najlepszych lwowskich lat. Szczepcio i Tońcio spędzili wojnę na Zachodzie, występowali w Człotówce Teatralnej WP na frontach i w Anglii. Zmarli w Polsce.

Przechodząc do kolejnego rocznika, zaczynamy od posiadanego nr 3–9 II '16. Omówiono niezwykłą postać Marii Mirreckiej-Loryś, stulatki urodzonej nad Sanem, ale wykształconej we Lwowie i po wojnie w Krakowie. Zaangażowana w ruch narodowy musiała opuścić Polskę i osiadła ostatecznie w Stanach Zjednoczonych. Przez wszystkie lata angażowała się w różne polskie organizacje i akcje na rzecz Polaków na wschodzie, była m.in. prezeską Koła Lwowian w Chicago. Niezwykle ciekawą biografię omówiły pp. D. Skalska i E. Szakalicka, z wielkim zdjęciem na okładce.

Dawniejszą historię prezentuje następny tekst biograficzny, o prof. Oswaldzie Balzerze, który – jak pamiętamy – uratował dla Polski po I wojnie tatrzańskie Morskie Oko. Pisze o tym M. Szwarz.

W ostatnim z wymienionych numerów znajdujemy najpierw bogato ilustrowany tekst o świątym rzeźbiarzu Julianie Markowskim (1846–1903), który na cmentarzu Łyczakowskim umieścił – wśród szeregu innych rzeźb sepulkralnych – przepiękny nagrobek śpiącej kobiety, a także pomnik Jana Kilińskiego w lwowskim Parku Stryjskim.

Autorem artykułu jest red. M. Hałas. Następne leopoltanum:

- o 360. rocznicy Ślubów Lwowskich pisze M. Borzęcka (napisaliśmy o tym także w innym miejscu tego numeru CL);
- o Marianie Hemarze, poecie Lwowa, pisze M. Hałas;
- wielkie zdjęcie Wacława Kuchara z krótką notą biograficzną.

I jeszcze brzydki akcent, ale trzeba o tym pamiętać: w końcu kwietnia 2015 r. władze ukraińskie uznały Banderę i UPA bohaterami narodowymi. A my ich mamy bronić przed Rosją... Jak się skończy ta „nasza przyjaźń”?

* Ziemia Braśławska to najbardziej na płn. wschód wysunięta część II RP i Wileńszczyzny.

➔ Z Wrocławia nadszedł obszerny (140 stron A4) i niezwykle bogaty w treść nowy, 16. numer półrocznika „**Biuletynu Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej**”.

Drohobycz i Ziemia Drohobycka należą do Małopolski Wschodniej, dlatego też wszystko, co dotyczy tego miasta i jego Ziemi, interesuje nas nie mniej niż sam stołeczny Lwów z zabraną również wschodnią częścią Ziemi Przemyskiej, Stanisławów z Pokuciem, Tarnopolszczyzna czy północna strona Karpat Wschodnich. Obszar Ziemi rozpościera się – z grubsza rzecz biorąc – między Dniestrem a rzeką Stryj.

Ziemia Drohobycka to przede wszystkim bogate niegdyś pokłady ropy naftowej. Dlatego też najważniejsze miejscowości tego regionu to sam Drohobycz z kopalniami i rafineriami ropy, Borysław z kopalniami, ale również przebogate uzdrowisko Truskawiec z wodami mineralnymi opartymi na nafcie ze słynną Naftusią na czele. Jest też wiele innych miejscowości ważnych dla wydobywania i przetwórstwa ropy.

Z Ziemią Drohobycką związanych jest sporo ludzi historycznie ważnych nie tylko dla swojego regionu lub całej Małopolski Wschodniej, ale wręcz dla całego naszego kraju. Krew tej ziemi płynie w żyłach wielu inżynierów, ekonomistów, twórców sztuki, wojskowych, oczywiście przede wszystkim Polaków, ale także Rusinów czy Austriaków. Górniczo-przemysłowy charakter regionu sprawił, że znalazło się tu wielu Żydów i po trosze innych narodowości.

O tym wszystkim rozpisują się kolejne numery Biuletynu SPZD, a ten omawiany – szczególnie.

Już na 1. stronie okładki znajdujemy wspomnienie o niedawno zmarłym, niezapomnianym Alfredzie Schreyerze (1922–2015) – zamieszczamy je osobno w tym numerze.

Aż dwa artykuły traktują o wsi Rychcice, która powstała w XII wieku, a parafia

w niej – w połowie XV w. Przez wieki miały Rychcice różnych właścicieli, a od 1729 r. do II wojny światowej byli to hr. Bielscy. Ich pałac zbudował znakomity architekt warszawski Kamsetzer. O rodzinie ostatnich Bielskich – Juliuszu i Eleonorze (z ks. Jabłonowskich) pisaliśmy w CL kilkakrotnie. Mieszkańcy wsi zostali po wojnie wysiedleni m.in. do Jędrzychowa na Dolnym Śląsku; osiedli także w innych licznych miejscowościach.

Ukraiński profesor L. Tymoszenko pisze o herbie Drohobycza, kwestionując umieszczenie nad nim polskiego Orła. Dalej czytamy o harcerstwie drohobyckim; o lekarzu dr. B. Kozłowskim i szpitalu w Drohobyczu; o dworach w Urozu i Śniatynce.

Wymieniono polskich generałów związanych (urodzeniem lub działalnością) z Zagłębiem. Byli między innymi: Karaszewicz-Tokarzewski, Sosabowski, Rozwadowski i kilku innych. I dalej o 9. pułku ułanów małopolskich oraz jego sztandarze. I wspomnienia żołnierza z Londynu. Dwa wspomnienia z Syberii. O Żydach ocalonych u rodzin drohobyckich.

Sztuka to przede wszystkim o Międzynarodowym Festiwalu Brunona Schulza w Drohobyczu, 2014. Dalej o malarzach w „zagłębiu malarskim”. I wystawa w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu pod pięknym tytułem *Drohobycz – miasto jedyne na świecie*.

To nie wszystko – jeszcze kilka wspomnień rodzinnych, a na koniec o książkach kresowych, recenzje i niestety – nekrologi, spis zmarłych...

To wszystko w jednym numerze półrocznika. Gratulujemy!



WIELKOLUD

Z KAMIONKI STRUMIŁOWEJ

Eugeniusz Taraciński przyszedł na świat w 1928 r. w Herawcu k. Kamionki Strumiłowej. Jak wielki się urodził, nikt już nie pamięta. Rodzina wspomina tylko, że gdy szedł do pierwszej komunii i tato prosił Żyda w sklepie, aby dał mu garnitur dla syna, to już wszyscy wiedzieli, że musi brać jak dla dorosłego. A on rósł dalej. Po Oławie do dziś krążą anegdoty o Gieniu. Jedna z nich opowiada o jego wizycie w delikatesach – ekspedientka stała tyłem, gdy podszedł do lady. Kobieta odwróciła się i przestraszona zawołała: *Proszę natychmiast zejść z lady!*

Po wojnie wraz z rodziną trafił najpierw do Sanoka, a potem do Bystrzycy nad Oławą. Miał za sobą parę klas, a ponieważ był silny, od razu wziął się do pracy. Najpierw w miejscowym nadleśnictwie, gdzie przy wyrębie mocno nadwerżył kręgosłup, potem trafił do Jelczańskich Zakładów Samochodowych. Chwalili go, bo wysoki, więc mógł malować bez drabiny. W kronice przedszkola dyrektorka zapisała, że podczas remontu pracował najwyższy Polak, mieszkaniec Bystrzycy, o wzroście 220 cm. Choć niektórzy określali jego wzrost na 227 cm. (...)

Wszystko było do przeróbki. Z jednej strony wzrost był jego wzytówką, z drugiej stwarzał trudności w codziennym życiu. Bystrzycki szewc wspomina: jasne, że pamiętam – raz w życiu robi się tak wielkie buty. Gienio miał numer buta 54–56, czyli prawie 40 cm długości. Stolarz zrobił mu wielki fotel, w którym mógł się poczuć komfortowo. Podobnie było z odpowiednio długim łóżkiem. Miał też powiększony rower, kierownica od wyścigówki, tylko odwrócona (tzw. rogi), a siodełko z motoroweru *Simon*. W jelczańskich zakładach przerobili mu trzykołowy wózek inwalidzki z silnikiem, żeby

mógł się w nim zmieścić. Wielkie problemy miał z koszulami, a ubrania musiał szyć na miarę. Bratowa kiedyś napisała do „Wólczańki”, to zrobili mu dwie pary podkoszulek, tyle samo kalesonów, a na dokładkę rękawiczki.

Do sportu nie bardzo się nadawał. Nie lubił piłki nożnej, w siatkówce szło mu lepiej. Zainteresowała się nim Gwardia Wrocław, a stąd trafił do Legii Warszawa, by zrobić z niego koszykarza. Właściwie mając tak niesamowity atut w postaci wzrostu, to miał stać pod koszem i wrzucać piłki, bo bieganie nie wychodziło mu za bardzo. Przy badaniach lekarskich wyszło, że Gienio ma guza przysadki mózgowej.

To dlatego mimo trzydziestki rósł jeszcze. Lekarze z kliniki naświetlali go lampami. Wyłysiał, włosy od razu wyrosły siwe.

W Warszawie „naukowcy” zaproponowali mu (a właściwie rodzinie) 150 tys. zł, żeby po śmierci przekazać im zwłoki w celach badawczych. Podobno chcieli go też zatrudnić w cyrku. Z oburzeniem odrzucił te propozycje. (...)

O jego sile krążyły legendy. Pracował w lesie. A jak kiedyś traktor się zakopał, to on sam jeden go wyciągnął – wspomina mieszkaniec Bystrzycy. Jak w barze wybuchała awantura, wystarczyło powiedzieć – idziemy po Gienia – i od razu się uspokajali, bo czasem z knajpy wynosił pijaków po jednym w każdej ręce. Silny był pieruńsko, ale to był złoty człowiek. Był spokojny, opanowany, grzeczny, nie wiedziano, aby się kiedyś złościł. Był raczej taki flegmatyczny, nie chciał nikomu dokuczyć. Wołał się usunąć.

Z roku na rok Gieniu czuł się coraz gorzej, zaczął jeździć do lekarzy. Często karetka zabierała go do szpitala. Gdy zdrowie mu się pogorszyło, został skierowany do sanatorium. Tam też wszyscy chcieli mieć z nim zdjęcie. Początkowo to go denerwowało, potem pogodził się z tym, a nawet zawarł przymierze z uzdrowiskowym fotografem – pozował, a ten mu odpalał coś ze zwiększonych zysków.

Gdy zmarła mu matka, poczuł się bardzo samotny. Pod koniec życia nie chciał być dla nikogo obciążeniem, więc przeniósł się do Jelcza, gdzie zamieszkał w hotelu robotniczym. Do końca życia chodził o własnych siłach i utrzymywał się z niewielkiej renty. Czasem pomagała mu gmina. Gdy bratowa napisała do Cyrankiewicza, dostał tzw. rentę wyjątkową za wzrost. Nadmierne zainteresowanie jego osobą zaczęło go męczyć.

Zmarł w 1978, w 50. roku życia. Pochowany został na cmentarzu w Bystrzycy.



CZOŁOWI PREZYDENCI KRAKOWA XIX–XX w. rodem ze Lwowa i Małopolski Wschodniej

1. JÓZEF DIETL (1804 Podbuż k. Sambora – 1878 Kraków). Studia filozof. na Uniw. Lwowskim, potem med. w Krakowie, profesor i rektor UJ. Zyskał miano *ojca balneologii polskiej* – wiele zawdzięcza mu Krynica. Pierwszy **prezydent** Krakowa (od 1866) czasu autonomii galic., obrońca polskości. Unowocześnił i rozwinął miasto wszczynając m.in. zasypanie starej Wisły. Odnawiał zabytki, odrestaurował Sukiennice dla utworzonego Muzeum Narodowego.

2. FELIKS SZLACHTOWSKI (1820 Lwów – 1896 Kraków). Po studiach prawn. we Lwowie osiadł w Krakowie, kolejno jako adwokat, wykładowca na UJ oraz wiceprezydent miasta. Od 1884 (i powtórnie 1890) **prezydent** Krakowa, zrealizował ważne inwestycje: Collegium Novum i Coll. Medicum, kliniki, Poczta Główną, most Dębnicki, dwupasmową arterię im. J. Dietla.

3. MIKOŁAJ ZYBLIKIEWICZ (1823 Stare Miasto k. Sambora – Kraków 1887). Studia filozof. we Lwowie, prawn. w Krakowie. Adwokat, działacz polityczny; deputowany w Wiedniu, walczył o przywrócenie jęz. polskiego w szkolnictwie i administracji. 1874-81 **prezydent** Krakowa, zasłużony w rozwoju miasta i kulturze: budowa szkół i obiektów gospod. miejskiej, zasypanie starej Wisły, utworzenie Grobów Zasłużonych na Skalce, zapoczątkowanie zbiorów Muzeum Narodowego.

4. JULIUSZ LEO (1861 Stebnik k. Drohobycza – Kraków 1918). Nauki rozpoczął w Wieliczce (gdzie jego ojciec związany dotąd z salinami w zagłębiu drohobyckim został przeniesiony jako naczelnik kopalni soli). Studia prawa i administracji w Krakowie i Berlinie. W 1891 został profesorem UJ. Od 1901 wiceprezydent, od 1904 **prezydent**. Jego dziełem było utworzenie Wielkiego Krakowa wraz z Podgórzem. Powstały Aleje Trzech Wieszczów, III Most. Odkupiono Wawel od władz austr., podjęto konserwację. W 1918 jako prezes Koła Polskiego w Wiedniu uzyskał zgodę na utworzenie formacji wojsk. – Legionów Polskich.

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nacz.)

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Konto bankowe naszego Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Know-How, 31-348 Kraków, ul. Chełmońskiego 255, tel. (12) 622 85 60

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania srodtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Okładka		Andrzej Chlipalski	
PREZYDENCI	I/III	MALARZY BYŁO WIELU	38
Słowo od Redakcji		MOWA NASZA OJCZYSTA	39
POŻEGNANIE	I		
Marian Hemar		Danuta Czerny-Sikora, Anna Susułowa	40
POINT OF NO RETURN	1	CZERNOWIE, LWOWSCY ROMANIŚCI	
Ks. prałat Dariusz Raś		Poezja	
HOMILIA 22 XI 2015	3	Feliks Konarski	42
Alicja Olszowska		TRZY ZIEMIE	43
ZESŁAŃCY MAJĄ SWEGO PATRONA	4	Stanisław Baliński	
Stanisław Starzewski		PIEŚŃ O KRAJU	43
Z ŻYCIA DAWNEJ MŁODZIEŻY SZKOLNEJ...	7	Proza	
Gen. Władysław Langner		Mieczysław Orłowicz	44
PROTOKÓŁ O PRZEKAZANIU MIASTA...	10	WYCIECZKA NA CZARNOHORĘ	
POMNIK W HANACZOWIE	12	Lwów i poza Lwowem	
JAN NIEWIŃSKI (1920–2015)	12	Emil Hlib	54
JAK RODZINA NIEMKIEWICZÓW OCALIŁA... 13		ORMIANIE, KLASZTORY I KOSZARY	
Dieter Schenk		Cmentarz Obrońców Lwowa	56
KOLEJNA BIAŁA PLAMA USUNIĘTA (skrót) 14		WIELKA RADOŚĆ NIE NA DŁUGO	
Władysław Białowas		Alicja Bednarczuk	57
WSPOMNIENIA O EMILU FRYDLU 15		POLACY NA BUKOWINIE RUMUŃSKIEJ	
Władysław Siemaszko		Anna Madej	59
W UZUPEŁNIENIU DO ROZMOWY... 19		XXX ZJAZD TARNOPOLAN	
Jan Baczyński		Jerzy Hickiewicz, Przemysław Sadłowski	62
POLEGŁYM W OBRONIE LWOWA... 21		STANISŁAWOWSKA KREW	
Rozmowy		Lwowska Krew	66
Janusz M. Paluch		PROFESOR IZYDOR STELLA-SAWICKI	
ROZMOWA Z DR J. SUCHARDĄ-SOBCZYK 23		Książki ♦ Czasopisma	67
Kultura ♦ Nauka		NOWE KSIĄŻKI	71
Jolanta Ciosek		WERTUJĄC WYDAWNICTWA	
DAWAŁA RADOŚĆ I WZRUSZENIE 35		Danuta Utarowicz	72
HUCUŁKA Z DZBANKIEM 37		WIELKOLUD Z KAMIONKI STRUMIŁOWEJ	
		Prośba od Czytelników	18
		Errata	37